

Milne Kevin Alan

Słodkie nieszczęścia



Niektórzy mają szczęście w miłości.

Ty nie należysz do tego grona.

Dla Rebeki, mojej lepszego połowy

CZĘŚĆ 1

POCZĄTEK KOŃCA

ROZDZIAŁ I

Cierpliwości: deszczowe dni niebawem powrócą.

21 września 2009 r.

Sophie Jones wiedziała dokładnie, jakie słowa padną z ust kobiety za kierownicą, jeszcze na długo przed tym, nim autobus Gig Harbor Express w kierunku Tacomy zatrzymał się na przystanku Harbor View Drive. Z łatwością mogła przewidzieć nie tylko jej słowa, ale również przepełniony rozczarowaniem ton głosu i lekko oskarżycielską minę. Każdy najdrobniejszy element ich zbliżającej się wymiany zdań był przesadzony. Kiedy drzwi autobusu otwierały się ze zgrzytem, Sophie powtórzyła sobie pod nosem znane słowa. „Znowu? Jak rany, dziewczyno! Co z tobą nie tak? Zostaw to cholerstwo w domu!” Powoli zeszła z chodnika na jezdnię, po czym wsiadła do autobusu. Wcześniej zamknęła rozłożysty czarny parasol, który do tej pory opierała sobie na ramieniu. Niewyraźnie uśmiechnęła się do kobiety za kierownicą, momentalnie jednak poczuła się głupio - po co stara się być miła, skoro w zamian otrzyma tylko złośliwy uśmiezek?

Ponieważ wiedziała doskonale nie tylko, *co* się niebawem stanie, ale i *kiedy*, rozpoczęła odliczanie. *Trzy...*

Kobieta zmarszczyła nos, opuściła podbródek i nieznacznie otworzyła usta — na tyle jednak, że bez problemu można było

dostrzec rząddek błyszczących srebrnych plomb — i świdrującym spojrzeniem przeszła Sophie i jej parasol. *Dwa...*

Zdjęła ręce z kierownicy i założyła je na piersi, tuż pod plakieta z nazwiskiem i logo firmy Puget Sound Public Transportation wyhaftowanym na kieszonce wykrochmalonej bawełnianej koszuli.

Jeden...

Nosowe westchnięcie. Przeczący ruch głową, mający wyrażać głębokie rozczarowanie. A potem... *Zero.*

— Znowu? Jak rany, dziewczyno! Co z tobą nie tak? Zostaw to cholerstwo w domu! Jest piękny poniedziałkowy poranek!

Sophie zachichotała cichutko, oparła złożony parasol o barierkę i uiściła opłatę za przejazd. Nie uważała, żeby komentarze kobiety były szczególnie zabawne. Za to fakt, że była ona tak absolutnie przewidywalna - owszem.

- A co, jeśli będzie padać? — odpowiedziała niewzruszona Sophie.
- Widziałaś dzisiaj chociaż jedną chmurkę? Bogu dzięki, od tygodnia nie spadła nawet kropla deszczu. I niech tak zostanie, odpukać w niemalowane drewno - to mówiąc, postukała w metalową kolumnę kierownicy.

Skonsternowana Sophie pokręciła tylko głową. Nie odpowiadało jej podejście prowadzącej autobus, ale nie mogła zaprzeczyć, że co do pogody miała rację. Powietrze było rześkie, ale porannego, błękitnego nieba nie zasłaniała ani jedna chmurka, a lokalna prognoza pogody zapowiadała słoneczny dzień. Dla Sophie nie miało to jednak znaczenia.

— Trzeba spodziewać się najgorszego — oznajmiła niby to żartobliwie, po raz kolejny zmuszając się do uśmiechu.

- Na tyle, na ile cię znam, moja droga, to właśnie to jest twoim największym problemem — odparowała kobieta. Potem jeszcze

wymamrotała coś pod nosem, podczas gdy Sophie zajęta już była szukaniem sobie miejsca, lecz słowa utonęły w warkocie silnika ruszającego autobusu. Sophie i tak by je zignorowała. Nawet w lepszy dzień poranek to zbyt wczesna pora, aby dać się zirytować bezceremonialnym komentarzom.

A ten dzień zdecydowanie nie należał do najlepszych.

Dla Sophie był to absolutnie najgorszy dzień w roku, pojawiający się z nieuniknioną regularnością niczym koszmar, przed którym nie ma ucieczki. Gdyby nie to, że miała własną firmę, którą musiała się zajmować, najchętniej spędziłaby go w domu, schowana pod kocem, z wyłączonym telefonem i opuszczonymi żaluzjami, w błogim zapomnieniu.

„Och, gdyby tylko było to możliwe...” - pomyślała ze smutkiem, przemieszczając się powoli w stronę swojego ulubionego miejsca z tyłu autobusu. Poza nią niewielu pasażerów zapuszczało się aż tak daleko, zazwyczaj miała więc całe tylne siedzenie tylko dla siebie. Sophie zdecydowanie wolała pokonywać poranną trasę w milczącym zamyśleniu. Jej odosobniona miejscówka stanowiła doskonałą ochronę przed bezsensownymi rozmowami o niczym, w których tak lubowali się niektórzy pasażerowie.

Podczas gdy autobus podskakiwał na drodze, Sophie wpatrywała się w zielony krajobraz za oknem i przyglądała łodziom wypływającym z przystani na zatokę. Uważnie obserwowała przęsła mostu, który łączył Gig Harbor i półwysep Olympic z Tacomą. Zazwyczaj te widoki wystarczyły, aby odciągnąć jej myśli od smutków dnia codziennego.

Ale nie dziś.

Dla Sophie był to ten jeden dzień, kiedy zatracala się w poczuciu żalu i rozczarowania, którego nic nie mogło ukoić. Bez względu na to, ile pięknych sosen czy podniesionych żagli mijała po drodze, nie potrafiła zapomnieć o przeszłości.

- Dzień nienawiści do samej siebie — mruknęła pod nosem, wsuwając wielki parasol między siedzenie a autobusowy grzejnik. - Moja osobista stypa. Mogę być tak nieszczęśliwa, jak tylko mam na to...

- Sto lat, sto lat!

Sophie aż podskoczyła z przestachu.

- Co, do cholery... - warknęła donośnie, zanim zorientowała się, że dobrze zna ten kobiecy głos. — Evi! Chcesz, żebym dostała zawału? Co ty tu robisz? - spytała, starannie ignorując zaintrygowane spojrzenia współpasażerów, którzy z zaciekawieniem wyciągali szyje w ich kierunku.

- Pomyślałam, że zrobię ci niespodziankę! Wygląda na to, że się udało! — Evi uśmiechnęła się szeroko i mrugnęła łobuzersko, po czym podniosła się i zajęła miejsce w podwyższonym ostatnim rzędzie, tuż obok Sophie. Ta patrzyła na nią z udawaną pogardą.

- Cudownie - wycedziła, próbując zachować powagę — mam jedną, jedyną przyjaciółkę na świecie. I w jaki sposób ta właśnie przyjaciółka postanawia okazać swoje przywiązanie? Zakradając się, strasząc mnie, robiąc scenę w miejscu publicznym i przypominając mi, jaki dziś dzień.

Evi nie przestawała uśmiechać się promiennie.

- Obydwie dobrze wiemy, że nie potrzebujesz żadnych przypomnień — odpowiedziała przekornie. — I żeby wszystko było jasne, wcale się nie zakradałam. Wsiadłam do tego autobusu dwa przystanki przed tobą. Po prostu, kiedy ty wsiadłaś, byłaś tak pochłonięta swoją osobą, że mnie nie zauważyłaś. A nawet do ciebie machałam! - Mrugnęła. - No, ale nieważne. W końcu to twoje urodziny, wybaczam ci.

- Tak, moje urodziny. Najgorszy dzień w roku.

- Ależ daj spokój — przerwała jej Evi pogodnym głosem. — Obydwie doskonale wiemy, że najgorszy dzień był dawno, dawno

temu. I dlatego dzień dzisiejszy jest jedynie początkiem czegoś nowego i dobrego.

Evi była niską szatynką o zaraźliwym śmiechu i pięknym oliwkowym kolorze skóry, który nie bladł nawet zimą. Włosy i uśmiech odziedziczyła po mamie, kolor skóry zaś po ojcu Latynosie, którego nigdy nie poznała. A śmiech był po prostu jej sposobem na radzenie sobie z przeciwnościami losu. Była jedną z tych nielicznych osób, którym Sophie ufała bezgranicznie. Dlatego z lekkim rozgoryczeniem przyjęła fakt, że pełne imię i nazwisko przyjaciółki, do niedawna Evalynn Marion Mason, zostało sześć miesięcy temu uzupełnione o nazwisko jej męża, Justina Macka, wspólnego przyjaciela dziewczyn jeszcze z czasów studiów. Sophie nie miała nic przeciwko Justinowi, wręcz przeciwnie, cieszyła się szczęściem swoich przyjaciół. Niemniej miała niemiłe wrażenie, że własne życie przecieka jej przez palce. Uczucie to spotęgowała usłyszana dwa miesiące po ślubie wiadomość, że Evalynn spodziewa się dziecka.

Evi i Sophie wydawały się zupełnie różne. Evi była niska, Sophie wysoka. Włosy Evi były proste, brązowe i krótko obcięte, podczas gdy loki Sophie opadały złocistymi falami na ramiona. Evi była zawsze duszą towarzystwa, a Sophie wołała zachowywać bezpieczny dystans. Wszyscy ich wspólni znajomi wychodzili z założenia, że ta przyjaźń opiera się na odwiecznej zasadzie przyciągania się przeciwieństw, ale Sophie wiedziała, że to coś o wiele, wiele więcej. Były dla siebie niczym siostry związane ze sobą w sposób niepojęty dla ludzi, którzy wychowywali się w normalnych rodzinach. Bez względu na to, jak różne mogły się wydawać osobom postronnym, dziewczyny były połączone co najmniej dwiema rzeczami, które czyniły ich więź szczególną: rodzinną tragedią i wspólną przyszywaną mamą, Afroamerykanką.

Sophie ciężko westchnęła.

— Wiesz przecież, że nienawidzę swoich urodzin.

- Owszem.

- Trzeba było zostać w ciepłym łóżeczku ze swoim żonkosiem i pozwolić mi uzalać się nad sobą w spokoju.

- Wiem, wiem.

Sophie ziewnęła, po czym się skrzywiła.

- W takim razie *po co* tu jesteś?

- Dziewczyno, co z tobą nie tak? - Evalynn próbowała teraz naśladować zaczepno-kpiący ton kobiety za kierownicą, żeby rozładować napięcie. - Wiesz chyba, że za nic nie zostawiłabym cię samej w dniu twoich dwudziestych dziewiątych urodzin! Co to, to nie. Jak rany, niunia, za rok będziesz spróchniała starą panną! Korzystaj z młodości, póki jeszcze możesz, dziewczyno!

- Przestań! Narobisz sobie wstydu. Evi wydała z siebie krótki rechocik.

-Ależ kochana, przecież ja *tobie* narobię wstydu. Jestem w tym bezkonkurencyjna. - Szturchnęła swoją przyjaciółkę w bok. - No już, Soph, daj spokój. Uśmiechnij się! Nie chcę spędzić całego dnia ze zrzędą.

Zaskoczona Sophie uniosła pytająco brwi. Nie uśmiechała się.

- Całego dnia?

- Chyba nie myślisz, że wsiadłam do autobusu tylko po to, żeby życzyć ci wszystkiego najlepszego. Mój szef zapewnił mnie, że wytrzyma dziś bez jednej asystentki prawnej, wzięłam więc jednodniowy urlop i jadę z tobą do pracy. Pomogę ci robić czekoladki i takie tam. Nie chcę, żebyś była dziś sama.

- Zaraz, zaraz. Chcesz robić czekoladki, czy może je zjadać? O ile pamiętam, kiedy „pomagałaś” mi ostatnim razem, trudno było określić, co interesuje cię bardziej.

Evalynn pacnęła ją w ramię.

- Wiesz przecież, jak bardzo lubię te trufle z masła orzechowego. Po prostu daj mi do zrobienia coś innego i będę grzeczna. Poza tym mam wobec ciebie również inne plany, niezwiązane

z napełnianiem foremek i robieniem dekoracji z wisienek. Zorganizowałam nam takie popołudnie, że szybko zapomnisz, że masz dziś urodziny. Jestem tego pewna.

— Zorganizowałaś? Oj, nie podoba mi się to. Co to znowu za plany? Evalynn mrugnęła tylko.

— Przykro mi, to ma być niespodzianka. Mam buzię zamkniętą na kłódkę. Będziesz musiała trochę poczekać.

Na następnym przystanku, przy parkingu na Kimball Drive, kilka osób z autobusu Sophie miało swoje przesiadki, a kolejnych kilkanaście dopiero tu wsiadało. Wśród nich Sophie zauważyła nieznaną twarz. Mężczyzna był ubrany w granatową sportową marynarkę i spodnie khaki. Miał jakieś metr dziewięćdziesiąt, musiał się więc lekko pochylać, żeby nie uderzyć się w głowę przy wsiadaniu. Jego falujące brązowe włosy skręcały się w małe loczki tuż nad uszami, a błękitne oczy błyszczały w porannym słońcu. Gdyby nie to, że dawno już dała sobie spokój z facetami, Sophie z przyjemnością przyjrzałaby się dokładniej akurat temu okazowi. Zaraz jednak zganiła samą siebie za tę myśl.

Większość pasażerów zajęła pierwsze lepsze miejsce, nieznanomy jednak rozglądał się uważnie po całym autobusie, nawet już po tym, jak pojazd ruszył. Udawał, że nie widzi przyglądającej mu się Sophie. Z torbą na laptopa w jednej dłoni i mapą w drugiej powoli zaczął przemieszczać się na tył autobusu. Ostrożnie przesunął się krok za krokiem, tak żeby zachować równowagę. Sophie obróciła głowę i zaczęła wyglądać przez okno. Udawała, że widok za szybą pochłania ją bez reszty.

- Czy to miejsce jest wolne? - spytał mężczyzna uprzejmie kilka sekund później, wskazując miejsce w ostatnim rzędzie. Sophie nie przestawała patrzeć za okno, jakby nie dosłyszała. Chrząknął i ponowił pytanie:

- Przepraszam, można?

Evalynn cichutko prychnęła, próbując stłumić śmiech, kiedy Sophie odwróciła głowę w stronę chłopaka.

- Cóż, w końcu to publiczny środek transportu, może pan siadać, gdzie pan chce - odpowiedziała chłodno. — Ale co jest właściwie nie tak z tamtymi miejscami? - spytała, wskazując na puste siedzenia, które minął. Mężczyzna uśmiechnął się i usiadł obok niej, na kolanach położył torbę z laptopem i rozłożył na niej mapę.

- Stąd jest zdecydowanie lepszy widok - powiedział, wpatrując się w Sophie.

Sophie wyprostowała się nieznacznie, a jej myśli wbrew woli zaczęły krążyć wokół byłego narzeczonego. Przez chwilę porównywała obydwo mężczyzn. Ten siedzący obok był rzeczywiście miły dla oka. Wysoki. Przystojny. Pewny siebie.

Ale nie był Garrettem.

- Jak pan woli - powiedziała. <-1 tak wysiadam na następnym przystanku.

Jej sąsiad nie przestawał się uśmiechać.

- W takim razie może mogłaby mi pani pomóc? Dopiero w ten weekend przeprowadziłem się tutaj z Oregonu i staram się rozgryźć tutejszy system komunikacji miejskiej. Ile jest jeszcze przystanków do centrum Seattle?

- Oj, sporo - odpowiedziała, pozwalając sobie wreszcie na lekki uśmiech, rozbawiona. - Ten autobus krąży tylko między Gig Harbor a Tacomą. Powinien był pan wsiąść do innego.

- Ach tak - pokiwał głową z zakłopotaniem. - Czyli, krótko mówiąc, zgubiłem się.

- Obawiam się, że tak.

Najwyraźniej jednak nie zbiło go to z pantafyku.

- W takim razie cieszę się, że chociaż pofatygowałem się na tył autobusu. Może i się zgubiłem, a przez to najpewniej spóźnię się do mojej nowej pracy, ale przynajmniej poznałem ciebie.

Teraz to Sophie obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem.

- Zaraz, chwileczkę. Czy to jakaś sztuczka? Jeżdżenie autobusem z mapą i udawanie zagubionego przyjeźdnego? Taki masz sposób na podrywanie dziewczyn?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- A jeśli tak - działa?

- Zdecydowanie nie! — odparowała Sophie zdenerwowanym głosem.

-Tylko żartuję - odpowiedział z chichotem. - Szczerze mówiąc, nie jestem jednym z tych typów, którzy podrywają dziewczyny na ulicy. Nie jesteśmy teraz wprawdzie na ulicy, ale... no, chyba rozumiesz, co mam na myśli.

Sophie nie odpowiedziała. Nie widziała sensu. Mógł z nią flirtować jeszcze i godzinę i na nic by się to zdało. „Skończyłam z facetami” - pomyślała, a w wyobraźni znowu mignęła jej twarz Garretta.

Tymczasem mężczyzna nie przestawał gadać.

- Mój nowy szef powiedział mi, że przez poranne korki łatwiej przedrzeć się autobusem, teraz jednak nie jestem tego taki pewien.

- Naprawdę jesteś z Oregonu? - spytała Sophie, biorąc do ręki swój parasol.

Przytaknął.

- Z Astorii, na wybrzeżu.

- W takim razie witamy w stanie Waszyngton - powiedziała uprzejmie. - A teraz, jeśli pozwolisz, chciałabym wysiąść. Zaraz będzie mój przystanek. Gotowa? — zwróciła się do Evalynn. Przyjaciółka tylko przytaknęła i obydwie podniosły się z miejsc. Chłopak uniósł kolana, tak żeby Sophie mogła precyzyjnie się przed nim.

- Słuchaj - poprosił - naprawdę przydałaby mi się pomoc. Mogłabyś powiedzieć mi przynajmniej, jak mam się dostać do Seattle?

Sophie pochylała się ku niemu, żeby nie mówić zbyt głośno, i oznajmiła:

- W tym autobusie jest mnóstwo innych kobiet. Jestem pewna, że któraś z nich z chęcią ci pomoże. Chłopak nie powiedział już ani słowa.

Kiedy tylko wysiadły i stanęły na chodniku, Evalynn szturchnęła Sophie.

- Zwariowałaś? Przecież ten chłopak był przesłodki! Sophie pokręciła głową.

- Związek to ostatnia rzecz, jakiej w tej chwili potrzebuję. Mówiłam ci już nieraz: bardzo dobrze żyje mi się bez facetów.

- Mnie nie nabierzesz - wymamrotała pod nosem Evalynn. Sophie przewróciła oczami.

- Ach tak? Rzeczywiście jest ci tak o wiele lepiej teraz, kiedy jesteście z Justinem po ślubie?

- Bycie z Justinem jest cudowne - powiedziała z uczuciem, po czym zamilkła na chwilę i położyła dłoń na brzuchu. — Niemniej doskonale obyłabym się bez jego „prezentu”.

Sophie zachichotała cicho, nie mogła jednak oprzeć się wrażeniu, że to, co powiedziała przyjaciółka, nie do końca było żartem. W ostatnich miesiącach Evalynn kilkakrotnie rzucała podobne komentarze i Sophie zaczynała się martwić, czy przypadkiem przyjaciółka nie ma obaw związanych ze zbliżającym się macierzyństwem. Postanowiła jednak nie drążyć tematu. Uznała, że jeśli Evi rzeczywiście przechodzi trudny okres, to prędzej czy później zwierzy jej się ze swoich problemów.

W drodze od przystanku do sklepu Sophie przyjaciółki nie przestawały rozmawiać, chociaż to głównie Evalynn podtrzymywała konwersację. Sophie słuchała uważnie, dotrzymując przyjaciółce kroku, jednak jej myśli krążyły zupełnie gdzie indziej - wokół wspomnień z urodzin sprzed lat. Rozmyślała przede wszystkim o tym jednym, najważniejszym urodzinowym

dniu, dokładnie dwadzieścia lat wcześniej. Dniu nowych początków i tragicznych zakończeń. Dniu, po którym żaden następny nie był już taki sam.

Dla Sophie był to dzień, w którym jej życie legło w gruzach.

ROZDZIAŁ 2

Masz dobrą pamięć. Niestety, przytłaczają ją złe wspomnienia.

21 września 1989 r.

Jacob Barnes wytarł twarz brzegiem rękawa swojego płaszcza - bezskutecznie próbował złapać ostrość widzenia. Czuł się tak, jakby za chwilę miał znowu zemdleć. Jego umysł z największym wysiłkiem starał się odtworzyć wydarzenia z ostatniego kwadransa, jednak wciąż był zbyt zamroczony, żeby przypomnieć sobie, jak właściwie znalazł się w tej pozycji i w tym właśnie miejscu, na poboczu ulicy. Oparł się ciężko o latarnię, żeby złapać równowagę. Po chwili szarpnął ze złością swój jedwabny krawat, który nagle wydał mu się ściskającą szyć pętlą. Jego włoski garnitur był z przodu kompletnie przemoczony, Jacob uznał jednak, że to po prostu dlatego, że w oszołomieniu stał bez ruchu w strugach intensywnego deszczu, z którego słyęło Seattle.

- Dobry Boże - powiedział na głos, kiedy wreszcie umysł rozjaśnił mu się na tyle, żeby skupić się na otaczającym go świecie. Rozejrzał się wokół, wysilając wzrok. Jacob zawsze miał wrażliwy żołądek, dlatego widok tego, co rozgrywało się niedaleko, w połączeniu z mglistą świadomością, jak do tego doszło, natychmiast przyprawiły go o mdłości. Powstrzymał się z największym trudem.

- To wszystko moja wina — usłyszał nieopodal cichy, przestraszony głosik.

Jacob rozejrzył się w poszukiwaniu jego właścicielki. W odległości kilku kroków od niego, obok żółtego hydrantu, siedziała mała dziewczynka. Ona też wycierała buzię brzegiem rękawa, próbując ukryć to, że płacze. Bezskutecznie — padało tak mocno, że mogła trzeć całą noc, a jej twarz nadal byłaby mokra. Jej nos i usta były opuchnięte i posiniaczone, a z niewielkiego rozcięcia na policzku biegła cienka strużka krwi, wzdłuż szczęki, aż na szyję. Białą bluzkę, którą miała na sobie, pokrywały ciemnoczerwone plamki.

Dziewczynka ciasno oplotła podkulone nogi rękami, próbując osłonić się przed deszczem w tę wyjątkowo wietrzną wrześnieją noc.

-Ja tylko... ja tylko chciałam kawałek czekolady... - chlipała - tylko jeden kawałeczek...

Jacob poczuł, że znowu robi mu się słabo. Zmienił nieco pozycję, licząc, że to wystarczy, żeby nie zemdleć ponownie.

— Twierdzisz, że ty to spowodowałaś? — spytał o wiele za szorstko.
- A co ma do tego czekolada?

Dziewczynka kiwnęła głową w odpowiedzi na pierwsze pytanie, po czym zaczęła miarowo kołysać się w przód i w tył. Uważnie obserwowała zamieszanie panujące na końcu ulicy. Jacob podążył wzrokiem za jej spojrzeniem: jednostajny warkot syren i samochodów, migające i wirujące światła, czerwone race żarzące się w ciemnościach, policjanci biegający w tę i z powrotem, próbujący zapanować nad ruchem drogowym, przekrzykujący się strażacy, kierowcy karetek, potłuczone szkło, powyginane blachy i krew - mnóstwo krwi. Obrazy, dźwięki, a nawet zapach tej koszarnej sceny odurzał wszystkie jego zmysły. Dziewczynka odwróciła się i spojrzała prosto na niego, ale w dalszym ciągu nie powiedziała ani słowa.

Niespodziewanie podbiegła do nich policjantka z młodym ratownikiem medycznym. Jacob uświadomił sobie, że zarówno on, jak i dziewczynka są na tyle daleko od samego wypadku, że wcześniej mogli zostać wzięci za zwykłych gapiów.

- Proszę pana — odezwał się ratownik. Wyglądał na bardzo zaniepokojonego. - Proszę usiąść, pomogę panu.

Szybko postawił na ziemi podręczny zestaw pierwszej pomocy, po czym ciasno objął Jacoba w pasie swoim szerokim ramieniem i pomógł mu usiąść na krawężniku.

- Może pan coś dla mnie zrobić? Proszę unieść lewą rękę wysoko nad głową i trzymać ją tak, dopóki nie przyniosę bandaży. Dobrze?

Jacob był zaskoczony prośbą ratownika jeszcze bardziej niż informacją, że winę za wypadek ponosi czekolada.

-Ale dlaczego? Przecież wszystko ze mną w porządku, nie widzi pan? Proszę lepiej pomóc tej małej, wygląda na nieco poobijaną.

- Proszę pana, czy...

- Proszę mówić mi Jacob.

- Dobrze, zatem: Jacob, jesteś w szoku. Wygląda na to, że straciłeś sporo krwi, i chcę się upewnić, że nie...

- Krwi? Skąd? Czy ja krwawię? Dlaczego?

- Wszystko w porządku, jeśli tylko będziesz robił to, o co proszę, wszystko będzie w porządku. Tylko proszę, trzymaj ramię do góry, o tak. - Ratownik uniósł mu lewą rękę. Jacob podtrzymał ją drugą. Kolejny napad mdłości wstrząsnął całym jego ciałem.

- Skąd leci mi krew? Z twarzy? - dopytywał się nerwowo. Czuł narastającą panikę. - Jak niby trzymanie ręki w górze ma mi pomóc? Czy przypadkiem w ten sposób nie stracę jeszcze więcej krwi, kiedy spłynie do głowy? Czy w ogóle na pewno wiesz, co robisz? Nie jesteś trochę za młody, żeby być...

- Jacob! — wrzasnął ratownik, ton jego głosu był jednak lodowaty. — To nie głowa. Spójrz na swoją rękę!

Jacob w półprzytomnie uniósł głowę. Zmrużył oczy i w strugach deszczu, przy słabym świetle ulicznej latarni spróbował skoncentrować wzrok na dłoni trzymanej w górze. Jej widok ponownie wywołał u niego mdłości. Nie miał czterech palców. Został tylko kciuk. Odruchowo spróbował poruszyć palcami. Co dziwne, jego umysł podpowiadał mu, że rzeczywiście nimi przebiera, a jednak kiwał się tylko kciuk.

- Ja... chyba muszę się położyć - jęknął.

Podczas gdy ratownik zajmował się zmasakrowaną ręką i kilkoma mniejszymi obrażeniami, Jacob skierował swoją uwagę na dziewczynkę i stojącą obok niej policjantkę. Leżał na plecach. W tej pozycji widział i słyszał ich rozmowę. Policjantka miała na imię Ellen, a w każdym razie tak przedstawiła się dziewczynce. Zaczęła delikatnie wycierać jej twarz kawałkiem gazy, jednocześnie próbowała nawiązać z nią kontakt. Po chwili usiadła obok małej na mokrym krawężniku. Dziewczynka co i rusz dyskretnie spoglądała na poharataną dłoń Jacoba.

-Wszystko będzie w porządku, kochanie. Będzie dobrze -powiedziała kojącym głosem Ellen, po czym zamilkła na chwilę. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek „wszystko będzie w porządku” w obliczu tej masakry. — Możesz mi powiedzieć, jak masz na imię? - podjęła ostrożnie.

Dziewczynka rzuciła jej długie nieobecne spojrzenie, jakby starała się uchwycić sens skierowanych do niej słów. Po chwili przytaknęła i wyszeptała:

- Sophia Maria Jones.

- Jak ładnie! Miło mi cię poznać, Sophio Mario.

- Wzyscy mówią na mnie Sophie — wyjaśniła cichutko mała.

- Sophie. Okej. Powiedz mi, Sophie, ile masz lat?

Policjantka musiała być przeszkolona w odbywaniu tego typu rozmów- Zadawała krótkie, proste pytania, stanowiące tylko wstęp Jo tych trudniejszych, które prędzej czy później musiały paść.

Dziewczynka ponownie wytarła nos w rękaw.

- Osiem. Nie... dziewięć.

- Ojej, ale fajnie! Pamiętam, jak sama miałam dziewięć lat, to były fajne czasy. A kiedy miałaś urodziny?

Duża, okrągła łza pojawiła się w kąciku oka Sophie i szybciotko spłynęła po policzku.

- Dz-dzisiaj - wykrztusiła.

- Rozumiem - powiedziała Ellen miękko. - Świątowałeś dziś z tej okazji?

Kiwnęła główką.

- Sophie, czy byłaś w którymś z tamtych samochodów? Kolejne kiwnięcie.

Jacob poczuł w gardle rosnącą gulę. Zasluchany w ich rozmowę, ledwo zwracał uwagę na ratownika, który sprawnie opatrywał mu rękę.

- A w którym? Powiesz mi? — drążyła Ellen. Podniosła głowę i raz jeszcze spojrzała na miejsce wypadku. Niebieski datsun leżał na boku jakieś pięćdziesiąt kroków dalej, tuż przed kombi, mocno uszkodzonym z przodu i z tyłu. Obydwa pojazdy nadawały się już tylko do kasacji, na szczęście ich pasażerowie wyszli z wypadku bez szwanku. Pozostałe cztery samochody, które brały udział w karambolu - volvo, niewielki pikap, mercedes i duża furgonetka kurierska UPS - porozrzucane były na całej szerokości czteropasmowej jezdni. Pikap został uderzony od strony pasażera, po czym najwyraźniej dachował i najechał na datsuna. Najbardziej ucierpiało jednak volvo, które zderzyło się czołowo z o wiele większą furgonetką. Mercedes Jacoba leżał na boku, nieopodal przeciwnielego krawężnika. Wyglądało na to, że pojazd obrócił się kilkukrotnie i dopiero wtedy zatrzymał, ale Jacob

zupełnie tego nie pamiętał. Przyglądał się teraz, jak strażacy usiłują za pomocą rozpieraka otworzyć zakleszczone drzwi volvo, żeby wydobyć z niego ciało ofiary uwięzione w środku. Obok, na ziemi, leżało ciało drugiej osoby wydobytej z tego samego samochodu, przykryte niebieską płachtą. Jakies dwadzieścia metrów dalej zespół ratowników medycznych gorączkowo krzątał się wokół kierowcy furgonetki UPS.

- Powiedz mi, skarbie: w którym samochodzie jechałaś? — powtórzyła Ellen.

Sophie niechętnie kiwnęła głową po raz trzeci. Spojrzała błagalnie na Ellen, jakby chciała powiedzieć: „Nie każ mi mówić”. Ale chyba wyczuła, że policjantka musi to wiedzieć. Sophie dzielnie uniosła rękę i wskazała na volvo.

- W tamtym. To jest moja mamusia - szepnęła, kiedy dwaj strażacy ostrożnie wyciągali z samochodu bezwładne ciało smukłej, trzydziestokilkuletniej kobiety.

Jacob nie mógł dłużej znieść straszliwego ściskania w żołądku. Odwrócił głowę w drugą stronę i długo wymiotował. Kiedy przestał, zamknął oczy. Oddałby wszystko, żeby cofnąć czas o tę jedną godzinę.

Posterunkowa Ellen Monroe z trudem powstrzymywała płacz. Wiedziała, że jej łzy nikomu teraz nie pomogą. Wzięła dziewczynkę na ręce i szybko zaniósła ją za szereg karetek, z dala od miejsca wypadku.

- Widzę, że jesteś zajęta - powiedział na ich widok inny policjant. - Mogę wam jakoś pomóc?

Ellen się skrzywiła.

- Nie, w porządku - odpowiedziała spokojnie. Starła się z całych sił, aby leżąc w jej ramionach dziewczynka nie usłyszała niepokoju w jej głosie. - Ale może mógłbyś wyświadczyć mi przysługę i zadzwonić do OS? Mam przeczucie, że będziemy ich tu potrzebować.

-os?

Ellen nie chciała wypowiadać na głos słów „opieka społeczna”, żeby nie niepokoić małej. Popatrzyła tylko na mężczyznę świdrującym spojrzeniem. „Wysil umysł, idioto!” - zdawała się mówić.

- Aaa, no tak. -Wreszcie się zorientował, o co chodzi. - Jasne. OS, zaraz ich tu dla was ściągnę.

Ellen ostrożnie posadziła Sophie z tyłu karetki i opatuliła ją kocem.

- Dasz sobie radę, mała, przetrwasz to. Wiesz o tym, prawda? Sophie zdobyła się tylko na rozgoryczony uśmiešek.

- Właśnie tak - zapewniła Ellen. - Jest tu mnóstwo ludzi, którzy chcą ci pomóc.

Uśmiech zniknął z twarzy dziewczynki. Ellen postanowiła zmienić temat, w obawie, że mała rozklei się zupełnie przed przyjazdem fachowej pomocy psychologicznej.

- Wcześniej, jeszcze zanim zaczęłyśmy rozmawiać, słyszałam chyba, jak rozmawiałaś z tamtym panem o czekoladzie. Lubisz czekoladki? Bo tak się składa, że mam jedną. Chcesz? -to mówiąc sięgnęła do kieszeni kamizelki i wyciągnęła z niej czekoladowego cukierka, owiniętego w srebrną folijkę. Sophie podniosła głowę, wyraźnie zainteresowana.

- Proszę bardzo. To dla ciebie.

Sophie rozwinęła papierek i wsadziła czekoladkę do buzi. Słodki smak wyraźnie ją uspokajał. „Działa za każdym razem” — pomyślała Ellen.

- No dobrze, powiedz mi, Sophie, co taka urocza dziewięć-ciolatka jak ty robiła dziś z okazji urodzin, jesteś ślicznie ubrana. Byłyście z mamą na kolacji w restauracji?

- Mhm...

- Super. I gdzie poszłyście? Na pewno do jakiegoś fajnego miejsca. Chociaż Ellen sama nie była matką, doskonale dogadywała się z dziećmi. Nawet jeśli ich wcześniej nie znała, potrafiła rozmawiać

z nimi, jakby od zawsze była ich koleżanką. Ta umiejętność przydawała jej się zwłaszcza w takich ściskających serce sytuacjach.

— Nie pamiętam, jak się nazywała. Taka japońska. Chodzimy tam tylko wtedy, jak jest specjalna okazja.

Sophie zerknęła na swoją rękę i szybko zacisnęła piąstkę.

- Co tam masz? Pokażesz? - spytała Ellen, kiedy zauważyła ten gest.

— Nie chcę, żebyś to widziała.

- Okej - odpowiedziała swobodnie. - Spoko, nie ma problemu. A w restauracji było fajnie?

-Ahaś - odpowiedziała Sophie. Po chwili dodała: - Tam kucharze gotują przy stole. Nasz kucharz zrobił wulkan z cebuli, i ten wulkan tak się palił! To mi się najbardziej podobało.

- Ojej, Sophie, to musiało być super! A co po kolacji?

- Tata powiedział, że musimy wracać do domu, bo muszę się wyspać, bo jutro szkoła.

Jasna cholera! Jej ojciec to ten mężczyzna pod niebieską płachtą.

— Byłaś tylko z rodzicami czy z kimś jeszcze?

- Z babcią. Mieszka z nami, odkąd umarł dziadek. *I babcia też! O Boże.*

— Rozumiem. I po kolacji wszyscy razem pojechaliście do domu, tak?

— Tak - odpowiedziała Sophie, jeszcze mocniej zaciskając dłoń.

- A... zatrzymywaliście się gdzieś po drodze?

No, dalej, Sophie, powiedz, co się wydarzyło. Pomóż mi zrozumieć, co cię spotkało, żebym mogła ci pomóc.

Sophie spojrzała w lewo, potem w prawo, aż jej wzrok zatrzymał się na jakimś punkcie kilkaset metrów dalej.

— Ja chciałam. Ale tata... tata spieszył się do domu. Powiedziałam mu, że życzeniem mojego serca jest, żeby kupił mi czekoladę w tamtym sklepie — wyjaśniła, wskazując palcem. - Tam mają najlepszą czekoladę w mieście. Tak mówi mama.

- W takim razie koniecznie muszę jej kiedyś spróbować. I co było potem?

- Tata powiedział, że nie. - Nie będzie czekolady?

- Ahaś. Nie dzisiaj, bo już jedliśmy deser w restauracji. Ale powiedziałam mu, że takie jest życzenie mojego serca.

Ellen uniosła pytająco brwi. Mała po raz kolejny użyła tego dziwnego zwrotu.

- A co on na to?

Sophie spojrzała na zaciśniętą piąstkę, potem na policjantkę, a potem znowu na sklep ze słodyczami.

- On... on chyba zapomniał.

- O czym? Co masz na myśli?

- No bo... Życzeniem mojego serca było dostać czekoladę. Ale tata musiał o tym zapomnieć, więc chciałam mu to pokazać... — powiedziała Sophie, wyciągając przed siebie rączkę. — Pokazałam mu, żeby się zatrzymał.

- Pokazałaś mu rękę?

Sophie pokręciła przecząco głową.

- Pokazałam mu to, co mam w ręku. W restauracji tata powiedział mi, że moje życzenie się spełni, więc chciałam mu o tym przypomnieć. A potem...

Ellen delikatnie głaskała dziewczynkę po ramieniu.

- W porządku, kochanie. Co wydarzyło się potem? /

- Tata odwrócił się, żeby to zobaczyć. A potem usłyszeliśmy dźwięk klaksonu. Tata nie zdążył odwrócić się z powrotem w stronę kierowcy... - Ellen z trudem dosłyszała ostatnie słowa.

Sophie opuściła ciężko głowę.

- To wszystko moja wina — powiedziała i rozplakała się.

W tym momencie pojawił się drugi policjant, który był z nimi wcześniej.

- Niedługo będą - powiedział cicho, żeby nie przeszkadzać.

- Dzięki, Pete. Słuchaj, babcia Sophie też była w samochodzie. Czy mógłbyś...

Ale Pete rzucił jej spojrzenie, które sprawiło, że przerwała w pół zdania. Nie pytaj. Nie spodoba ci się odpowiedź.

Ellen zaczęła energicznie gładzić Sophie po ramieniu.

-Wszystko będzie dobrze, Sophie Jones. Obiecuję. Będzie dobrze. I to wcale nie była twoja wina.

Sophie szczelniej owinęła się kocem i ponownie spojrzała na zaciśniętą piąstkę.

- Możesz mi pokazać, co tam masz? Proszę.

Sophie kiwnęła głową i powoli rozchyliła drżące palce. Na środku dłoni leżał pognieciony kawałeczek papieru - wróżba z chińskiego ciasteczka. Ellen przysunęła się bliżej, żeby odczytać tekst. Zrozumiała, o co chodziło.

Szczęście to dar, który mieszka w tobie. Życzenie twojego serca wkrótce się spełni.

-Ale to nieprawda - powiedziała Sophie. - Ciasteczka z wróżbą nie mówią prawdy, mam rację? Mój tata kłamał.

Ellen bała się powiedzieć cokolwiek, żeby jeszcze bardziej nie przybić dziewczynki. O ile w ogóle było to możliwe.

- Cóż, życzenia się spełniają... - skłamała. — Tylko... nie od razu.

Na te słowa Sophie otworzyła szerzej oczy, ale tylko spytała z powątpiewaniem:

— Naprawdę?

— Pewnie. - Ellen wzruszyła ramionami. — Twój tata by cię przecież nie okłamał, prawda? Ja też nie.

Sophie milczała. Rozważała to, co przed chwilą usłyszała.

— No dobrze. Jeśli rzeczywiście myślisz, że życzenie mojego serca się spełni, to życzę sobie, żeby moja rodzina

była tu z powrotem. Widziałam ich w samochodzie i... jestem już na tyle duża, że wiem, że umarli. Ale chcę, żeby do mnie wrócili! Takie jest moje życzenie.

Ellen czuła się tak, jakby ktoś' wyszarpał jej serce z piersi. Po raz pierwszy w swojej karierze pozwoliła emocjom wziąć górę. Jej oczy napełniły się łzami.

- Och, kochanie, tak mi przykro - płakała. - Wiem, że byś tego chciała. I wierz mi, to jest też moje marzenie. Ale... ale...

- Ale nie mogę mieć takiego życzenia, prawda?

Ellen westchnęła głęboko, po czym otarła sobie łzy płynące po policzkach. Dotknęła delikatnie buzi Sophie i zaciesała jej za ucho kosmyk włosów.

- Obawiam się, że nie, kochanie.

Sophie zmięła skrawek papieru i rzuciła go na ziemię. Upadł bezgłośnie wprost do rynsztoka wypełnionego rwącą wodą. Patrzyła, jak odpływa, zabrawszy ze sobą jej wszystkie marzenia i nadzieje. Jakaś część Sophie miała ochotę pobiec, wyłowić go, wysuszyć i udawać, że wszystko będzie dobrze. Ale wiedziała, że wcale nie będzie dobrze. Postanowiła, że nie będzie oszukiwać samej siebie. Nie było już mamy ani taty, nie było dziadków, nie było na świecie nikogo, kto by ją kochał. Wróciła pamięcią do scen z miejsca wypadku - widziała kierowcę furgonetki, rozbite samochody, mężczyznę bez palców, a przede wszystkim: bezwładne ciała swoich rodziców.

-To moja wina - wymamrotała do siebie. - Wszystko moja wina.

ROZDZIAŁ 3

Coś, co utraciłeś, niebawem do ciebie powróci. Szkoda tylko, że niektórych rzeczy wolelibyśmy nigdy nie odzyskać.

21 września 2009 r.

Sklep Sophie był niewielkim lokalikiem, mieszczącym się na Commerce Avenue, opatrzonym lśniącym wypukłym szyldem wiszącym tuż nad frontowym wejściem. „Chocolat' de Soph” - głosił napis wytłoczony na niklowej powierzchni. Na dole mieścił się jeszcze mały dopisek: „Słodycze prosto z serca”.

Wnętrze sklepiku urządzone było zdecydowanie ekskluzywnie. Na ścianach wisiało kilka nowoczesnych obrazów, porozmieszczanych na różnej wysokości. Ich kolorowe, wzorzyste powierzchnie stanowiły kontrast z lśniącą czarną boazerią i stalowym wykończeniem. Cztery kryształowe patery były ułożone jedna na drugiej na szczycie gablotki z piaskowanego szkła. To na nich umieszczane były potem cukierki ciągutki, którymi Sophie częstowała gości. Dwa granitowe blaty, oparte na grubych nogach z kutej stali, stały w przeciwległych końcach pomieszczenia, nieopodal przyciemnianych wykuszowych okien. Porozstawiane przy nich wysokie barowe krzesła przeznaczone były dla gości, którzy będą mieli ochotę przysiąść na chwilę z filiżanką kawy, żeby podelektować się którymś z czekoladowych dzieł właścicielki.

Godziny poranne minęły Sophie na codziennych zadaniach: siekaniu orzechów, napełnianiu foremek, rozpuszczaniu masła, mieszaniu sypkich produktów, ubijaniu kremów, odmierzaniu płynów, dodawaniu słodzików i na tysiącu innych rzeczy, które musiały zostać wykonane przed otwarciem sklepu o dziesiątej- Jakby tego było mało, Sophie musiała co i rusz sprawdzać, czy Łwałynn nie dobrała się do kuleczek z masła orzechowego, zanim stwardniały na tyle, żeby można było zanurzyć je w czekoladzie.

Evi, co było do przewidzenia, okazała się kiepską pomocnicą. Zajmowała się głównie maczaniem palców w czekoladowych kremach, żeby sprawdzić, który z nich smakuje jej najbardziej. Sophie nie miała jej tego za złe. Pomimo tego, że wolałaby być dziś sama ze swoimi myślami, nie mogła nie docenić gestu przyjaciółki. Sama jej obecność sprawiała, że ten ciężki dzień stawał się jakby nieco lżejszy.

O dziewiątej czterdzieści, kiedy wszystko było już prawie gotowe, Sophie udała się do swojego prowizorycznego biura, mieszczącego się przy kuchni na tyłach sklepiku, chwyciła długopis i garść wąskich pasków papieru i usiadła. Z listy porannych obowiązków została jej już tylko jedna pozycja. Wymyślanie wróżb niepostrzeżenie stało się jej ulubionym zajęciem w pracy. Prawdopodobnie to właśnie dzięki nim jej niszowy biznes trzymał się całkiem nieźle, mimo zwalniającej gospodarki.

- Jakiś motyw przewodni? - spytała Evalynn.

- Nie — odpowiedziała krótko Sophie, w zamyśleniu stukając długopisem o dolną wargę.

-Jakieś delikatne rozczarowanie czy może brutalne łamanie serc? Sophie podniosła głowę i rzuciła przyjaciółce poirytowane spojrzenie.

- Cśśś. Ani jedno, ani drugie. Chodzi o prawdziwe życie i tyle.

Evi z trudem stłumiła śmiech.

- Prawdziwe życie? Moje czy twoje?

- Przestań.

- Mogę pomóc ci w pisaniu?

- Nie.

- A mogę chociaż jedną truflę z masła orzechowego? — spytała z nadzieją.

Sophie warknęła cichutko, po czym wycodziła:

- Błagam, bądź cicho. Nie mogę się skupić. Po prostu wyłącz na parę minut swój aparat mowy. Bardzo cię proszę.

- Uznam, że to oznacza zgodę - zachichotała Evalynn i ruszyła w stronę tacki ze świeżymi truflami, które pyszniły się na wystawie.

- Niech ci będzie - odpowiedziała Sophie z rezygnacją. -Po używaj sobie. Daj mi tylko pięć minut spokoju, żebym mogła to skończyć.

Kwadrans później Sophie z zadowoleniem stwierdziła, że ma na dziś wystarczającą liczbę papierków. Zebrała je wszystkie i po chwili była już obok Evalynn.

- Jak ci poszło? - spytała Evi. Sophie wręczyła jej garść zwitków.

- Przekonaj się sama. A kiedy skończysz czytać, może mogłabyś powkładać je do ciasteczek? Ja przed otwarciem muszę jeszcze posprzątać na zapleczu.

Nawet najlepsi mistrzowie czekolady nie spodziewają się porannego natłoku klientów, Sophie nie była więc zaskoczona, kiedy po włączeniu neonu „Otwarte” przez dłuższy czas nikt się nie pojawiał. Chocolat' de Soph otwierało swe podwoje punktualnie o dziesiątej, ale pierwsi klienci pojawiali się dopiero pół godziny później, a i tak zazwyczaj bardziej niż cokolwiek innego interesowała ich darmowa degustacja czekoladek.

Kilka minut po jedenastej ruch zgęstniał - zbliżała się pora lunchu. Jak zwykle największą popularnością cieszyły się Złowróźbne Ciasteczka, które zawierały wyjątkowe, ręcznie pisane zapowiedzi nadchodzących nieszczęść i katastrof. Z założenia Złowróźbne Ciasteczka nie były najsmaczniejszymi wytworami Sophie. Zwijała je i piekła tak samo jak klasyczne ciasteczka z wróżbą, a potem zanurzała je w bardzo gorzkiej, ciemnej czekoladzie, niesłodzonej, importowanej prosto z jednej z brazylijskich plantacji kakaowców. W rezultacie powstawał zaskakujący smak, który zbijał z pantafelki niczego niepodświadomych smakoszy. Sophie wymyśliła te ciasteczka jedenaście miesięcy wcześniej i była przekonana, że będą tylko sezonowym żarcikiem, intrygującą nowością. Ku jej ogromnemu zaskoczeniu te gorzkie specjały zyskały ogromną popularność i stały się szczególnie pożądanym produktem. Szybko zrobiło się o nich głośno i dzień w dzień sprzedawały się błyskawicznie. Sophie zaczęła nawet otrzymywać listowne i e-mailowe zamówienia z różnych części kraju.

Tuż przed drugą, gdy Sophie zajęta była obsługiwaniem małżeństwa, absolutnie zachwyconego faktem, że według ciasteczkowych wróżb czeka ich niebawem awaria samochodu, a znajomi będą ich bezlitośnie obgadywać za plecami, Evi postukała palcem w tarczę swojego zegarka i niemal bezgłośnie oznajmiła:

-To już za chwilę!

Sophie zmarszczyła brwi na samą myśl o planach, o których wspominała wcześniej przyjaciółka. Wydała resztę i odczekała chwilę, aż małżonkowie wyjdą.

-No dobra, Evi. Mów. Co to za niespodzianka?

Evalynn ponownie zerknęła na zegarek.

— Mówiłam ci przecież, nie pisnę ani słowa.

- Co to będzie? Kurier przywiezie jakąś przesyłkę?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi.

- To jest jakaś rzecz? Coś namacalnego? - Cisza. — Oj, Evi, nie bądź taka, daj jakąś podpowiedź. Wiesz doskonale, że nie znoszę niespodzianek.

- No już dobrze. Tak, to coś namacalnego. Pojawi się w sklepie. Ale to tyle, więcej informacji ode mnie nie wyciągniesz. -Zacisnęła usta w linijkę i udała, że zamyka je na kluczyk, który potem wrzuca sobie za dekollet.

- A kiedy? Mam nadzieję, że dopiero pod koniec dnia. Evalynn zerknęła w kierunku drzwi, ponad głową Sophie, potem z powrotem na zegarek, po czym zaczęła kierować się na palcach w stronę kuchni.

- Cóż... - zaczęła powoli, przeciągając słowa, jednocześnie rzuciła krótkie spojrzenie w stronę wejścia. — Sądzę, że pojawi się właśnie... — Evi zniknęła przyjaciółce z oczu. — ...teraz!

W tym samym momencie rozległ się delikatny dźwięk dzwoneczka zawieszzonego przy frontowych drzwiach. Sophie stała ciągle plecami do wejścia. Wcale nie miała ochoty na niespodzianki. Żołądek ścisnął jej się z nerwów, a w głowie roiło się od domysłów, skąd u tej niespodzianki taka punktualność. Może to śpiewający telegram? Nie, to byłoby zbyt kiczowate, nawet jak na Evi. Jakaś przesyłka? Tylko co by w niej mogło być? Z pewnością nie czekoladki. Może kwiaty? Tak! Jakiś ładny bukiet... Uch, cholerne niespodzianki. Niech to będą kwiaty, niech będą kwiaty...

Sophie odwróciła się niechętnie. Wcześniej zamknęła oczy, żeby odsunąć jak najdalej w czasie to, co było już nieuniknione. Wzięła kilka krótkich oddechów, mamrocząc pomiędzy nimi nieuprzejmości pod adresem Evalynn. Uchyliła jedną powiekę. Tylko odrobinę. Po chwili jednak stała już z szeroko otwartymi oczami.

- Co do jasnej... - Poczula, że twarz zalewa jej rumieniec. Próbowala się pozbierać, lecz z ust wyrwało jej się dosadne: — No cholera jasna.

Nie było to dokładnie to, co chciała powiedzieć, wypowiedziała to jednak z takim opanowaniem, na jakie tylko było ją stać, a po chwili dorzuciła z wdziękiem:

- Chyba będę wymiotować.

ROZDZIAŁ 4

Jedno jabłko z wieczora trzyma z dala doktora? Lepiej szybko zainwestuj w sad jabłoniowy.

Niedobrze ci? Może powinnaś pójść do lekarza? Trzymał w ręku tuzin długich róż, poprząkanych świeżymi liliami. Miał idealny kształt ust i mocno zarysowaną szczękę. Był piętnaście centymetrów wyższy do Sophie i doskonale proporcjonalny. Wyglądał dokładnie tak, jak zapamiętała go Sophie: gęste ciemne włosy, urocze dołeczki w policzkach, łagodny, głęboki ton głosu.

W pierwszym odruchu Sophie miała straszną potrzebę przeczesania włosów i przyglądzenia koszuli, ale się powstrzymała. „Trudno pozbyć się starych nawyków” - pomyślała.

- Lekarza? Jeden stoi właśnie przede mną i to on jest moim problemem.

Nie powiedziała nic więcej. Rozglądała się tylko w poszukiwaniu jakiegoś punktu, na którym mogłaby skoncentrować wzrok. Byle na niego nie patrzeć.

- Co ty tu właściwie robisz?

Zrobił kilka kroków w jej stronę i zamknął za sobą drzwi. Z jego twarzy nie zniknął nieśmiały uśmiech.

- Możemy zacząć od początku? Jakies powitanie? Choćby „cześć” albo „miło cię widzieć”?

Sophie splotła ciasno ręce i nerwowo przygryzła wargę.

- Naprawdę musimy? Wziął głęboki oddech. - Nie. Ale chciałbym.
Rzuciła mu badawcze spojrzenie, po czym wreszcie ustąpiła.

- Niech będzie.

- Na pewno?

- Jasne - odpowiedziała i zamilkła w oczekiwaniu. — Ach, chcesz, żebym to ja zaczęła?

- W końcu to twój sklep ze słodyczami — odpowiedział i mrugnął zadziornie. Sophie przypomniała sobie, jak zawsze lubiła to jego mruganie. Teraz nie była tego już taka pewna.

- No dobrze. Yyy... Cześć, Garrett. Przyszedłeś tu. Na dodatek niezaproszony. Witaj.

- Cześć, Sophie — odpowiedział ciepło. — Wszystkiego najlepszego - dodał. Uniósł bukiet i zaczął powoli, ostrożnie, podchodzić w jej kierunku, niczym mysz krążąca wokół pułapki. — Wspaniale wyglądasz. Jak się miewasz?

Sophie nie odpowiedziała od razu. Rzuciła krótkie spojrzenie na swoje odbicie w szklanej gablocie. To, co zobaczyła, wstrząsnęło nią. Nie była już pewną siebie, niezależną kobietą sukcesu. Była nastolatką z błyszczącymi z przejęcia oczami, marzącą o tym, że któregoś dnia zakocha się szczęśliwie i na zawsze. Spojrzała jeszcze raz i widziała tę samą dziewczynę, ale kilka lat starszą, na studiach, okropnie samotną, która boi się, że nigdy nie znajdzie nikogo, kto byłby z nią absolutnie bezwarunkowo. Ponownie obraz się zmienił. Kolejne nieudane związki, kolejni mężczyźni, wszyscy tacy sami. I wszyscy w końcu łamali jej serce. A potem zdarzył się cud. I nagle zobaczyła siebie, pokazującą Evi pierścionek zaręczynowy, trzymającą Garretta za rękę. Planowanie ślubu, rozsyłanie zaproszeń. Sophie zmrużyła oczy, ale obraz zaczął się rozmazywać. Oczywiście.

- Bywało lepiej. A teraz pozwól, że powtórzę: co ty tu robisz?

Garrett zbliżał się do niej drobnymi krokami, aż doszedł do szklanej gablotki. Po jej drugiej stronie stała Sophie. Spojrzał na nią jeszcze cieplej. Uśmiech powoli zniknął mu z twarzy. Z poważną miną oznajmił:

- Tęskniłem za tobą, Sophie.

Przez ułamek sekundy Sophie rozważała w myślach najróżniejsze reakcje na tę zaskakującą deklarację. Mogła zapłakać żałośnie, odwrócić się na pięcie i wyjść, ucieszyć się i paść mu w ramiona, zacząć histerycznie krzyczeć, wymiotować, spanikować, zemdleć, zadzwonić na policję, rzucić w niego miską z czekoladowym kremem. Albo wszystko naraz. Albo...

Sophie się roześmiała. Krótki śmiech, którym dała do zrozumienia, że to chyba najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszała. Kiedy skończyła, zerknęła w stronę okna - chciała się upewnić, że do sklepu nie wejdzie za chwilę żaden klient. Zobaczywszy, że teren jest czysty, krzyknęła ile sił w płucach:

- Evalynn Marion Mason-Mack! Chodź tu natychmiast! Gdzieś z zaplecza dało się słyszeć cichy głos:

- Yyy... już, chwileczkę.

- Natychmiast - powtórzyła Sophie. - I wyjmij te swoje brudne paluchy z surowego ciasta z masłem orzechowym!

Nastąpiła krótka przerwa, po której dało się słyszeć pełne niedowierzania mruknięcie:

- Co jest, kurczę? Czy w tej lodówce jest jakaś ukryta kamera? Kilka sekund później Evi nieśmiało wychynęła zza ściany oddzielającej kuchnię od reszty sklepiku i grzecznie dygnęła.

- Wzywałaś, o pani? Dodam, że całkiem donośnie. Sophie złapała ją za rękaw i przyciągnęła do siebie.

- Mów - zażądała krótko, wskazując Garretta, który znowu się uśmiechał.

- Hej, ostrożnie, trochę litości dla kobiety w ciąży - zażartowała Evalynn.

- Mów. Ale już. Wyjaśnij to.

- Daj spokój, Sophie. Pomyślałam po prostu... no wiesz, że przydałoby ci się jakieś urozmaicenie z okazji urodzin.

- Urozmaicenie? — huknęła. — Chyba raczej bomba. Co ty sobie właściwie myślałaś?

- Ja... - zawahała się Evalynn. - Rozumiem, że możesz być nieco zszokowana, ale... Naprawdę, pomyślałam sobie po prostu... Ej, naprawdę nie widzisz humorystycznego aspektu tej całej sytuacji? Wiesz — stara miłość nie rdzewieje, te sprawy?

Sophie miała ochotę wrzeszczeć. Z trudem się opamiętała.

- Chcesz mi powiedzieć, że *to* jest właśnie ta twoja wielka niespodzianka? Dwadzieścia lat po najgorszym dniu mojego życia ty postanawiasz uczcić tę wyjątkową rocznicę, zapraszając osobę, która była odpowiedzialna za *drugi* najgorszy dzień mojego życia? Świetnie, po prostu świetnie.

Evalynn wzruszyła ramionami.

- Cóż, jeśli tak to widzisz, w sumie...

- Chwileczkę, drogie panie - wpadł jej w słowo Garrett. Minę miał znowu poważną. Sophie wyobrażała sobie, że tak właśnie wygląda, kiedy przekazuje swoim pacjentom złe wieści. - Czy mógłbym coś powiedzieć? - Ponieważ żadna z nich nie odpowiedziała, kontynuował: — Sophie, zadzwoniłem do Evi kilka dni temu, kiedy postanowiłem wreszcie, że cię odwiedzę. To nie ona mnie tu zaprosiła. Wręcz przeciwnie, w pierwszym odruchu zakazała mi tu przychodzić. Ale kiedy zrozumiała, że mnie nie przekona, postanowiła również przyjść, na wypadek, gdybyś jej potrzebowała.

- To prawda? - zwróciła się Sophie do Evalynn. Evi przytaknęła.

- I zdaję sobie sprawę - ciągnął Garrett - że cię zraniłem. Nie mam zamiaru silić się na jakiegokolwiek wymówki. Ale musisz wiedzieć, że ty również mnie zraniłaś. Twój drugi najgorszy dzień

jest moim jedynym najgorszym dniem i... i dlatego właśnie jestem tu dzisiaj. Były pewne sprawy, o których wtedy nie miałem odwagi powiedzieć. Ale czuję, że powinnaś poznać prawdę. I myślę, że jeśli dasz mi taką możliwość, udowodnię ci, że twoje urodziny to idealny moment, aby mnie wysłuchać. - Garrett wyciągnął przed siebie rękę, w której trzymał kwiaty, i spojrzał głęboko w oczy Sophie. Ta z ociąganiem przyjęła bukiet, rzucając Garrettowi groźne spojrzenie, po czym przeniosła wzrok na Eva-lynn i ponownie na Garretta.

— Czyś ty kompletnie oszalał? Nie wiedziałam, że mój sklep przyciąga wariatów, słowo daję! Garrett, wydaje mi się, że nie mamy o czym rozmawiać. W końcu minął już prawie rok, na litość boską! Odszedłeś. Miałeś ku temu swoje powody. I tyle.

Na twarzy Garretta malowało się rozczarowanie.

— Chcesz powiedzieć, że nie poświęcisz mi nawet jednego popołudnia, żebyśmy spotkali się w jakiejś knajpce i porozmawiali? Opowiedziałbym ci...

— Zaraz, zaraz. Powiedziałeś przed chwilą, że przyszedłeś tutaj, żeby porozmawiać. A teraz masz jeszcze nadzieję na randkę?

— Sophie, posłuchaj. Mam ci do powiedzenia coś bardzo ważnego. Pewnie ci się nie spodoba, ale wydaje mi się, że powinnaś to wiedzieć. Nie moglibyśmy usiąść gdzieś, dogadać się, oficjalnie zamknąć pewien etap? - Rzucił jej błagalne spojrzenie. — Proszę!

Stanowczo pokręciła głową.

— Nie. Nie ma mowy. -Ale ja...

Sophie uniosła ostrzegawczo palec. -Nie.

-Jedna, jedyna randka - nie poddawał się Garrett. — Wiem, że powinienem był inaczej to wszystko załatwić, ale czy naprawdę proszę o zbyt wiele? Półtorej godziny twojego cennego czasu, żebym mógł ci powiedzieć to, co powinienem powiedzieć ci dawno temu?

Sophie zignorowała jego prośbę.

- Przykro mi, ale jestem bardzo zajęta prowadzeniem sklepu. Evi, dam sobie tu ze wszystkim radę, możesz iść na zaplecze mi pomóc? Pozmywasz naczynia?

Ewalynn przytaknęła przepraszająco i zniknęła za ścianą.

Garrett wyglądał tak, jakby ktoś wymierzył mu właśnie siarczysty policzek. Patrzył z utęsknieniem na tę piękną kobietę, która skradła mu serce. Ale on również skradł jej serce, trzymał je w dłoniach niczym skarb, a potem, kiedy najmniej się tego spodziewała, upuścił je i podeptał.

- Cóż, skoro już tu jestem - powiedział zrezygnowany - mogę chociaż kupić trochę twoich czekoladek?

Sophie przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią. Ostatecznie doszła do wniosku, że nie jest to z jego strony żadna sztuczka.

- Niech ci będzie. Nie będę przecież marnowała szansy na zarobek - odpowiedziała bezbarwnym głosem.

Dokładnie obejrzał słodczyce ułożone starannie na szklanych półeczkach.

- Pojawiło się coś nowego, odkąd byłem tu ostatnim razem? Sophie z trudem powstrzymała złośliwy uśmiezek, który czaił się w kącie jej ust.

- A i owszem. Te tutaj są absolutnym hitem! - oznajmiła z dumą, wyciągając zza lady koszyczek wypełniony ciasteczkami z wróżbą. — Nie uwierzysz, ale powstały między innymi dzięki tobie. Byłeś dla mnie swojego rodzaju inspiracją.

- Naprawdę? - spytał, na poły z zadowoleniem, na poły z niedowierzaniem. — Wyglądają przepysznie. Ile za jedno?

- Trzy dolary.

- W takim razie poproszę. Plus sześć truflí na drogę. Po jednej z każdego rodzaju.

Sophie wybrała czekoladki i zapakowała je do pudełeczka, ciasteczko zaś położyła na serwetce. Wiedziała, że to okrutne

z jej strony, ale miała cichą nadzieję, że Garrett zje je przed wyjściem ze sklepiku i będzie mogła obserwować jego reakcję.

Garrett nie zawiódł. Wyciągnął portfel i położył pieniądze na ladzie, po czym chwycił ciasteczko i ugryzł je. Sophie patrzyła wyczekująco, uśmiechnięta coraz szerzej i szerzej, kiedy jego idealnie białe zęby zatapiały się w ciemnej czekoladzie.

Na początku starał się przybrać minę, jakby się delektował. Przez kilka sekund pozwolił swoim kubkom smakowym przeanalizować nowy smak. Po chwili jego twarz wykrzywił grymas.

- Sophie, to jest... - powiedział z trudem. - To smakuje jak megagorzka czekolada do wypieków.

Sophie zrobiła urażoną minę.

— Och, nie smakują ci? Jestem zdruzgotana. Wytarł okruszek z ust i dyskretnie splunął w serwetkę.

- Naprawdę sprzedajesz je ludziom? I oni za nie płacą? Prawdziwe pieniądze?

Po raz pierwszy od chwili, kiedy wszedł do sklepu, Sophie roześmiała się szczerze.

— Czy to nie cudowne? Nazywam je Złowróbnymi Ciasteczkami. Tylko prawdziwi twardziele zjadają je w całości. Większość kupuje je tylko po to, żeby przeczytać wróżbę.

Garrett odłamał kawałek ciasteczka, tak żeby łatwiej mu było wyjąć wciśnięty do środka zwitek papieru.

— „Twoja praca wydaje się pewna, bądź jednak cierpliwy! W końcu nic nie trwa wiecznie!” Co to ma właściwie znaczyć?

Sophie wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia, doktorze Black. Ja tu tylko piszę.

— To najbardziej przygnębiająca wróżba, jaką kiedykolwiek czytałem.

- Jeśli kupisz jeszcze kilka ciasteczek - odpowiedziała ze złośliwym błyskiem w oku - jestem pewna, że łatwo znajdziesz taką, która ją przebije.

Otworzył usta ze zdziwienia.

- Chcesz powiedzieć, że ludzie przychodzą tutaj po to, żeby dostać takie przygnębiające wróżby? Dlaczego właściwie mieliby to robić?

Sophie z promiennym uśmiechem na ustach wydała mu resztę.

-Tak, owszem, przychodzą. Ale dlaczego? Tego naukowcom nie udało się jeszcze ustalić. Evi twierdzi, że ludzi urzeka to, że są jedyne w swoim rodzaju. Ale moim zdaniem ludzie potrzebują czasem porządnej dawki brutalnej rzeczywistości. Życie jest do kitu. Jest gorzkie, zupełnie jak ta czekolada. Po co więc udawać, że jest inaczej?

Garrett patrzył na nią pustym wzrokiem. Zupełnie nie wiedział, co odpowiedzieć.

- O rany - odezwał się wreszcie, wypuszczając powietrze. - Wygląda na to, że Evalynn miała rację. Rzeczywiście nie jesteś szczęśliwa. Prawda?

Uśmiech zamarł jej na ustach. Odwróciła się, żeby sprawdzić, czy przyjaciółka jest w zasięgu jej wzroku.

- Evi tak powiedziała?

Przytaknął. Sophie wzruszyła tylko ramionami.

- Cóż, może i ma rację. Żeby było jasne: nie jestem smutna ani tym bardziej w depresji. Ale wiem też, że nie jestem teraz szczególnie szczęśliwa.

- Hm... A od jak dawna się tak czujesz?

- O nie, doktorku, bez diagnozowania, bardzo proszę. Jesteś w końcu podiatrą, a nie psychologiem, leczysz tylko stopy. A poza tym - czym właściwie jest szczęście? Moim zdaniem jest bardziej niż prawdopodobne, że osoby, które deklarują, że są szczęśliwe, nie byłyby w stanie odpowiedzieć na to proste pytanie. A ci, którzy twierdzą, że wiedzą, czym jest szczęście, po prostu wymyślają jakieś teorie, żeby poczuć się lepiej.

Garrett posmutniał i wbił ręce w kieszenie spodni.

— Nie mów mi tylko, że naprawdę wierzysz w to, co mówisz. Poprawiła kosmyk włosów, który opadł jej na twarz.

- Dlaczego nie? Rozejrzyj się wokół. Te wszystkie rzeczy, które uważane są za źródło szczęścia są... ulotne. Weźmy na przykład nasz związek. Ulotnił się. Jest tak, jak w twojej wróżbie: nic nie trwa wiecznie.

— Wydaje mi się, że nie masz racji.

Sophie wpatrywała się w niego intensywnie. Od dawna nie studiowała tak uważnie jego twarzy. W skrytości ducha przyznawała sama przed sobą, że w dalszym ciągu patrzy na niego z przyjemnością. Miała motylki w brzuchu, kiedy patrzył na nią tak, jakby była jedyną osobą na całym świecie.

- Powiedz mi więc, Garrett: czym jest szczęście?

Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią, drapiąc się za uchem.

— Dla mnie? Cóż... w tej chwili uważam, że szczęściem jest, kiedy można być zupełnie szczerym wobec ludzi, na których nam zależy.

Jego uwaga zbiła Sophie z pantafelku. Wygładziła materiał fartucha.

— A co to dokładnie znaczy?

-To znaczy, że przez ostatnie jedenaście miesięcy skrywałem przed tobą pewien sekret. I nie mogę już dłużej wytrzymać. Nie będę szczęśliwy, dopóki nie poznasz całej prawdy o mnie.

Zaskoczona Sophie zrobiła krok w tył.

- O cholera... Nie mów! To jest jakaś wielka *prawda* o tobie? Co to może być? Nie, nie mów! Sama zgadnę.

Myśli w jej głowie zaczęły wirować. Po tym, jak została bezceremonialnie porzucona, Sophie spędziła niezliczone godziny na zastanawianiu się, czym go właściwie odstraszyła. Ale brała również pod uwagę, że mogły istnieć pewne fakty, pewne

rzeczy, których o nim nie wiedziała. I zależało mu, aby nigdy ich nie poznała, postanowił więc, że najlepiej będzie odejść. Teraz te wszystkie myśli powróciły ze wzmożoną siłą.

- Zdradzałeś mnie? - krzyknęła na granicy płaczu.

- Nie, nigdy bym nie mógł...

- Co zatem? Tak naprawdę nie jesteś lekarzem? Musisz płacić jakieś alimenty, o których nie wiem? A może masz jakąś chorobę weneryczną? - Nagle zasłoniła usta ręką. — Och, nie mów mi tylko, że *to ja* byłam „tą drugą”. Jesteś żonaty, przyznaj się!

- Sophie! - krzyknął wreszcie, w nadziei, że go wysłucha. - Nie! Nic z tych rzeczy! Nie mogę uwierzyć, że mogłaś coś takiego pomyśleć!

- W takim razie co?

Nieco łagodniejszym tonem podjął znowu:

- Powiedziałem ci już, nie mogę powiedzieć ci tego tutaj. Musimy się spotkać, usiąść i poważnie porozmawiać. To, co mam do powiedzenia, jest bardzo skomplikowane i zasługuje na twoją niepodzielną uwagę. Jedno spotkanie, tylko o to cię proszę. Wybierz miejsce.

Dokładnie w tym momencie dzwoneczek przy drzwiach zabrzączał delikatnie, a do sklepu weszła młoda mama z dwójką małych dzieci. Garrett odsunął się od lady i przysiadł na jednym z krzeseł przy oknie, żeby zrobić dzieciakom miejsce. Miał tylko nadzieję, że nie zdecydują się na Złowróźbne Ciasteczka.

Podczas gdy kobieta pomagała maluchom dokonać trudnego wyboru, Sophie roztrząsała w myślach to, co powiedział o niej Garrett. „To okrutne z jego strony” - pomyślała. - „Sam pozbawił mnie poczucia szczęścia, a teraz pojawia się znikąd i wytyka mi, że nie jestem szczęśliwa”. Ale kiedy tak rozmyślała nad tym wszystkim, zdała sobie nagle sprawę, że Garrett nie jest wcale pierwszą osobą, która bez ostrzeżenia pozbawiła ją miłości i szczęścia. „Taki już mój los. Jak mogę winić go za to, że dodał po prostu kolejny rozdział do historii mojego życia?”

Sophie ponownie spojrzała na szklaną gablotkę. Na początku widziała tylko buzie dwójki dzieci, oblizujących się na sam widok łąkoci za szybką. Kiedy jednak się przyjrzała, po raz kolejny zobaczyła samą siebie sprzed lat. Uśmiechnięta mała dziewczynka pojawiła się niczym dawno niewidziany przyjaciel. Zaśmiewała się na kolanach ojca, chichotała, kiedy mama łąskotała ją w stopki. Oczy Sophie zaszkliły się, a obraz zniknął. Zamiast niego pojawił się nowy: ta sama dziewczynka, kilka lat później. Nie na tyle dorosła, żeby w pełni zrozumieć, że cudem uniknęła śmierci, ale wystarczająco duża, żeby pamiętać każdy najdrobniejszy szczegół wypadku. Było jej zimno. Była też przemoknięta do szpiku kości, a świat wokół wydawał się zupełnie nierzeczywisty. Wszystko było nie tak. Wiedziała, że to jej wina. Sophie zamrugała i obraz się rozmył. Widziała już tylko znajome odbicie prawie trzydziestoletniej kobiety. „Szczęście jest ulotne” - przypomniała sobie.

- Garrett - odezwała się, kiedy tylko rodzina opuściła sklepik. — Posłuchaj. To, czy jestem szczęśliwa, czy nie, nie powinno być twoim zmartwieniem. Zostawiłeś mnie, pamiętasz? Nie masz więc prawa wtrącać się do mojego życia. A co się tyczy twojej strasznej tajemnicy, którą tak bardzo chciałbyś się ze mną podzielić... Szczerze mówiąc, chyba wolę nie wiedzieć. — Zamilkła i obserwowała go uważnie przez chwilę. - Naprawdę uważam, że powinniśmy zostawić przeszłość za sobą. Zgodzisz się ze mną?

Garrett siedział bez słowa, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Po dłuższej chwili wstał i powiedział:

- Sophie, a co, jeśli się mylisz? Co, jeśli szczęście jednak istnieje? Długotrwałe szczęście. Co, jeśli mieliśmy je na wyciągnięcie ręki, a ja pokpiłem sprawę? Co, jeśli... - Zawahał się, po czym zrobił krok w jej stronę. - Co, jeśli jest jeszcze szansa, aby to odzyskać?

- Nie ma - oznajmiła stanowczo. - Trochę dużo tych twoich „co, jeśli”.

- To może zamienię je na „co zatem”?

- Jak to?

- Co zatem muszę zrobić, żebyś zgodziła się na jedną randkę? To, co mam ci do powiedzenia, nie dotyczy tylko mnie, Sophie. Tu chodzi również o *ciebie*.

Sophie stuknęła delikatnie palcami o ładę. Patrzyła na mężczyznę, dla którego była kiedyś całym światem, całym kosmosem, słońcem, księżycem i gwiazdami naraz. „Aż do dnia, w którym po prostu odszedł” - przypomniała sobie.

- Wiesz co? - zaczęła, bawiąc się pasmem złotych włosów. - Zgodzę się, jeśli podejmiesz pewne wyzwanie.

Garrettowi aż zaświeciły się oczy.

- Co to za wyzwanie?

„Takie, któremu nie masz szans sprostać” - pomyślała.

- Cóż, odkąd Evalynn wyszła za mąż, bezustannie powtarza mi, że powinnam znaleźć sobie mężczyznę, żebyśmy mogły wspólnie na nich narzekać. W zeszłym tygodniu próbowała nawet zamieścić w moim imieniu ogłoszenie matrymonialne w gazecie.

Garrett zachichotał.

- Takie w stylu „pani pozna pana”?

- Pozna przystojnego pana, byle nie lekarza od stóp - rzuciła zgryźliwie. - Tak, coś w tym stylu. Tak czy inaczej, powiedziałam jej, że uważam, że tego typu rzeczy zamieszczają zwykle ludzie, którzy szukają jednorazowych przygód, a nie długotrwałego szczęścia. Ale prawdziwe szczęście nie musi przecież koniecznie opierać się na związku, prawda? - spytała. - Prawda? - ponagliła.

- A... Tak, oczywiście. To znaczy, wydaje mi się, że... może pomóc. Ale nie jest to niezbędne.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Cieszę się, że się ze mną zgadzasz. Skoro więc podjąłeś temat szczęścia i jesteś tak absolutnie przekonany o jego istnieniu, może spróbujesz je dla mnie znaleźć?

Garrett zmarszczył brwi.

-Jak?

Sophie uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Gazeta! Są tam najróżniejsze ogłoszenia. Dlaczego nie umieścić takiego o poszukiwaniu szczęścia?

— Nie rozumiem. Chcesz, żebym zamieścił w gazecie twoje ogłoszenie matrymonialne?

— Nie. Facet to ostatnia rzecz, jakiej w życiu potrzebuję. Chcę ogłoszenie typu „Poszukuję”. Niech to będzie coś prostego, na przykład: „Poszukiwane szczęście”. Wyślij je do „SeattleTimesa”. Jeśli sensownie odpowie ci, dajmy na to, setka osób, wtedy zgodzę się na randkę. Tylko jedną randkę.

— A mogę zamieścić ogłoszenie również w internecie? Pokręciła przecząco głową.

— Wtedy dotarłoby do zbyt dużej liczby osób. Tylko wersja papierowa.

Garrett obserwował ją uważnie. Wiedział doskonale, że szanse na to, że ktoś odpowie na takie ogłoszenie, są minimalne, a sto odpowiedzi jest wręcz niemożliwością.

— Naprawdę bardzo nie chcesz usłyszeć, co mam ci do powiedzenia, prawda?

— Jedenaście miesięcy temu pewnie bym chciała. Ale teraz? Niespecjalnie. Ale przynajmniej daję ci szansę, prawda?

Garrett wyraźnie posmutniał. Lekko zniechęcony odpowiedział:

— Jasne. Czy są jeszcze jakieś wytyczne, których powinienem się trzymać?

Sophie zastanawiała się przez chwilę.

— Tak. Ogłoszenie musi być zupełnie anonimowe. Nie możesz zaangażować do wysyłania ofert swoich znajomych, pacjentów ani nikogo innego. Wszystkie odpowiedzi mają być przesyłane do skrytki pocztowej, którą wynajęłam w celach biznesowych. Nie chciałabym, żeby jacyś wariaci pojawiali się

u mnie w domu albo w sklepie, licząc na to, że uda im się mnie uszczęśliwić.

Nie spuszczał z niej wzroku.

- A co twoim zdaniem liczy się jako „sensowna odpowiedź”? Sophie się zaśmiała.

- Sama zadecyduję po jej przeczytaniu. Oczywiście, chodzi mi tylko o racjonalne, przemyślane recepty na szczęście. Żadnych seksualnych podtekstów. Nic przerażającego ani dziwaczego. I, co najważniejsze, nic ulotnego.

Garrett prychnął cicho.

- Podsumujmy: mogę zamieścić ogłoszenie tylko w „Seattle Timesie”, muszę dostać sto odpowiedzi, ale nic z tego, co przed chwilą wymieniałaś, tak?

- Takie są zasady. Jeśli chcesz pójść ze mną na randkę, musisz się ich trzymać.

- Jakież ograniczenia czasowe?

- Brak. Oferta jest ważna aż do mojej śmierci, czyli mniej więcej tyle, ile zajmie ci znalezienie setki szczęśliwych osób za pomocą ogłoszenia w gazecie — podsumowała Sophie. Była zachwycona swoim pomysłem i bez skrępowań manifestowała to szerokim, bezlitosnym uśmiechem.

Z kolei Garrett był wyraźnie sfrustrowany. Minęło jednaście miesięcy, zanim wreszcie zebrał się na odwagę i zdecydował się wyznać Sophie swój sekret, a teraz ona robiła wszystko, żeby go od siebie odsunąć. Odwrócił się i zgarbiony ruszył w stronę drzwi. Zatrzymał się, jakby przez chwilę rozważał, czy nie powiedzieć jej wszystkiego tu i teraz. Chyba jednak uznał, że sprawa jest zbyt skomplikowana, bo po chwili ruszył dalej. Zanim otworzył drzwi, odwrócił głowę.

- Do widzenia, Sophie.

Jakaś jej część żałowała, że jest dla niego tak okrutna. Czy ona sama nie myślała o nim niemal bez przerwy, czy nie marzyła

w skrytości ciucha o tym, żeby nadał byli razem? Wiedziała jednak, że to niemożliwe. Nie mogła pozwolić, aby ktokolwiek znów złamał jej serce.

- Do widzenia, Garrett.

Obrzucił ją od stóp do głów długim spojrzeniem, chłonąc każdy szczegół.

- Będę wpadał od czasu do czasu, żeby sprawdzić postępy. Aie jeśli nigdy nie uda nam się dobić do setki - dodał cicho -chciałbym, żebyś wiedziała, że chociaż okazałem się skończonym idiotą i tchórzem, moje uczucia do ciebie nigdy się nie zmieniły. Zawsze będę cię kochał.

Sophie pozwoliła sobie na łzy dopiero, kiedy upewniła się, że wyszedł.

- Ja ciebie też - wyszeptała, kiedy tylko zamknęły się za nim drzwi.

ROZDZIAŁ 5

Nigdy nie będziesz naprawdę szczęśliwy. Czy to nie smutne?

Mimo że po tym, jak Garrett opuścił Chocolat' de Sopli, Sophie trzykrotnie sugerowała Evi, żeby wróciła do domu do męża, przyjaciółka nie dała się zbyć.

- Przecież nie płacisz mi za siedzenie tutaj — zwróciła jej uwagę. — To ja *postanowiam* spędzić ten dzień z tobą i obawiam się, że jeśli nie wyprowadzisz mnie stąd siłą, będziesz na mnie skazana do momentu, w którym wsiądziemy z autobusu w Gig Harbor.

- Nie jadę po pracy do domu — wymamrotała Sophie pod nosem.

- Dobra, dobra - powiedziała Evalynn, przekonana, że przyjaciółka tylko się z nią przekomarza.

- Mówię poważnie. Jeśli masz zamiar jechać autobusem, jedziesz sama.

- A to dlaczego? Boisz się, że jakiś kolejny przystojniak będzie próbował cię poderwać?

Sophie spojrzała na nią, nie kryjąc rozczarowania. Naprawdę, po tylu latach Evalynn powinna już kojarzyć fakty.

- Nie. Ponieważ dziś po południu mam jeszcze coś innego do zrobienia.

Evi wreszcie olśniło.

- O rety! Przepraszam cię, Sophie. Jestem mistrzynią nietaktu.

Idziesz dziś na cmentarz, tak? - Evalynn zamilkła, zobaczywszy aa twarzy Sophie napięcie. — Chcesz, żebym w tym roku poszła z tobą? To znaczy... czy mogę pójść z tobą?

Sophie rozluźniła mięśnie twarzy i zmusiła się do uśmiechu.

— Wydaje mi się, że dość już dzisiaj zrobiłaś. Naprawdę. To jest coś, z czym muszę uporać się sama. A ty powinnaś być z Justinem.

Evalynn odwzajemniła uśmiech, po czym mocno uścisnęła przyjaciółkę.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała.

„Ale kiedy?” - zastanawiała się w myślach. - „Najwyższy czas zapomnieć o przeszłości i żyć dalej”.

Nie chodziło bynajmniej o to, że Evalynn nie rozumiała Sophie. Podobnie jak ona wiedziała co nieco o życiu w cieniu tragedii. Kiedy Evi miała osiem lat, jej matka trafiła do więzienia. Obydwie straciły rodziny o wiele za wcześnie i właśnie dlatego przyszło im spędzić razem dzieciństwo. I to dlatego powstała między nimi nierozzerwalna więź. Jednak z jakiegoś powodu, którego Evi nie mogła w pełni pojąć, rany w sercu Sophie były o wiele głębsze. Odejście Garretta tylko pogłębiło jej poczucie straty i beznadziei.

Evalynn wypuściła przyjaciółkę z objęć.

— Jesteś pewna? Wiesz, nie musisz zawsze chodzić tam sama. Justin nie będzie miał nic przeciwko, jeśli wrócę trochę później. Przynajmniej nie wpadnę do domu akurat w samym środku poniedziałkowego meczu.

- Zapewne.

Kiedy o piątej po południu w sklepie pojawiła się pomoc w postaci rudowłosego studenta o imieniu Randy, Sophie była wykończona. Nie miała dziś więcej pracy niż zazwyczaj, ale emocje dały o sobie znać. Zwykle po przyjściu Randy'ego

zostawała jeszcze chwilę, żeby zacząć przygotowania do następnego dnia, ale dziś czas naglił - wrześnie słońce chyliło się już ku zachodowi.

Sophie złapała taksówkę i po chwili była w drodze na północ Seattle. Nie miała w sobie dość siły, aby odwiedzać cmentarz częściej niż raz do roku. To jednak wystarczało, by zapamiętać każdy centymetr wiodącej tam trasy. Przez całą podróż instruowała taksówkarza, mimo że ten zarzekał się, że doskonale sobie poradzi bez jej wskazówek.

Jak zwykle trasa 1-5 była całkowicie zakorkowana. Kiedy taksówka podjechała wreszcie przed bramę cmentarza Evergreen, usytuowanego przy Aurora Avenue, słońce częściowo skryło się już za horyzontem. Sophie zapłaciła za przejazd i pospiesznie wysiadła z taksówki. Chciała za wszelką cenę uniknąć przebywania na cmentarzu po zmroku.

Przekroczyła bramę i ruszyła główną alejką w kierunku wschodnim. Droga rozwidlała się tuż przy słynnym pomniku upamiętniającym żołnierzy biorących udział w pierwszej wojnie światowej. Rzeźba, nazywana *The Doughboy*, przedstawiała powracającego z bitwy amerykańskiego żołnierza, w ubłoconych butach i z uśmiechem na twarzy. Sophie skręciła przy nim w lewo, kierując się ku północy. Minęła po drodze kilka wzgórków z rzędami wysokich cedrów.

- Tam, przy żywopłocie - powiedziała do siebie kilka minut później, skupiając wzrok na jednym punkcie na szczycie kolejnego wzgórza. Wokół nie było nikogo, kto mógłby ją usłyszeć, ale mówienie na głos pomagało jej ukoić nerwy.

Zeszła z głównej ścieżki i pokonała ostatnie sto metrów, lawirując pomiędzy krzewami, drzewkami i nagrobkami. Zatrzymała się dopiero na szczycie wzniesienia, przy wysokich brzozech. Stąd widziała już grób swoich rodziców, położony kilkanaście metrów dalej. Sophie przystanęła nagle, zaskoczona, kiedy dostrzegła tam

mężczyznę. Przykucnął na trawniku dokładnie w miejscu, do którego zmierzała, i przyglądał się nagrobkom. Ręce miał schowane głęboko w kieszeniach bluzy, był odwrócony do niej plecami.

Sophie zastanawiała się przez chwilę, czy to czysty przypadek sprawił, że jedyna osoba poza nią znajdująca się na cmentarzu odwiedza akurat grób sąsiadujący z miejscem spoczynku jej najbliższych. Doszła do wniosku, że niekoniecznie. Daleka była od panikowania, poczuła jednak nieprzyjemny dreszcz na myśl o tym, że właśnie znajduje się na cmentarzu, o zmierzchu, z obcym mężczyzną, który kręci się w pobliżu nagrobka jej rodziców. Odwróciła się powoli, z nadzieją, że uda jej się wycofać niepostrzeżenie. Zrobiła zaledwie trzy kroki, kiedy usłyszała za sobą okrzyk:

— Halo! Nie uciekaj! Nie martw się, ja już sobie stąd idę.
-Zdecydowanie był to męski głos, miał jednak dziwny zaśpiew. Było w nim coś szczególnego.

Sophie zrobiła w tył zwrot.

Mężczyzna był niski i miał szerokie ramiona. Połowę twarzy zasłaniały mu ciemne okulary, osłaniające go przed ostatnimi promieniami słońca. Zaczął iść w jej stronę z uśmiechem na twarzy. Zauważyła, że ma nieco dziwaczny, skoczny sposób chodzenia.

— Naprawdę — ciągnął. - Ja już skończyłem.

Sophie obserwowała go uważnie. Był młodszy od niej, miał pewnie dziewiętnaście, może dwadzieścia lat. W innej sytuacji byłaby pewnie przerażona, było w nim jednak coś, co ją uspokoiło. Uznała, że nie musi się bać. Kiedy podszedł zupełnie blisko, zauważyła, że ma głowę nieco większą niż przeciętnie, a jego twarz była nieco bardziej zaokrąglona. Chciała spojrzeć mu w oczy, jednak szczelnie zasłaniały je okulary.

Sophie nerwowo przełknęła ślinę.

— Znalazłeś to, czego szukałeś? - spytała ostrożnie, kiedy był już zaledwie kilka kroków od niej.

Uśmiechnął się, ale nie przystanął, ani nawet nie zwolnił.

- Tylko tęczy przechodziłem - wyjaśnił pogodnie. - Musiałem zrobić coś dla mojego taty. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej, wbił ręce głębiej w kieszenie i minął ją bez zatrzymywania się.

Sophie z zaciekawieniem obserwowała nieznajomego jeszcze przez kilka sekund. Rozmyślała nad jego niecodziennym głosem - lekko sepleniącym i nadzwyczaj melodyjnym - kiedy nagle zauważyła, że ktoś poruszył się przy niewielkim wzniesieniu. Dostrzegła machającą rękę.

- Sophie! Zaczekaj!

Wystarczyło, że usłyszała swoje imię, i już wiedziała dokładnie, do kogo należał ten głos. Bez ruchu patrzyła, jak Evi, w okularach przeciwsłonecznych na nosie, mija tajemniczego młodzieńca i szybkim krokiem podąża w jej kierunku.

- Chyba powiedziałam ci, że wolę być sama.

- Tak powiedziałaś?

- Nie udawaj Greka.

- Dobrze, już dobrze. Po prostu... Justin był przekonany, że wrócę dziś później, więc zaprosił kilku kumpli na wspólne oglądanie meczu. Czułam się trochę jak piąte koło u wozu, dlatego wsiadłam w samochód i postanowiłam tu przyjechać. — Zamilkła na chwilę, widząc, że Sophie rzednie mina. - Doszłam do wniosku, że w ten sposób nie będziesz musiała płacić za taksówkę do domu. — Uśmiechnęła się zadziornie. — Tylko możesz zapłacić mnie.

Z ust Sophie wyrwał się krótki chichot, dowód na to, że Evi udało się rozładować napięcie.

- Nie ma mowy. Ale z przyjemnością kupię nam po drodze coś do jedzenia. Konam z głodu i mam ogromną ochotę utopić smutki w talerzu ociekających tłuszczem krążków cebulowych i w odmętach czekoladowego koktajlu.

Evalynn uśmiechnęła się na te słowa.

- Idealnie. A teraz, czy możemy już udać się do twoich rodziców?

Sophie poprowadziła Evalynn przed prosty kamienny nagrobek, który znaczył miejsce pochówku Thomasa i Cecylie Jonesów, tuż przy końcu żywopłotu, pod rozłożystymi konarami wiekowego drzewa cedrowego.

Wyryty napis głosił:

Mąż i Ojciec .

Zona i Matka

Kochali swoją córkę i siebie nawzajem Miłością głęboką i wieczną.

- To piękne - wyszeptała Evalynn po przeczytaniu inskrypcji. Popatrzyła na pobliskie nagrobki. - A twoja babcia? Jest pochowana gdzieś tutaj?

- Nie. Chciała być pochowana obok swojego męża, a mojego dziadka, na cmentarzu gdzieś daleko stąd, w Camas, o ile dobrze pamiętam. Nigdy tam nie byłam.

Evalynn pokiwała głową.

- Słuchaj, ja poczekam sobie tu z boku, żeby ci nie przeszkadzać — powiedziała i zrobiła kilka kroków w tył.

- Nie ma takiej potrzeby — odparła Sophie, przywołując ją gestem do siebie. — To zajmie tylko chwilę.

Evi obserwowała z zaciekawieniem, jak Sophie sięga do swojej torebki i wyjmuje z niej małe pudełeczko, po czym otwiera je, wyjmując jedną czekoladową truflę i umieszcza ją ostrożnie na płaskim nagrobku, pomiędzy imionami rodziców. Po chwili jeszcze raz zajrzała do torebki i wyjęła z niej niewielki kawałek papieru i długą szpilkę. Przyklęknęła przed nagrobkiem i ostrożnie przekłuła nią karteczkę, którą następnie przytwierdziła do czekoladki.

Zanim wstała, zrobiła jeszcze jedną rzecz, która zaskoczyła Evalynn. W jednym z rogów płyty leżał płaski, gładki kamień, jakieś półtora centymetra grubości na pięć szerokości. Było

oczywiste, że nie znalazł się tutaj przypadkiem. Większą część kamienia stanowił przeświecający, a miejscami wręcz przezroczysty agat. Z kolei pozostała część lśniła srebrzyście, a gdzieś tam przebijał też kolor bordowy. Sophie wpatrywała się w niego przez chwilę zachwycona. Po chwili bez słowa podniosła go, wrzuciła do torebki i wyprostowała się.

- Idziemy — oznajmiła.

- Zaraz, jak to? - spytała Evalynn zaskoczona. - To tyle?

- Przecież ci mówiłam. Krótki przystanek. Zrobiłam, co miałam do zrobienia. - To powiedziawszy, Sophie ruszyła w drogę powrotną. Evalynn nawet nie drgnęła.

- Ale, Sophie, przecież to dwudziesta rocznica. Nie chcesz, ja wiem... powiedzieć im czegoś? Albo spędzić z nimi nieco więcej czasu?

- Dlaczego?

- *Dlatego* - odpowiedziała Evi, pozwalając sobie na podniesienie głosu. - Przecież to twoi rodzice.

- Evi, jest w porządku, naprawdę. Przyszłam i zrobiłam to co zawsze. Jak co roku.

Evalynn spojrzała w dół na nagrobek.

- Czekoladka? Co roku zostawiasz im czekoladkę? Sophie przytaknęła.

- A ten paperek? - spytała jeszcze Evi. - To też taka coroczna tradycja?

Przyjaciółka pokręciła głową.

- To akurat nowy dodatek. Po tym, jak... — Przerwała i przygryzła nerwowo wargę. Wiedziała dokładnie, co chce powiedzieć, ale wypowiedzenie tych słów na głos, nawet przed Evalynn, nie było wcale łatwe. — Po tym wszystkim, co wydarzyło się z Garrettem, wydaje mi się, że moje spojrzenie na życie nieco się zmieniło. I ten mały liścik jest po prostu moim sposobem na podzielenie się z nimi moimi uczuciami, bez potrzeby mówienia tego głośno.

Evalynn uśmiechnęła się ze współczuciem.

— To dobrze! Musisz w jakiś sposób dawać upust swoim uczuciom. Miałabyś coś przeciwko, gdybym... - Urwała i rzuciła znaczące spojrzenie w kierunku karteczki.

Sophie wzruszyła ramionami.

— W końcu nie jest to żadna prywatna przestrzeń. Czytaj, proszę cię bardzo.

Evalynn podeszła i przyklękła. W świetle zachodzącego słońca odczytanie słów zapisanych na kartce było nie lada wyzwaniem, szczególnie z okularami przeciwsłonecznymi na nosie. O wiele łatwiej byłoby oczywiście wziąć świstek do ręki, ale Evi nie chciała zaburzyć porządku ustanowionego przez Sophie. Pochylając się na czworaka, z okularami uniesionymi nad czoło, powoli odczytała na głos maleńki druczek.

- „Wkrótce podejmiesz wyzwanie. I odniesiesz sukces”.

Nie ruszając się z miejsca, Evalynn podniosła wzrok i rzuciła pytające spojrzenie Sophie, która uśmiechała się z zadowoleniem.

- Sophio Mario Jones! Chcesz mi powiedzieć, że przejechałaś pół miasta, żeby odwiedzić rodziców i zostawić im jedną ze swoich durnych wróżb?

Sophie zachichotała lekceważąco.

— Ej, to wcale nie moja wróżba. Ja nie napisałabym czegoś tak idiotycznie radosnego. Wczoraj po drodze do domu zatrzymałam się w chińskiej restauracji i tam kupiłam ciasteczko. Były w nim nawet dwie wróżby i musiałam się nieźle nagłowić, żeby wybrać tylko jedną. Druga brzmiała: „Okazja puka do twoich drzwi. Czy otworzysz?”. Ładne, prawda?

Evalynn wstała i otrzepała kolana i ręce.

- Na litość boską. Nie obchodzi mnie zupełnie, skąd wzięłaś wróżbę. Obchodzisz mnie ty, i twoje samopoczucie. Powiedziałaś przecież, że to twój sposób na wyrażenie uczuć. Czy ta wróżba w jakikolwiek sposób odnosi się do twoich rodziców?

- Powiedziałam, że ta wróżba wyraża moje uczucia, a nie moje uczucia względem ich.

- Nie rozumiem.

Sophie rozejrzała się i zmrużyła oczy.

- Pomyśl o tym w ten sposób: w tym momencie, dzisiaj, na dworze jest pięknie, słonecznie i ciepło. Ale co będzie jutro? Może spadnie deszcz, będzie wiał porywisty wiatr i karteczka z wróżbą przepadnie. Czekoladowa trufla? Zanim wstanie nowy dzień, rozprawi się z nią jakaś głodna wiewiórka albo szop. Ta wróżba i czekoladka to mój sposób na przypomnienie — moim rodzicom, mnie samej, komukolwiek - że prędzej czy później nikt nie osiągnie wszystkich nadziei i marzeń.

Spojrziała na płytę i jeszcze raz, bezgłośnie, przeczytała imiona swoich rodziców.

- To jest właśnie moje życie. Wszystko jest ulotne. Evalynn przyglądała jej się bez słowa.

Przez chwilę Sophie nie odwzajemniała spojrzenia najbliższej przyjaciółki. Stała z założonymi rękami i patrzyła w ziemię. Wreszcie podniosła wzrok i dostrzegła zmartwioną minę Evi. I zmieszanie malujące się na jej twarzy. I chyba również odrobinę rozczarowania. Sophie westchnęła głęboko.

- Właśnie dlatego wolałam przyjść tutaj sama. Nie oczekuję od ciebie, że mnie zrozumiesz, Evi. Jestem pewna, że myślisz sobie teraz, że jestem jakąś wariatką. O ile już wcześniej nie miałaś o mnie takiego zdania.

Evalynn nadal milczała.

- Posłuchaj - ciągnęła Sophie. - Wiem, że to prawdopodobnie nie jest twój sposób na radzenie sobie z problemami, ale na mnie on działa. Uwierz mi, okej?

Evalynn była rozdarta pomiędzy przemożną chęcią przemówienia Sophie do rozsądku a potrzebą natychmiastowego odszukania Garretta Blacka i wymierzenia mu bolesnej kary za to,

co zrobił jej przyjaciółce. Ale wiedziała, że to niemożliwe. Zamiast tego uśmiechnęła się więc i kiwnęła głową. -Okej.

Ramię w ramię ruszyły w dół wzgórza. Żadna nic nie mówiła. Odwrócone plecami do nagrobka Jonesów, nie zauważyły samotnej postaci schowanej za wysokim żywopłotem nieopodal drzewa cedrowego. Nie usłyszały pękającej pod jej butem gałązki. Mężczyzna wyszedł ze swojego ukrycia i przystanął nad Thomasem i Cecilią Jonesami.

Po chwili pochylił się i umieścił w rogu płyty nagrobnej mały, okrągły kamień. Drugą ręką delikatnie podniósł trufkę, wyciągnął z niej szpilkę i wróżbę i wsadził sobie czekoladkę do ust. Chwilę później bezszelestnie zniknął między drzewami.

ROZDZIAŁ 6

To miłość czy tylko litość? Lepiej się nad tym nie zastanawiaj.

Pięć dni i jedenaście godzin później telefon komórkowy Sophie rozdzwonił się donośnie, wyrywając ją z niespokojnego snu na długo przed planowaną pobudką. Półprzytomna zerknęła na wyświetlacz, żeby sprawdzić godzinę - była szósta dwadzieścia sześć. Wpatrzona w wyświetlający się numer, przez dłuższą chwilę zastanawiała się, czy odebrać.

- Mój jedyny wolny dzień - warknęła. - Jesteś potworem, dlaczego dzwonicz do mnie o tej porze?

- Nic na to nie poradzę, musiałam — odpowiedziała radośnie Evalynn. - Poza tym kto jak kto, ale ty nie potrzebujesz snu dla urody - oznajmiła, po czym dorzuciła, idealnie naśladowując głos Zsa Zsy Gabor: - Jesteś absolutnie boska, moja maleńka, ab-so-lut-nie.

Sophie się zawahała.

- Dzięki, ale niestety w dalszym ciągu twierdę, że jesteś potworem. Poza tym to chyba trochę za wczesna pora na pochlebstwa. - Przerwała i potarła gwałtownie oczy, żeby się rozbudzić. — Dalej, pani Mason-Mack, czego pani chce?

- Po pierwsze: nigdy, przenigdy mnie tak nie nazywaj. Czuję się przez to stara. A po drugie, wyjeżdżamy dziś z Justinem z samego rana, ale zanim ruszymy, chciałam ci powiedzieć,

żebyś koniecznie kupiła dziś „Seattle Timesa”. Wydaje mi się, że powinna zainteresować cię strona G4.

- A co jest na stronie G4? - spytała półprzytomnie. W dalszym ciągu nie czuła się jeszcze w pełni rozbudzona.

- O nie, nie. Nie będę psuć ci niespodzianki. Chyba wolisz przeczytać ją sama?

- Evi. Jest środek nocy. Powiedz mi, co tam znalazłaś, żebym mogła z powrotem pójść spać.

Evalynn zachichotała w słuchawce.

-Mówię ci, Sophie, uśmiejesz się. No, może nie uśmie-jesz, ale... Po prostu obiecaj mi, że kupisz sobie egzemplarz. Na pamiątkę dla przyszłych pokoleń.

- Przyszłych pokoleń. Moich? Zabawne.

- Obiecujesz? - naciskała Evalynn, wyraźnie podekscytowana.

- Evi Mack, mów, o co chodzi, albo zaraz się rozłączę.

- Dobrze, już dobrze. Dwa słówka. Gotowa?

- Evalynn!

- No już! Kocham tak budować napięcie! To słuchaj: „Poszukiwane szczęście”. - Ostatnie dwa słowa wypowiedziała powoli, wyraźnie artykułując każdą sylabę.

Zapadła długa cisza.

- Czy on naprawdę zamieścił to ogłoszenie? — jęknęła Sophie. - Byłam przekonana, że porzuci ten pomysł, biorąc pod uwagę, że nigdy nie uda mu się zbierać stu odpowiedzi.

- Najwyraźniej on ma na ten temat odmienne zdanie. Sophie wydała z siebie kolejny jęk.

- Jak na to w ogóle trafiłaś?

- Fartem tak naprawdę. Chciałam sprawdzić, czy są jakieś wyprzedaje garażowe w okolicy moich teściów. Justin każe mi dziś jechać w odwiedziny do jego rodziny w Everett, a wiem, że jego mama lubi polować na różne okazje, więc pomyślałam, że jej coś zaproponuję. Wiesz, żeby mnie polubiła.

Sophie usłyszała, jak Justin woła gdzieś w tle, że jego mama „zazwyczaj” lubi Evalynn. Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

- Ona mnie nie znosi - syknęła do słuchawki Evalynn, po czym wróciła do swojego normalnego, głośnego tonu. -V/ każdym razie przeglądałam właśnie strony z ogłoszeniami i natrafiłam na to. Jest całkiem spore. Tłusty druk.

- Tylko mi nie mów, że umieścił w nim moje imię i nazwisko.

- Skąd, żadnego nazwiska, żadnego numeru telefonu. Tylko skrytka pocztowa w Tacomie. Ach, byłabym zapomniała, na końcu widnieje dopisek: „Kobiety uprasza się o niewysyłanie odpowiedzi. Jestem gorącą laską, szukającą Tego Jedyne”.

- Ale śmieszne.

- A nie, przepraszani, źle przeczytałam, tu jest napisane: „Opryskliwa samotna kobieta bez poczucia humoru. Uwielbia się zamartwiać, szuka pana z podobnymi zainteresowaniami”.

Z ust Sophie wydarło się przeciągłe ziewnięcie.

- Przestań. Powiedziałam ci już, za wcześnie na pochlebstwa.

- Niech ci będzie, i tak muszę kończyć. Justin dosłownie ciągnie mnie już za rękaw. Twierdzi, że jeśli nie wyruszymy natychmiast, utkniemy w korkach jak nic.

- Świetnie. Cóż, dzięki ci, Evi, że obudziłaś mnie o tak skandalicznej porze i przekazałaś tyle fantastycznych wieści - oznajmiła Sophie. - Naprawdę, wspaniała z ciebie przyjaciółka — dorzuciła z przekąsem.

- No proszę. Na pochlebstwa za wcześnie, ale na sarkazm zawsze jest pora?

- W końcu w tym jestem najlepsza.

- Ciao, kochana!

Sophie odłożyła telefon i szczelnie przykryła się kołdrą. Jednak po dłuższej chwili miotania się w łóżku i próbach ułożenia się wygodniej na poduszkach uznała, że i tak już dziś nie zaśnie. Wyturlała się z łóżka i ruszyła do łazienki. Zrobiła sobie gorącą

kąpiel, z której nie miała najmniejszej ochoty wychodzić. Leżała więc w wannie, aż zmarszczyła jej się skóra. Potem narzuciła na siebie bluzę i swoje najwygodniejsze dżinsy, wzięła parasol i ruszyła na spacer w porannym słońcu.

Tuż za rogiem znajdował się niewielki targ. Niestety, w niedzielę był czynny dopiero od dziewiątej, więc Sophie ruszyła dalej, wzdłuż przystani, aż do następnego skrzyżowania. Niecały kilometr dalej znajdowało się centrum handlowe, był również automat z gazetami. Jednego dolara i pięćdziesiąt centów później Sophie z niecierpliwością kartkowała „Seattle Timesa”.

Szybko znalazła stronę G4 i przebiegła ją wzrokiem od góry do dołu, w poszukiwaniu tłustego druku.

Aż prychnęła, kiedy dostrzegła wreszcie ogłoszenie w połowie drugiej kolumny, tuż pod informacją, że ktoś ma do oddania małe kociątko. Z całych sił starała się przybrać niezadowoloną minę, przyłapała się jednak na tym, że w kąciku jej ust drży nieśmiały uśmiech. Przeczytała ogłoszenie raz, a potem drugi. I jeszcze kolejny.

POSZUKIWANE: SZCZĘŚCIE Proszę, pomóż mi odnaleźć to, co utraciłam. Sugestie przyjmuję na adres skrytki pocztowej: PO box 11297 TACOMA, WA 98411 (Proszę tylko o trwałe szczęście. Nic ulotnego).

— Garretcie Black — powiedziała na głos, kręcąc z niedowierzaniem głową. Wyraz jej twarzy wciąż oscylował między grymasem a uśmiechem. - Nie licz na zbyt wiele. Wszystko jest ulotne.

CZESC 2

POCZĄTEK

ROZDZIAŁ 7

Niebawem wpadniesz w sidła miłości.

Uważaj jednak: wpadanie w sidła rzadko kończy się dobrze.

Październik 2007 r.

Nie - jęknął do telefonu Garrett. — Proszę, powiedz, że to tylko żart. Rozmawiał z Olivią DeMattio, dzwoniącą ze swojego domu w Seattle. Była podekscytowana niczym nastolatka. DeMattio to nazwisko, które przyjęła po drugim mężu - pierwszy związek małżeński rozpadł się, właściwie zanim jeszcze na dobre się rozpoczął. Olivia lubiła dźwięk swojego nazwiska, ale nigdy nie przepadała za swoim imieniem. Być może dlatego, że mało kto go używał. Jej mąż, z którym związana była już szesnaście lat, Ken DeMattio jr., księgowy pracujący dla Microsoftu, czasem mówił do niej „Liv”. Albo „cukiereczku”, „moja słodka”, albo „mój słodki cukiereczku”. Koledzy i koleżanki z policji zwracali się do niej „Livie”.

Garrett nigdy nie zwracał się do niej po imieniu, nie korzystał też z żadnego z licznych przezwisk. Dla niego zawsze była po prostu mamą.

- Daj spokój, Garrett. Nie wmówisz mi, że nie jesteś choć trochę ciekaw.

Garrett milczał przez chwilę, zanim odpowiedział:

-To po prostu nie wygląda mi na nic innego, jak randkę w ciemno. A wiesz przecież, jak bardzo ich nie znoszę.

- Ale dlaczego nazywasz to randką w ciemno? Bo ona nie wie, kim jesteś? Phi! A nawet jeśli byłaby to randka w ciemno, chociaż nie jest, to chyba lepsza randka w ciemno niż żadna, co? -Olivia dopiero po chwili milczenia dodała: — A kto wie, może niespodziewanie odnajdziesz swój brakujący element układanki? W końcu wiemy już, że macie ze sobą dużo wspólnego.

- Niesamowite. Tylko ty potrafisz płynnie przejść od randki w ciemno do... jak to nazwałaś? Brakujący element układanki? Mówimy przecież o kobiecie, której nawet nie poznałem.

Olivia nie odzywała się przez dłuższą chwilę.

- Chcesz mi powiedzieć, że nie zamierzasz wykorzystać tej okazji?

Garrett odsunął słuchawkę od twarzy, żeby powiedzieć pielęgniarce, że zaraz przyjdzie. Kiedy zniknęła za drzwiami, wrócił do rozmowy.

- Niech będzie - burknął niechętnie. - Pójdę. Ale nie licz na jakieś cuda, nic z tego nie będzie. Pójdę tam z. czystej ciekawości. Jedna randka, to wszystko.

- Jak chcesz, Garrett.

- Świetnie. I pamiętajmy o tym. A czy Sophie wie cokolwiek na mój temat?

- Tylko tyle, ile opowiadałam Ellen w pracy, czyli nie za dużo.

- A co jeszcze możesz mi o niej powiedzieć? Olivia zastanawiała się przez moment.

- Chyba powiedziałam ci już wszystko, co wiem. Ale, ale, widziałam dzisiaj jej zdjęcia.

-I?

Olivia prychnęła.

- Sam się będziesz musiał przekonać. - Zawahała się. - Ale... Garrett?

- Tak?

- Pamiętaj, że ważne jest to, co ma w środku.

Dobrze wiedział, co to oznacza. Kiedy był jeszcze dzieciakiem, gdy tylko poruszany był temat dziewczyn, mama Garretta niezmiennie powtarzała, że jeśli chodzi o kobiety, „prawdziwy klejnot kryje się zazwyczaj pod niedoskonałą powłoką”. Sama Olivia nigdy nie należała do piękności i Garrett podejrzewał, że samą siebie uważa właśnie za taki „ukryty klejnot”.

- Nie martw się. Będę miły - obiecał — bez względu na to, jak wygląda.

Wiedział doskonale, co za chwilę usłyszy.

- Dobry z ciebie chłopiec, Garrett.

- Mamo, nie jestem już małym chłopcem.

- Wiesz przecież, co mam na myśli.

- Słuchaj, muszę kończyć. Czy możesz mi przesłać e-mailem szczegóły tej całej randki?

- Nie. Najbliższy piątek, o dziewiętnastej. Chyba jesteś w stanie to zapamiętać? Ale ona powiedziała, że nie chce, żebyś ją odbierał, tylko woli spotkać się już na miejscu. Pomyśl, gdzie chciałbyś ją zaprosić, a ja przekażę informację Ellen.

- No dobrze. Hmm... cóż, niedaleko jest przytulna restauracyjka KFC...

- Garrett. Bądź poważny.

- Dobrze już, dobrze. Może w Space Needle? Byłem tam tylko, żeby podziwiać widoki, ale słyszałem, że tamtejsza restauracja jest świetna.

- Wydaje mi się, że to sympatyczny pomysł. Zrób rezerwację, a ja przekażę Ellen, że będziesz czekał na Sophie przy sklepie z pamiątkami o siódmej.

Zerknął na zegarek i stwierdził z niezadowoleniem, że jego pacjent czeka już ponad pięć minut.

- A jak ją rozpoznam?

Olivia zaśmiała się krótko.

-Szukaj ukrytego klejnotu, czekającego w samotności. To pewnie będzie właśnie ona.

Garrett westchnął ciężko do słuchawki.

- Tylko jedna randka - przypomniał stanowczo.

- Do usłyszenia, Garrett. Olivia się rozłączyła.

Piątek nadszedł o wiele szybciej, niż Garrett Black by sobie tego życzył. Raz czy dwa przeszła mu przez głowę myśl, żeby zadzwonić do mamy i powiedzieć jej, że niestety, rozchorował się, leży w łóżku i w związku z tym musi odwołać randkę. Potem jednak dochodził do wniosku, że, nie daj Boże, mama wyśle za nim jednego ze swoich znajomych detektywów, żeby sprawdził jego wersję, a wtedy będzie miał przegwizdane.

Kwadrans po szóstej Garrett niechętnie opuścił swój gabinet w Tacoma, a za pięć siódma udało mu się wreszcie znaleźć wolne miejsce parkingowe kilka przecznic od Space Needle, na Czwartej Alei. Po zapłaceniu dziesięciu dolarów w najbliższym parko-macie przeszedł na piechotę ostatnie kilkaset metrów dzielących go od najbardziej rozpoznawalnego symbolu Seattle, czyli Space Needle: wysokiej na ponad sto osiemdziesiąt metrów spiczastej konstrukcji, zbudowanej w 1962 roku z okazji wystawy światowej. Jej czubek wieńczy taras widokowy, przywodzący na myśl latający spodek.

Garrett po raz ostatni zerknął na zegarek, zanim wszedł do sklepu z pamiątkami na parterze. Miał już dwie minuty spóźnienia. Rozglądał się po zatłoczonym pomieszczeniu, jednak te kobiety, które w jego mniemaniu odpowiadałyby wizerunkowi „ukrytego klejnotu”, były w towarzystwie albo mężczyzn, albo dzieci. Jedna z nich, trzymająca za rękę małego chłopca, uśmiechnęła się nawet do Garretta, kiedy pochwyciła jego spojrzenie.

Odwzajemnił uśmiech, a potem zachichotał w duchu. Nie miał nic przeciwko umawianiu się z młodymi matkami, owszem, nawet mu się to zdarzało, ale wizja pierwszej randki w towarzystwie malucha uczepionego kurczowo nogi mamy? Sytuacja daleka od wymarzonej.

W poszukiwaniu Sophie Jones Garrett dwa razy okrążył teren sklepu, nie znalazł jednak nikogo, kto pasowałby do niecodziennego opisu.

- Uch, nie znoszę randek w ciemno — wymamrotał pod nosem.

Właśnie po raz trzeci mijał windy i szykował się do następnego okrążenia, kiedy ktoś delikatnie poklepał go po ramieniu. Garrett odwrócił się i stanął twarzą w twarz z najpiękniejszą kobietą, jaką miał okazję w życiu spotkać - chociaż wcale nie widział jej po raz pierwszy. Zauważył ją już wcześniej, ale specjalnie odwracał od niej wzrok w obawie, że przyłapie go na gapieniu się. Była ubrana w spodnie i sweterek z dekoltem w szpic. Jej gęste blond włosy opadały na ramiona pięknymi falami, a przyozdobiony dołeczkami w policzkach uśmiech był absolutnie przeuroczy. Podobnie jak błyszczące, błękitne spojrzenie.

- Wyglądasz, jakbyś się zgubił - powiedziała.

- J-ja... - zaczął niezgrabnie - ja... nie, po prostu... szukam kogoś. Miałem spotkać się tutaj z pewną dziewczyną... panią... z pewną kobietą.

„O rany, ależ ze mnie idiota” - pomyślał. Kobieta uśmiechnęła się szerzej.

- Mogę ci jakoś pomóc?

„Och, tak, pomóż mi” - pomyślał, ale na głos powiedział tylko:

- Nie, dzięki. Jestem pewien, że prędzej czy później się pojawi. Mam nadzieję, że prędzej, bo mamy zaraz rezerwację w restauracji.

- A jak ona wygląda?
- To doskonałe pytanie. Niestety, nie mam na nie odpowiedzi. Jakkolwiek żałośnie to brzmi, przyszedłem tutaj na randkę w ciemno.
- Rzeczywiście, brzmi to dość żałośnie — przytaknęła.
- A sprawę pogarsza tylko fakt, że tę właśnie randkę zorganizowała moja własna mama.
- Auć.
- No właśnie.

Blondynka wskazała tęgawą kobietę o brązowych włosach, która właśnie weszła do sklepu.

- Wygląda sympatycznie. Może to ona? Garrett wzruszył ramionami.
- Może.
- To dlaczego nie podejdziesz i nie przedstawisz się? Ponownie wzruszył ramionami, po czym podszedł do kobiety i zapytał, czy przypadkiem nie nazywa się Sophie Jones. Ta w odpowiedzi zalotnie odrzuciła włosy w tył, dotknęła jego ramienia i oznajmiła, że jeśli tylko chce, może być dla niego Sophie Jones. Uznał to za „nie” i szybko wrócił do blondynki, która z trudem powstrzymywała śmiech.
- Nie ona? - spytała.
- Obawiam się, że nie.

Dziewczyna przygryzła dolną wargę i zaczęła bawić się pasmem swoich włosów. Po chwili zaproponowała:

- Mam świetny pomysł! Może podejdziesz do punktu obsługi i poprosisz, żeby wezwano ją przez głośniki? Oszczędzicie w ten sposób czas, szybciej się znajdziecie.

Zerknął na zegarek i kiwnął głową.

- Rzeczywiście, tak będzie szybciej. Dzięki.

Recepcja znajdowała się kawałek dalej, przy windach. Nieznajoma dziewczyna podeszła tam razem z Garrettem.

- Przepraszam, czy mógłbym poprosić panią o wezwanie kogoś przez mikrofon? — spytał młodej recepcjonistki.

- Oczywiście. Czy ktoś się zgubił? — spytała. — Mam nadzieję, że nie państwa dzieci - dodała, spoglądając to na Garretta, to na stojącą obok niego kobietę.

- Ależ nie, my... — zająknął się Garrett i zerknął nerwowo w stronę blondynki. - Szukam kogoś. Ta pani tylko mi pomaga.

- Rozumiem. Kogo mam wezwać?

- Sophie Jones.

- Dobrze, momencik. — Recepcjonistka poprawiła swój mundurek ozdobiony logo Space Needle i pochyliła się w stronę małego mikrofonu za ladą, po czym nacisnęła jeden z guzików.

- Sophie Jones proszona do recepcji. Pani Sophie Jones. Pani towarzysz oczekuje na panią.

Ludzie wokoło przystanęli, żeby wsłuchać się w ogłoszenie, po czym szybko wrócili do swoich spraw.

Blondynka obok Garretta parsknęła śmiechem. Próbowwała zachować powagę, ale po chwili zaczęła chichotać. Kilka sekund później śmiała się już na całego. Jedną ręką trzymała się za bok, a drugą ocierała łzę, która pojawiła się w kącie oka.

Zarówno recepcjonistka, jak i Garrett wpatrywali się w nią zaskoczeni.

- Bardzo... bardzo przepraszam - wydusiła w końcu pomiędzy jednym a drugim atakiem śmiechu. Wreszcie wyciągnęła do niego rękę. — To ja... jestem Sophie Jones.

Garrett aż otworzył usta ze zdziwienia.

- Ale... jak to... ty jesteś Sophie? - Zupełnie nie tak wyobrażał sobie ten „ukryty klejnot”.

Kiwnęła głową, nie przestając chichotać.

- Domyśliłam się, że ty to ty, kiedy tylko klepnęłam cię w ramię. Ale ani razu nie powiedziałeś mi, kogo właściwie szukasz, więc postanowiłam zrobić ci małego psikusa. — Ponownie

otarła oczy. - Naprawdę, bardzo cię przepraszam. Ale i dziękuję. Dawno się tak nie uśmieiałam. Bardzo mi to było potrzebne.

- Cóż, cieszę się, że mogłem pomóc — wydukał Garrett, wciąż nieco oszołomiony. To właśnie z *tą* kobietą miał odbyć za chwilę swoją randkę w ciemno! Wrócił pamięcią do rady, którą dała mu matka: żeby skoncentrować się na tym, co kobieta ma w środku. Nagle wydało mu się to całkiem rozsądną sugestią. W przypadku osoby tak atrakcyjnej jak Sophie łatwo o zauroczenie od pierwszego wejrzenia, bez względu na charakter.

Ponieważ byli już nieco spóźnieni, postanowili nie zwlekać dłużej i wsiedli do windy, która uniosła ich sto pięćdziesiąt metrów w górę, do restauracji ulokowanej niemal na samym szczycie, tuż pod tarasem widokowym. Kelner czekał już na nich przy drzwiach windy, gotowy, żeby zaprowadzić ich do stolika.

- Ostrożnie — zwrócił im uwagę, kiedy weszli na salę. — Podłoga jest ruchoma.

Poprowadził ich do czarnego, granitowego stolika przy oknie, po drodze wyjaśnił, że restauracja obraca się powoli, zataczając pełne koło w ciągu godziny. W ten sposób, siedząc przy stoliku, można podziwiać roztaczający się wokoło widok. Kelner przytoczył jeszcze kilka ciekawostek o Space Needle, po czym wręczył Garrettowi i Sophie karty dań. Dodał, że dziś poleca w szczególności pieczonego łososia oraz ciastka krabowe, po czym oddalił się, żeby przygotować napoje.

Po tym, jak złożyli zamówienie (żadne z nich nie zdecydowało się na łososia ani ciastka), Sophie wyciągnęła z torebki długopis i napisała kilka słów na różowym opakowaniu słodzika, który wyjęła z koszyczka ustawionego na środku stolika. Kiedy skończyła, umieściła je na parapecie.

- Co robisz? - spytał Garrett.

- Taka zabawa - odpowiedziała. - To swojego rodzaju tradycja w tym lokalu. Zapisałam tam nasze imiona i dzisiejszą datę,

i skąd jesteśmy. Ponieważ okna są nieruchome, w miarę, jak będziemy się obracać, nasza saszetka mijać będzie kolejne stoliki, a paru gości dopisze tam swoje imiona, ot tak, dla zabawy. Ktoś może nawet napisać nam wiadomość. W ten sposób za jakieś trzydzieści, czterdzieści minut, kiedy zatoczymy pełne koło, będę miała fajną pamiątkę z naszej wizyty. - Zamilkła na chwilę, po czym spytała: — Może też byś chciał taki suvenir?

- Jasne. Ale nie różowy. Biała paczuszka będzie idealna. Sophie nabazgrała coś szybko na opakowaniu cukru i również

umieściła je na parapecie. Restauracja obracała się w takim tempie, że słodzik był już dobre trzy metry dalej.

- Proszę bardzo. W ten sposób będziesz miał po mnie słodką pamiątkę.

Odgarnęła opadający jej na twarz kosmyk, po czym wzięła serwetkę i ułożyła sobie na kolanach.

- Po tym, jak zmusiłaś mnie do wywoływania cię przez głośniki, jestem pewien, że zapamiętałbym cię na długo nawet bez saszetek z cukrem.

Sophie przygryzła wargę i uśmiechnęła się.

- Naprawdę cię przepraszam - powiedziała. - Co ty na to, żebyśmy zaczęli od początku? Tak się spieszyliśmy, żeby wjechać na górę, że nie zdążyliśmy załatwić standardowych formalności.

- Formalności? To znaczy?

- No wiesz: „Cześć, jestem Sophie, miło mi cię poznać”. Tego typu wymiany zdań.

-W porządku.

- Super.

Garrett czekał, ale ona tylko patrzyła na niego z uśmiechem.

- A, chcesz, żebym to ja zaczął?

- Zakładam, że jesteś dżentelmenem? - Mrugnęła do niego.

- Zawsze mi się wydawało, że panie mają pierwszeństwo — odparował, szczerząc zęby w nieśmiałym uśmiechu. — Ale niech

będzie. - Chrząknął i zaczął: - Cześć, jestem Garrett. Yyy... Garrett Black. Miło mi cię poznać.

- Całkiem nieźle. No dobrze, teraz moja kolej. Witaj, nazywam się Sophie Jones. Moje nazwisko może wydać ci się znajome. To pewnie dlatego, że słyszałeś je niedawno w głośnikach na dole.

Garrett pokręcił głową i roześmiał się.

- Bardzo śmieszne. Powiedz mi zatem, Sophie Jones, jak to się właściwie stało, że wylądowaliśmy dziś na randce? Kto miał w tym większy udział, twoja mama czy moja?

Sophie zmarszczyła brwi, a jej uśmiech nieco zbladł. Zanim odpowiedziała, wzięła łyk wody.

- Wydaje mi się, że ich udział w tej zbrodni jest jednakowy. Gdyby nie pracowały w policji, powiedziałabym, że powinno się je aresztować. Ale...

-Ale?

- Nic. Po prostu... cóż, po prostu Ellen nie jest moją prawdziwą matką, tylko przybraną.

„Idiota!” - zganił się w myślach Garrett.

-Ach tak... Od jak dawna? v

- Odkąd skończyłam dziewięć lat.

Garrett zastanawiał się nerwowo, co powiedzieć. Z jednej strony, jeśli zupełnie zmieniliby temat, wyszedłby na nieczułego gbura, a z drugiej strony to samo ryzyko niosłaby ze sobą sytuacja, w której zaczęłby zbyt nachalnie wypytywać ją o przeszłość już na pierwszym spotkaniu.

- Obawiam się, że mojego następnego pytania nie znajdziesz na żadnej liście tematów do rozmów na pierwszej randce, ale zadam je mimo wszystko: mogę wiedzieć, jak to się stało, że wychowałeś się w rodzinie zastępczej?

Sophie upiła kolejny łyk wody.

- Najkrótsza odpowiedź, odpowiednia na pierwszą randkę, brzmi: moi rodzice nie żyją.

— Przykro mi. To musiało być dla ciebie niewyobrażalnie trudne. Ja sam straciłem ojca, kiedy miałem dwanaście lat. Moi rodzice co prawda rozwiedli się, kiedy byłem jeszcze malutki, więc nie byłem z nim szczególnie związany, ale i tak bardzo to przeżyłem.

Sophie wyraźnie się odprężyła, kiedy zrozumiała, że ma naprzeciwno siebie kogoś, kto choć częściowo rozumie, przez co przeszła. Pozwoliła sobie na delikatny uśmiech.

— Nie ma co rozgrzebywać przeszłości. Są chyba lepsze tematy do rozmowy, prawda?

— Zdecydowanie — przytaknął.

Niedługo potem pojawił się kelner z pierwszym daniem: kremem pomidorowym wraz z wyborem serów i różnymi rodzajami chleba. Nim skończyli jeść, Garrett o tej niezwyklej kobiecie, siedzącej z nim przy jednym stole, wiedział już to, czego zazwyczaj można się dowiedzieć na pierwszej randce: do którego liceum chodziła, co studiowała oraz czym zajmuje się obecnie.

— *Chocolatien* — upewnił się, kiedy powiedziała mu o swoim sklepiku. - Ledwo jestem w stanie wymówić to słowo, a już z pewnością mogę ci szczerze wyznać, że nie spotkałem nikogo innego, kto mógłby pochwalić się taką profesją.

— Przykro mi, ale nie mogę powiedzieć, że jeszcze nigdy nie spotkałam żadnego lekarza - przekomarzała się. - Ale lekarz od stóp? Czy naprawdę stopy mogą przysparzać aż tylu problemów, żeby zaraz tworzyć dla nich oddzielną specjalizację?

Jej sarkazm wywołał u niego śmiech.

— Zdziwiłabyś się, moja droga. Poczekaj tylko, aż uszkodzisz sobie podbicie. W te pędy pobiegiesz do najbliższego podiatry.

Kelner ponownie pojawił się przy ich stoliku.

— Życzy sobie pani wody? - spytał i nie czekając na odpowiedź, zaczął napełniać szklanę Sophie. - A pan?

Garrett kiwnął twierdząco głową.

Kelner zebrał ze stołu część naczyń. Garrett wykorzystał ten moment, żeby zerknąć dyskretnie na zegarek. Według jego wyliczeń minęła już połowa randki. Na samą myśl, że wieczór z Sophie Jones niebawem dobiegnie końca, poczuł ogromne rozczarowanie.

- Mógłbym pożyczyć na chwilę twój długopis? - zapytał. Sophie spojrzała na niego pytająco, ale nic nie powiedziała, tylko spełniła jego prośbę.

Wziął z koszyczka jeszcze jeden cukier i szybko nakreślił na nim kilka słów.

- Zaraz wracam - oznajmił, po czym wstał, minął kilka stolików i umieścił go przy jednym z pustych miejsc.

- A co to było? — spytała, kiedy wrócił.

- Jeszcze jedna pamiątka z naszej randki - odparł. - Chciałem mieć pewność, że dotrze do nas na czas, dlatego musiałem dać jej kilka metrów przewagi.

Rzuciła mu kolejne rozbawione spojrzenie. Tak naprawdę przyglądała się jego uroczym dołączkom, które pojawiały się, kiedy się uśmiechał.

- Rozumiem — powiedziała tylko.

Kilka minut później, kiedy zajadali swoje główne dania, na horyzoncie pojawiła się różowa saszetka Sophie. Po kilku minutach była już w zasięgu jej ręki.

- Cztery imiona - oznajmiła z dumą. - Dwa ze Spokane, jedno z Portland, a jedno aż z Connecticut! — Odwróciła opakowanie. — O! Jest też wiadomość z tyłu! „Sacharyna powoduje raka”.

Zaśmiali się głośno.

- Nie jestem pewien, czy zostało to naukowo udowodnione - sprostował Garrett. — Niemniej jest to śmieszne.

Niebawem pojawiła się również saszetka Garretta. Pozwolił Sophie przejąć pałeczkę, świadomy, że to ona go do tego namówiła.

- A niech to - warknęła z udawanym rozczarowaniem. - Masz więcej podpisów ode mnie! Dwa ze Spokane, to pewnie ci sami, którzy podpisali się na mojej. Jeden z Seattle i trzy z Kalifornii.

- A jakaś wiadomość?

Sophie odwróciła opakowanie i wybuchła donośnym śmiechem.

- Co takiego? Nie mów mi, że ktoś twierdzi, że cukier też jest rakotwórczy.

Światło w restauracji było nieco przyciemnione, niemniej Garrett mógł przysiąc, że Sophie się zarumieniła.

- Nie - odpowiedziała w końcu, powstrzymując śmiech. Ponownie przeczytała po cichu wiadomość i schowała ją w zaciśniętej dłoni. - Jesteś pewien, że chcesz wiedzieć, co tu jest napisane?

- Oczywiście. Chętnie pośmieję się z tobą.

- Niech ci będzie. Wiadomość brzmi: „Hej, ślicznotko, rzuć w cholere tego gamonia. Mamy jedno wolne miejsce przy stoliku”. Podpisano: Rodney i przyjaciele.

- Nie mów, naprawdę ktoś tak napisał? - spytał Garrett ze zmarszczonymi brwiami.

Sophie ponownie się roześmiała i podała mu saszetkę. Potem spojrzała w kierunku stolika znajdującego się za Garrettem i pomachała uprzejmie. Garrett przeczytał krótką wiadomość i poczuł na twarzy nagłe uderzenie gorąca. Odwrócił się gwałtownie, żeby zobaczyć, komu machała Sophie. Poczerwieniał jeszcze bardziej, kiedy wreszcie dostrzegł winowajców: trzech facetów pod pięćdziesiątkę, którzy zanosili się śmiechem tak gwałtownym, że niemal spadali z krzeseł. Jeden z nich, prawdopodobnie Rodney, rechotał tak mocno, że po policzkach ciurkiem płynęły mu łzy. Wszyscy jak na zawołanie z rozbawieniem pomachali Garrettowi.

- Tak mi przykro - odezwała się Sophie, usiłując stłumić chichot. - Jeśli coś to dla ciebie znaczy, zupełnie nie zgadzam się z ich opinią. Nie wydajesz mi się ani trochę gamoniowaty.

Garrett był przekonany, że rumieniec nie zszedł mu jeszcze z policzków, postanowił jednak go zignorować.

- Uważaj, za wcześnie na takie oceny - zażartował. - Pomyśl. Chyba tylko gamoń zgodziłby się na randkę w ciemno zorganizowaną przez własną matkę.

Sophie przechyliła lekko głowę i przez chwilę bawiła się długim pasmem włosów. Patrzyła mu teraz prosto w oczy.

- No tak, racja. Głupsze byłoby chyba tylko pójście na randkę zorganizowaną przez swoją przybraną matkę. — Uśmiechnęła się życzliwie, a potem zajęła się jedzeniem.

Ostatnia paczuszka cukru, ta, którą puścił w obieg Garrett, dotarła do ich stolika dokładnie w chwili, gdy kończyli deser. Już z daleka widzieli oboje, że wypełniona jest linijkami drobnego tekstu, a Garrett wiedział, że tylko część z nich została napisana przez niego.

- Masz zamiar ją wziąć? — spytała Sophie. — Czy zostawiasz dla mnie kolejną?

- Jest dla ciebie, proszę bardzo. Muszę cię tylko ostrzec, że jest nieco inna niż wcześniejsze.

Nie powiedziała ani słowa, rzuciła mu za to zaciekawione spojrzenie. „Teraz albo nigdy” - pomyślał Garrett.

Sophie trzymała saszetkę w dłoniach. Uważnie przestudiowała napisy po obu stronach. Garrettowi wydawało się, że minęła cała wieczność, zanim wreszcie się odezwała:

- Rozumiem, że planujesz randkę? Uśmiechnął się.

- Owszem, zgadza się.

Uniosła brwi.

- Czy to ktoś wyjątkowy?

Przypomniał sobie radę Olivii.

- To prawdziwy klejnot.

- O rany. Brzmi wspaniale. Zaprosiłeś ją już?

- Nie, aż tak daleko jeszcze nie zaszedłem.

Sophie nie przestawała się uśmiechać, co Garrett wziął za dobrą monetę.

- Czyli ta mała cukrowa ankieta ma pomóc w zaplanowaniu kolejnej randki z tym „klejnotem”, tak?

- Taki był mój zamysł, owszem. Są tam twoim zdaniem jakieś ciekawe pomysły?

Roześmiała się. .

- Mam przeczytać na głos? Odwzajemnił uśmiech i przytaknął.

- Owszem, bardzo proszę.

Sophie poprawiła włosy i zaczęła czytać pytanie, które zadał Garrett.

- „Pomysł na drugą randkę?” - podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. — Żeby było jasne, parę z tych odpowiedzi, podejrzewam, że autorstwa Rodneya i kolegów, jest nieco prostackich. Czy mogę je pominąć? Zresztą jestem przekonana, że twoja wyjątkowa osoba i tak się na te propozycje nie zgodzi.

- Proszę bardzo, cenzuruj, ile dusza zapragnie.

- Doskonale - odparła z zadowoleniem, po czym zaczęła od początku. — „Pomysł na drugą randkę?” Cytuję: „trzy razy B — bilard, bar, browar”.

- To też wygląda mi na Rodneya - zasugerował Garrett. Parsknęła śmiechem.

- Niewątpliwie. Kolejne na liście: „rejs wycieczkowy z romantyczną kolacją”. Brzmi bardzo przyjemnie. „Paintball”. Hm, mam niejasne wrażenie, że pisał to jakiś nastolatek. Następne napisane jest bardzo małymi literkami, ale z tego, co widzę, to jest „kolacja i kino”. Według mnie kompletnie przereklamowane zestawienie. Następne mnie rozbawiło: „Przedstaw partnera rodzicom!”. Jasne, koniecznie. - Odwróciła saszetkę. - „Wspiąć się na Mount

Rainier". Oj, chyba nie o tej porze roku. „Kąpiel w jacuzzi". To chyba trochę za szybko jak na drugą randkę. I wreszcie: „Spędzenie całego wieczoru na wpatrywaniu się w rozgwieżdżone niebo". Jestem pewna, że napisała to kobieta - skomentowała z uśmiechem Sophie i podniosła wzrok na Garretta.

- Skąd ta pewność?

- Bo to jedyna sugestia, która ma w sobie choć cień romantyczności.

- Aha, czyli romantyczność jest ważna?

- Najważniejsza! Jestem pewna, że obiekt twoich zainteresowań poszukuje mężczyzny, który jest czuły i wspaniałomyślny i pamięta o wszystkich ważnych drobiazgach. Prawdziwy romantyk musi być gotów na wielkie poświęcenia, żeby zdobyć serce swojej wybranki.

- Ach tak? A co potem? Odjechać z nią w stronę zachodzącego słońca?

Uśmiechnęła się i spojrzała na niego zadziornie.

- Coś w tym stylu, owszem.

-To dopiero będzie wyzwanie - stwierdził. Nie przestawał przy tym uśmiechać się szeroko. - No dobrze, jeśli zatem miałbym wybrać z tej listy pomysł na drugą randkę, według ciebie powinienem wybrać wpatrywanie się w gwiazdy?

Mrugnęła do niego.

- Zdecydowanie tak.

W tym momencie pojawił się kelner z kartą kredytową Garretta i rachunkiem. Wręczył je Garrettowi i podziękował obojgu za przybycie. Stał nad nimi tak długo, aż stało się oczywiste, że nadszedł czas, aby opuścić restaurację, a potem odprowadził ich do windy. Czterdzieści trzy sekundy później byli z powrotem w szarej rzeczywistości.

- Sophie — zaczął Garrett, zanim jeszcze doszli do głównego wyjścia. — Chciałem cię przeprosić za to, że nie zaplanowałem

niczego więcej na dzisiejszy wieczór. Sama rozumiesz, że w przypadku randki w ciemno mogło być różnie.

- Było świetnie, naprawdę — odpowiedziała i zabrzmiało to szczerze.
- Dasz mi znać, jak poszła twoja druga randka z wyjątkową znajomą?
- Z przyjemnością. Jak mogę się z tobą skontaktować?

W jej oczach pojawił się figlarny błysk, kiedy wyciągnęła z torebki kolejną różową paczuszkę, na której widniało już jej imię, adres i numer telefonu.

-To dla ciebie.

Garrett nie był pewien, kiedy udało jej się zapisać swoje dane tak, żeby tego nie zauważył, był jednak przekonany, że było to dokładnie zaplanowane.

- A wiesz już, kiedy pójdziecie na waszą drugą randkę? - spytała. Garrett poczuł, że serce zaczyna walić mu mocniej.

-Jutro wieczorem - oznajmił zdenerwowany. - Jeśli będzie miała czas. Sophie uśmiechnęła się kokieteryjnie.

-Jestem pewna, że jeśli rzeczywiście jest tak wyjątkowa, jak ci się wydaje, to znajdzie dla ciebie czas. - Zawahała się. - Mogę się założyć, że będzie miała czas jutro o dziewiętnastej trzydzieści.

Ponownie sięgnęła do torebki, wyjęła z niej saszetkę cukru z sugestiami na drugą randkę i wręczyła mu ją w taki sposób, że ich ręce na krótko się ze sobą zetknęły.

Jego serce zaczęło bić jeszcze szybciej.

- Dzięki - powiedział tylko, zbyt zdenerwowany, żeby wymyślić coś inteligentniejszego.

- Dobranoc, Garrett - powiedziała uprzejmie, przygryzając wargę i uśmiechając się jednocześnie. Kiedy już odchodziła, zaczął przeglądać zapiski na saszetce. Obrócił ją w dłoni kilka razy.

- Sophie! - zawołał podekscytowany, ale szklane drzwi już się za nią zasunęły. Wybiegł na ulicę.

- Sophie! - zawołał jeszcze raz.
Odwróciła się i uśmiechnęła, jakby wiedziała dokładnie, co zaraz powie.
- Tu nie ma nic o wpatrywaniu się w gwiazdy.
Z figlarnym uśmiechem zawróciła i stanęła naprzeciwko niego.
- Naprawdę? - Wyjęła mu saszetkę z ręki, nabazgrała coś długopisem i umieściła ją z powrotem w jego dłoni. - Cóż, teraz jest. Dobranoc, Garretcie Black.
- Dobranoc, Sophie Jones.

ROZDZIAŁ 8

Zaufaj intuicji. Prędzej czy później przestanie cię zwodzić.

Następnego dnia wieczorem Garrett bez problemu odnalazł w Gig Harbor dom, w którym mieszkała Sophie. Miasteczko było niewielkie, a jej budynek mieścił się przy głównej ulicy biegnącej wzdłuż przystani. Był to mały, piętrowy bungalow z lat czterdziestych, jednak grafitowoniebieska elewacja i pokryty gontem dach miały nie więcej niż dziesięć lat. Ramy okienne i okap dachu pomalowane były na biało, co niewątpliwie dodawało domkowi uroku. Garrett stanął przed nim punktualnie o siódmej trzydzieści. Miał na sobie wiosenny płaszcz i luźne spodnie.

Sophie pojawiła się w drzwiach, ubrana w grubą zimową kurtkę, wełniany szalik i rękawiczki. Oboje przyglądali się teraz sobie nawzajem, oceniając dobór garderoby.

- Wyglądasz ciepło — odezwał się z uśmiechem Garrett. - Eee, to znaczy... pięknie wyglądasz. Pięknie i ciepło.

- Jest dość chłodno, a zakładałam, że spędzimy trochę czasu na zewnątrz. Pomyliłam się?

Zachichotał i wyjął z kieszeni opakowanie cukru.

- Szczerze mówiąc, przejrzałem jeszcze raz wszystkie sugestie - oznajmił pogodnie - i chociaż pomysł z wpatrywaniem się w gwiazdy bardzo mi się podoba, obawiam się, że dzisiejsza

pochmurna noc nam nie sprzyja. Wybrałem więc drugą najlepszą opcję.

- Czyli?

-Trzy razy B! Bilard, bar, browar! , Uśmiech momentalnie zniknął z jej twarzy.

- Żartujesz, prawda?

- Owszem — odparł rozpromieniony. — Nie jestem wielbicielem barów i browarów. A już tym bardziej bilardu. Niemniej naprawdę na niebie jest dziś za dużo chmur, żebyśmy mogli swobodnie oglądać gwiazdy. Dlatego zaplanowałem coś innego.

Na te słowa uśmiechnęła się szeroko.

- Rozumiem. A dowiem się, co to za plany? Szczerze mówiąc, nie jestem fanką niespodzianek.

Garrett w zamyśleniu drapał się po podbródku.

- Hm. Mogę ci powiedzieć, że na pewno przewidziano na dziś kolację. Plus jeszcze jedno wydarzenie. Ale co do szczegółów, to musisz po prostu poczekać.

Zrobiła zmartwioną minę, ale widział, że wciąż śmieją jej się oczy.

- Niech ci będzie. Ale powiedz mi chociaż, czy nie jestem za ciepło ubrana.

Garrett zlustrował ją spojrzeniem od stóp do głów.

- Zależy to przede wszystkim od ciebie, choć sugerowałbym pozbycie się warstwy albo i dwóch.

Sophie postanowiła zamienić kurtkę na dwurzędowy płaszcz. Porzuciła też szalik, za to została w rękawiczkach, tak na wszelki wypadek. Kilka minut później pędzili już międzystanową przez most, w stronę Tacomy, a potem trasą 1-5, prowadzącą do Seattle. Po drodze Sophie nie przestawała wypytywać o wskazówki, które pomogłyby jej ustalić, dokąd jada, lub też co właściwie będą robić. Garrett jednak konsekwentnie unikał odpowiedzi.

- No dobrze, już dobrze, poddaję się - oznajmił wreszcie. — Chciałem, żebyś miała niespodziankę, ale skoro nalegasz... Jedziemy na hot dogi i paintball.

Tym razem wiedziała doskonale, że blefuje. Kiedy spytała po raz kolejny, powiedział, że jadą na kolację i do kina.

A potem, że na wycieczkę statkiem rejsowym.

- Naprawdę? - spytała podekscytowana.

- Nie - odpowiedział zadowolony. - Nie naprawdę. Przykro mi. Po tym, jak zjechali z międzystanowej, Garrett zwolnił nieco

i wyciągnął ze schowka czarną opaskę na oczy. Wręczył ją Sophie, nie przestając prowadzić.

- Czy wystraszyłabyś się, gdybym poprosił cię teraz o założenie tej opaski? Jeśli zobaczysz, dokąd jedziemy, nie będzie niespodzianki.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- Szczerze mówiąc, owszem, wystraszyłabym się porządnie. Chyba jednak sobie odpuszczę.

Garrett wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nie ufasz mi?

- Obdarzanie zaufaniem nie jest moją mocną stroną. A na dodatek przecież ledwo się znamy. Poza tym raz już odbyliśmy randkę w ciemno, dziękuję, postoję.

Wciąż uśmiechnięty, Garrett sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyciągnął z niej telefon komórkowy i zaczął przeszukiwać książkę telefoniczną. Wybrał wreszcie przyciskiem odpowiedni numer.

-Tak myślałem, że nie zgodzisz się na moją propozycję bez gwarancji, że będzie to absolutnie bezpieczne - powiedział i podał jej telefon. — Dlatego proszę, to do ciebie.

Popatrzyła na niego jak na wariata.

- Hę?

- Po prostu powiedz „halo” — wyjaśnił jej po cichu.

- Eee... halo?

- Sophie, to ty?

- Ellen? - Sophie rzuciła Garrettowi pytające spojrzenie.

Co się dzieje?

- Ależ nic, nie martw się, skarbie. Mama Garretta dała mi mój numer telefonu, rozmawiałam z nim wcześniej. Swoją drogą powiem ci, że brzmiał bardzo, bardzo miło. Jest tak przystojny, na jakiego brzmi?

Sophie ponownie spojrzała na Garretta, tym razem nieco nerwowo, niepewna, czy aby nie usłyszał pytania.

- Może - odpowiedziała wymijająco.

- Świetnie! Nie mogę się doczekać, aż go poznam. W każdym razie uprzedzałam ci wcześniej, że będzie do mnie właśnie teraz dzwonił. Możesz być spokojna, wiem dokładnie, dokąd jedziecie, nie musisz się o nic martwić. Po prostu baw się dobrze, okej?

- A opaska na oczy? O tym też wiesz?

- Tak jest, moja droga. Załóż ją bez obaw. Daj się ponieść przygodzie. Sophie milczała przez chwilę.

- Dzięki, El - powiedziała w końcu, po czym rozłączyła się i zwróciła w stronę Garretta.

- Nie jedziemy w żadne... dziwne miejsce?

- Nie. Zaufaj mi - poprosił kojącem tonem.

Sophie westchnęła i z ociąganiem założyła opaskę na oczy.

- Widzisz coś?

- Nic a nic.

- Doskonale.

Od punktu docelowego dzieliło ich zaledwie kilka minut drogi, ale Garrett specjalnie krążył jeszcze po okolicy, żeby nieco zmylić Sophie. Kiedy samochód wreszcie się zatrzymał, a warkot silnika ucichł, spytała, czy może już zdjąć opaskę.

- Jeszcze nie. Jeszcze tylko krótki spacer i jesteśmy na miejscu. Garrett przeszedł na drugą stronę samochodu i pomógł Sophie wysiąść, po czym wziął ją pod ramię i poprowadził do pobliskiego budynku.

- Gdzie jesteśmy? - pytała raz po raz, kiedy byli już w środku. - Jakie echo. Jesteśmy tu sami?

Garrett powstrzymał się od jakichkolwiek podpowiedzi i bez słowa prowadził ją przez kolejne korytarze i schody. Wreszcie otworzył szeroko dwuskrzydłowe drzwi i wprowadził ją do jakiegoś pomieszczenia. Ostrożnie pomógł jej usiąść na kocu. Kiedy przesunęła ręką po powierzchni materiału, z niejakim zaskoczeniem poczuła, że koc został rozłożony na betonowej posadzce. Jeszcze bardziej niepokoił ją fakt, że wokół panuje kompletna cisza. Z pewnością nie było w pobliżu żadnych ludzi. Zaczęła się zastanawiać, czy ta opaska na oczach to na pewno był dobry pomysł i czy Ellen na pewno wiedziała, co się tu święci. Garrett dostrzegł grymas zmartwienia na jej twarzy.

- Gotowa, żeby zdjąć opaskę? - spytał.

-Jak najbardziej.

- W porządku. W takim razie możesz ją zdjąć.

Sophie ostrożnie wyciągnęła dłoń i rozplątała supeł z tyłu głowy. Kiedy opaska opadła, zmrużyła gwałtownie oczy, przygotowana na rażące światło.

Tylko że... wokół panował delikatny półmrok.

Rozejrzała się po dziwnym, pustym pomieszczeniu. Wyglądało to tak, jakby otaczała ich jedna ściana, jakby kopuła. Na kocu leżały dwa puste talerze i kilka niewielkich pudełek z jedzeniem na wynos.

- Teraz, Vance — krzyknął Garrett, wykręciwszy szyję w kierunku drzwi. Kilka sekund później światła zaczęły stopniowo gasnąć. Sophie obserwowała twarz Garretta, a on odwzajemnił jej spojrzenie, uśmiechając się z zadowoleniem jak mały dzieciak.

Kiedy wokoło zapadły wreszcie kompletne ciemności, na ścianach kopuły coś zaczęło delikatnie migotać. Sophie nie mogła zdecydować, w którą stronę patrzeć. Obserwowała z zachwytem, jak tysiące małych światełek rozbłyskują niespodziewanie nad ich głowami. I wtedy wreszcie zrozumiała.

- Gwiazdy! - krzyknęła. - Jesteśmy w planetarium! O rany! Ostatni raz byłam tutaj na wycieczce szkolnej, w piątej klasie. Jakim cudem udało ci się to zorganizować?

- Znam odpowiednich ludzi - odpowiedział zadowolony. — Vance jest moim pacjentem, a jednocześnie prowadzi Pacific Science Center. Zadzwońłem do niego wczoraj, powiedział, że na dzisiejszy wieczór to miejsce jest tylko dla nas.

- To niesamowite - wyszeptała, chłonąc atmosferę tej chwili.

- Cieszę się, że ci się podoba.

Sophie usadowiła się nieco wygodniej na betonowej podłodze.

- Z tego, co pamiętam, kiedyś były tu siedzenia.

- Tak, cóż, przepraszam za ten dyskomfort. Centrum jest właśnie w trakcie małego remontu, będą zmieniać stare fotele na coś wygodniejszego.

- Nawet bez foteli to wszystko jest niesamowite. Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała Sophie, wpatrzona w kolejno pojawiające się konstelacje. — Bardzo ci dziękuję.

Garrett tylko uśmiechnął się w ciemnościach.

Reszta wieczoru upłynęła im dokładnie tak, jak oczekiwała tego Sophie: leżeli i gapili się na gwiazdy. Garrett miał nadzieję, że uznała to miejsce za romantyczne. Tak mu się w każdym razie wydawało, było jednak zbyt ciemno, żeby wyczytać cokolwiek z jej twarzy. Poza wpatrywaniem się w otaczający ich wszechświat rozmawiali bez końca, zajadali się pad thai i kokosowym ryżem. Oświetlali sobie talerze małymi latarkami przyniesionymi przez Garretta, tak żeby widzieć, co właściwie jedzą. Nie był to wprawdzie romantyczny blask świec, ale tylko na tyle pozwalały im

przepisy przeciwpożarowe. W trakcie rozmowy szybko się okazało, że Sophie fascynuje się gwiazdami - do tego stopnia, że w college'u uczęszczała nawet na zajęcia z astronomii i potrafiła, bez problemu zlokalizować dwanaście znaków zodiaku, a także kilka mniej znanych konstelacji. Garrett spytał ją, co najbardziej lubiła w gwiazdach. Jej odpowiedź zaintrygowała go.

Leżąc na plecach na zimnej, betonowej posadzce, nie przestawała wpatrywać się w migoczące światelka.

— Patrzenie w gwiazdy to jak zerkanie w przeszłość - wyjaśniła z rozmarzeniem. - Niektóre zjawiska, które obserwujemy na niebie, oddalone są od nas o miliony lat świetlnych. Na przykład galaktyka Andromedy znajduje się w odległości dwóch i pół miliona lat świetlnych. A to jest jedna z tych bliższych.

- Chwyła jego dłoń i wskazała na jeden z rozmazanych punktów w konstelacji Andromedy. - Czyli to, co widzimy - to znaczy, kiedy wpatrujemy się w prawdziwe niebo - ma dosłownie miliony lat. Żyjemy w teraźniejszości, a jednak w bardzo rzeczywisty sposób spoglądamy w przeszłość.

Zamilkła na chwilę i kątem oka zerknęła na Garretta. Po chwili podjęła:

— Wszystko we wszechświecie ma swoją przeszłość, a gwiazdy nie starają się tego ukrywać. Po prostu są i wszyscy możemy podziwiać ich światło.

Garrett przyglądał się twarzy Sophie, oświetlonej blaskiem sztucznych gwiazd.

-Andromeda... to chyba z greckiego, prawda?

— Zgadza się, doskonale. Według mitologii greckiej Andromeda była etiopską królewną. Ale czasem mówi się o niej również: „The Chained Lady” - dama przykuta do skały. A ja sądzę, że przykuta była przede wszystkim do swojej przeszłości - powiedziała i nagle spojrzała Garrettowi prosto w oczy. Mimo że momentalnie odwróciła wzrok, Garrett nie potrafił przestać

na nią patrzeć. Zachwycalo go w niej absolutnie wszystko. Delikatna zmiana w tonie jej głosu, kiedy opowiadała o Andromedzie, kazała mu się zastanawiać, czy i ona nie postrzega siebie jako współczesnej „damy przykutej do skały”, nierozzerwalnie związanej ze swoją przeszłością. „A może Sophie jest nie tyle mityczną królewną, ile raczej jedną z gwiazd” - pomyślał w duchu. - „Może, by zrozumieć ją teraz, trzeba spojrzeć w głąb jej przeszłości”. A jeśli rzeczywiście była gwiazdą - a Garrett nabierał przekonania, że tak właśnie jest, za każdym razem, kiedy miał okazję zobaczyć jej uśmiech - to oznaczać to mogło, że nieuchronnie zbliża się moment, w którym przeszłość wyjdzie na jaw.

W tej chwili jednak nic go to nie obchodziło. Patrzył na jej profil i myślał tylko o tym, że chce dowiedzieć się o tej kobiecie wszystkiego. Chciał wykorzystać każdą możliwą okazję do oglądania jej w terażniejszości, a jednocześnie miał w sercu nadzieję, że będzie mu kiedyś dane zajrzeć do jej przeszłości. A co najważniejsze - starać się, krok po kroku, stać się elementem jej przyszłości.

ROZDZIAŁ 9

Nie zadawaj się z beznadziejnymi romantykami.

*Romantyczność się kiedyś skończy,
a wtedy zostanie ci już tylko beznadzieja.*

Garrettowi wystarczyły dwa spotkania z Sophie — randka w ciemno na szczycie Space Needle oraz wieczór spędzony na betonowej posadzce w otoczeniu sztucznych gwiazd - aby nabrać przekonania, że jego pierwotny plan, zakładający, że ich znajomość będzie krótkotrwała, po prostu nie doczeka się realizacji. Najpierw ciekawość ustąpiła miejsca zauroczeniu. A obecnie był już na etapie, w którym pragnął spędzać z nią tak dużo czasu, jak to tylko możliwe. Czuł się trochę głupio, że pozwolił sobie na takie całkowite zatracenie się, niemniej dziesięć minut po tym, jak odwiózł Sophie do domu po drugiej randce, doszedł do wniosku, że najwyższy czas zaprosić ją na kolejną. Znalazł wolne miejsce parkingowe i wyciągnął komórkę. Wcześniej tego wieczoru Sophie wspomniała, że zaczęła powoli nabierać wprawy w SMS-owaniu z Evalynn, postanowił więc dla zabawy wysłać jej krótką wiadomość. Wystukując kolejne litery na maleńkiej klawiaturze, niespodziewanie uświadomił sobie, że ostatni raz zapraszał kogoś pisemnie w piątej klasie, kiedy to jednej z koleżanek zostawił liścik, w którym proponował jej wspólną wycieczkę rowerową. Kliknął przycisk „wyślij” i jednocześnie doszedł do wniosku, że takie tekstowe

zaproszenie bardzo mu odpowiadało - nie musiał obsérwcowai reakcji Sophie, kiedy otrzymywała wiadomość. *Jesteś jutro wolna?* — napisał po prostu.

Trzydzieści sekund później nadeszła odpowiedź, na widok której parsknął śmiechem. *Wolna? Nie. Ale przesadnie szybka też nie jestem.*

Hal Możemy się jutro spotkać? Kolacja o 7?

Niestety. Robota. I pracownik wyjeżdża.

Możę w takim razie wpadnę do Twojego sklepu?

Garrett spodziewał się błyskawicznej odpowiedzi, jednak telefon zapiszczał dopiero po kilku minutach, a odpowiedź Sophie kompletnie zbiła go z pantałyku.

Nie... wolalabym nie.

Przez chwilę Garrett miał nadzieję, że żartuje. Szybko więc odpisał: *To Twoja ostateczna decyzja???* *Tak. Przykro mi.*

Garrett wpatrywał się w ekran komórki. Nagle poczuł się tak samo jak wtedy, kiedy jego niedoszła sympatia napisała na jego zaproszeniu wielkie, czerwone „NIE”, a potem pokazała je całej klasie. Jakby dostał cios w brzuch. Był przekonany, że Sophie doskonale bawiła się na obydwu randkach, i po prostu nie mógł uwierzyć, że ot tak, po prostu, nie chce się z nim więcej widzieć. „Z drugiej strony” - pomyślał - „nie jestem ekspertem, jeśli chodzi o kobiety. Może po prostu nie chciała być niemiła”. Po pięciu minutach roztrząsania, czy aby na pewno powinien wysyłać jej kolejną wiadomość, Garrett postanowił odpuścić. Wrzucił bieg, ruszył gwałtownie i pojechał do domu.

Godzinę później Sophie nadal wpatrywała się w ostatni SMS, który wysłała do Garretta.

Tak. Przykro mi.

Żakowska, teraz, że nie wyraziła się nieco subtelniej. Nie chodziło przecież o to, że nie chce się z nim więcej spotykać,

po prostu pomyślała, że to wszystko dzieje się trochę za szybko. Sophie już nieraz popełniła ten błąd: jej związki zaczynały się szybko, i równie szybko się kończyły. Tym razem chciała tego uniknąć za wszelką cenę.

Przez kolejne pół godziny Sophie siedziała skulona na łóżku, z telefonem w ręku. Liczyła, że Garrett wyśle jej jeszcze jedną wiadomość, czas jednak mijał, a komórka milczała. Po następnych trzydziestu minutach zaczęła się martwić, że zupełnie zrezygnował z pomysłu zaproszenia jej na kolejną randkę. Postanowiła więc sama się do niego odezwać.

Hej Garrett! Czemu zniknąłeś??

Garrett również siedział w napięciu z komórką w ręku, odpisał więc niemal natychmiast.

Siedzę i zastanawiam się, co zrobiłem zle :-)

BARDZO Cie przepraszam! Czasem bywam okropna, wiem. Ale chce się spotkać, naprawdę. Wpadnij jutro do sklepu, PROSZĘ. Pomożesz mi robie ciagutki!

Skad ta zmiana?

Po prostu przyjdź do mojego sklepiku po pracy. Wszystko wyjaśnię. Niech będzie. Ale to tylko dlatego, ze uwielbiam ciagutki. Doskonale. Dobranoc!

Przez cały następny dzień Garrett nerwowo rozmyślał tylko o tym, co będzie miała mu do powiedzenia Sophie. Ale kiedy wieczorem pojawił się w Chocolat' de Soph, szybko zrozumiał, że wszelkie jego obawy były bezpodstawne. Ledwie przestąpił próg sklepu, Sophie podbiegła do niego, uśmiechnięta, i przytuliła go serdecznie, a potem posadziła przy jednym ze stolików przy oknie.

- Czy tak witasz wszystkich swoich klientów? - spytał złośliwie. — Chyba będę musiał częściej tu przychodzić.

— A myślisz, że dlaczego ten biznes wciąż się kręci? — odparowała ze śmiechem. Po chwili jednak spoważniała. Usiadła na krześle obok niego.

- Słuchaj, jeśli chodzi o wczorajszy wieczór, to... zjadły mnie nerwy - wyjaśniła. — Mam pewien problem z... - Sophie zauważyła nagle zastygłą kropelkę czekolady na swoim fartuchu i zaczęła zdrapywać ją zapalczywie, próbując w ten sposób uniknąć odpowiedzi.

- Z? - naciskał Garrett.

Sophie zdrapała resztki i dopiero po chwili podniosła wzrok. Spostrzegła nagle, że jego oczy mają taki sam odcień jak ciemna, kremowa czekolada. Mogła odpowiedzieć na kilka sposobów i każdy byłby zgodny z prawdą. Nie była jednak pewna, którą odpowiedzią pragnie się podzielić z mężczyzną, którego właśnie przytuliła. „Z pakowaniem się w bezsensowne związki z przystojnymi mężczyznami”? „Z otwieraniem się na innych”? „Z odwzajemnianiem uczuć”? „Z angażowaniem się”? „Ze związkami, tak ogólnie”?

- Z zaufaniem. ; Spojrzał na nią z rozbawieniem.

- Nie ufasz mi?

Zachichotała i delikatnie klepnęła go w kolano.

- Nie, ty wydajesz się absolutnie godny zaufania. Nie ufam *sobie*. Mam tę umiejętność, że rujnuję wszystkie swoje związki. Dlatego kiedy powiedziałaś, że chcesz się spotkać już jutro, troszkę spanikowałam, i tyle. Chyba po prostu boję się, że coś zepsuję. Czy to brzmi dla ciebie chociaż trochę sensownie?

- Chyba wiem, o co ci chodzi.

Sophie poprawiła kosmyk włosów, który opadał jej na twarz. -Jeśli się chwilę nad tym zastanowić, to dość ironiczne. Z lęku przed tym, że odstraszę mężczyzn — i tak ich odstraszam. Garrett parsknął śmiechem.

- Przestań. Ci faceci musieli być niespełna rozumu, skoro dali się wystraszyć.

Sophie lubiła ton jego głosu. Był tak stanowczy i spokojny, i w jakiś dziwny sposób kojący. Lubiła też obserwować

jego dołeczki w policzkach, kiedy mówił i uśmiechał się jednocześnie.

-Jasne. Tak mówił ostatni facet, który przyszedł do mnie, żeby pomagać mi przy ciągutkach. A wiesz, gdzie jest teraz? -Bacznie obserwowała jego twarz w oczekiwaniu na odpowiedź.

— No widzisz, ja też nie wiem! — zaśmiała się. — Ale z pewnością jest to bardzo, bardzo daleko stąd.

Garrett nie przestawał się uśmiechać, zupełnie zauroczony jej umiejętnością śmiania się z siebie samej.

- Czy wspomniałem ci, co moja mama zwykła mówić o związkach?

- Unikaj ich za wszelką cenę, bo zawsze kończą się złamanym sercem?

- Blisko - odparł z uśmiechem. - Moja mama powtarza zawsze, że każdy nieudany związek będzie się postrzegać jako porażkę, dopóki za którymś razem się nie poczuje, że to jest właśnie to. I wtedy okaże się, że wszystkie te porażki były tak naprawdę sukcesami, bo byłaś w stanie przetrwać je i szukać dalej, aż wreszcie trafisz na tę jedną osobę.

Sophie skrzyżowała ręce na piersi.

- A ty, biedaku, wierzysz kochanej mamusi? - spytała ze złośliwym uśmiechem. - Uważaj, w końcu to ta sama kobieta, która wmanewrowała cię w randkę ze mną. Na pewno ufasz jej instynktom?

- Owszem. Bez względu na to, ile razy zasmakujemy goryczy porażki - a wierz mi, wiem, co mówię, doświadczyłem ich sporo

— musimy nadal wierzyć, że w naszym życiu pojawi się wreszcie ta jedyna osoba. I gorycz zamieni się w słodycz.

- Och - westchnęła z nutką ironii. - Jesteś nie tylko romantykiem, jesteś wręcz beznadziejnym romantykiem.

- Wypraszam sobie. Pełnym nadziei romantykiem, jeśli już- sprostował. - To duża różnica. I mam nadzieję, że to ci nie przeszkadza?

Odwzajemniła spojrzenie, próbując odczytać jego myśli.

- Nie. Nie przeszkadza mi - powiedziała wreszcie, po czym zamilkła na chwilę. - Ale pamiętaj o tym, co ci powiedziałam, o mnie i zaufaniu. Nie chcę, żebyś zaczął myśleć, że skoro spotykamy się trzeci wieczór z rzędu, to twój ciąg porażek dobiegł końca. Niech to będzie dla ciebie ostrzeżenie, Garretcie Black: im częściej widuję się z facetem i im bardziej go lubię, tym bardziej prawdopodobne jest, że prędzej czy później koncertowo to zepsuję. - Po chwili milczenia dodała: — To nieuniknione.

Garrett wstał i zbliżył się do Sophie. Delikatnie dotknął jej ramienia.

- Potraktuję to jako wyzwanie - powiedział z uśmiechem, patrząc jej prosto w oczy. Zaraz odsunął rękę i zagadnął energicznie: — A teraz może zajmiemy się wreszcie tymi czekoladkami, hm?

Kiwnęła głową i również wstała.

- Czekoladki. Fakt. No to do roboty. Proszę za mną. Sophie zaprowadziła Garretta do kuchni i pokazała mu

kilka kulinarnych sztuczek, dzięki którym powstawała idealna masa na ciągutki. Potem zajęli się truflami i maczaniem owoców w płynnej czekoladzie. Przez resztę wieczoru pracowali ramię w ramię, przygotowując najróżniejsze specjały na następny dzień. Od czasu do czasu brzęczał delikatnie dzwoneczek przy wejściu - wtedy Sophie szybko wybiegała z zaplecza i stawała za kasą. Przed wszystkim jednak spędzali czas na rozmowach, żartach, przekomarzaniu się, zanurzaniu wiśni w czekoladzie i napełnianiu foremek - po prostu ciesząc się sobą nawzajem. Z pomocą Garretta Sophie uporała się z robotą o wiele szybciej niż zazwyczaj. Kiedy o dziewiątej przyszła pora na zamknięcie sklepu, okazało się, że większość przygotowań na następny dzień ma już z głowy. Został jej jedynie buzujący na niewielkim ogniu garnuszek, wypełniony nową mieszanką, nad którą Sophie pracowała w wolnym czasie przez ostatnie kilka tygodni. Były tam

różne rodzaje ciemnej czekolady, słodzone mleko skondensowane, odrobina *creme de menthe* oraz śmietanka, masło i cukier. Podczas gdy Garrett rozstawiał garnki na ladzie, Sophie delikatnie nie zanurzyła palec w czekoladowej mazi i oblizała go.

- Chodź, spróbuj — zawołała i przesunęła się tak, żeby zrobić miejsce przy kuchence. — Pracuję od pewnego czasu nad nowym przepisem i potrzebuję twojej opinii.

Chwyła łyżkę i zanurzyła ją w garnku, a następnie uniosła do jego ust, drugą dłoń trzymając nieco niżej, tak żeby nic nie skapnęło na podłogę. Pochylił się ku niej i spróbował ostrożnie.

-I jak?

Garrett oblizał wargi.

- Dobrze - powiedział, a potem, bez zastanowienia, przysunął się jeszcze bliżej. Sophie nie opierała się, kiedy złożył na jej ustach delikatny pocałunek.

- Nie - powiedział, odsunąwszy się nieco. - To jest więcej niż dobre. To jest najlepsza rzecz, jakiej próbowałem.

Sophie przekrzywiła głowę.

- Mówisz ciągle o nowym przepisie? - spytała zadziornie.

- Nie tylko — odpowiedział rozpromieniony Garrett....

ROZDZIAŁ I O

Chowasz przed ludźmi swoje prawdziwe „ja”... i bardzo dobrze.

Sophie starała się, jak mogła, aby niczego nie przyspieszać. A jednak - mimo jej ciągłych upomnień, że im więcej czasu będą spędzać razem, tym bardziej prawdopodobne, że Garrett zapragnie uciec i więcej nie wracać - wpadli po uszy. Od momentu pierwszego pocałunku w Chocolat' de Soph starali się dzielić wspólnie każdą wolną chwilę. Zazwyczaj Garrett przyjeżdżał po pracy pod sklepik Sophie i odwoził ją do domu, żeby nie musiała czekać na autobus. Wieczory upływały im na rozmowach, spacerach, żartach i wspólnych kolacjach. Nie miało najmniejszego znaczenia, co robili — najważniejsze było to, że są razem.

Przez pierwsze kilka miesięcy ich związku Sophie raz po raz przypominała Garrettowi, że mimo iż widują się tak często, nie mają siebie na wyłączność. Nalegała, żeby każde z nich randkowało też z innymi, jeśli tylko któreś będzie miało na to ochotę. To był jej pokrętny sposób na to, aby dać mu do zrozumienia, że może się wycofać w każdej chwili. I chociaż uwielbiała z nim przebywać i w skrytości ducha miała nadzieję, że wszystko układać się będzie jak najlepiej, z tyłu głowy stale pozostawało jej przeświadczenie, że prędzej czy później Garrett wycofa się, odejdzie. Za każdym razem, kiedy o tym wspomniała, on cierpliwie

przypominał jej, że o ile ona sama nie zamierza z nim zerwać, jest na niego skazana.

W styczniu, dokładnie cztery miesiące po ich randce w Spaće Needle, Garrett zabrał Sophie na całodniową wycieczkę do Cannon Beach, spokojnego miasteczka na wybrzeżu Oregonu, nieopodal granicy ze stanem Waszyngton. Zimowa pogoda nie sprzyjała morskiej kąpiel, spędzili jednak przemiłą leniwą niedzielę, poszukując rozgwiżd i krabów na skalistym wybrzeżu, a potem racząc się zupą ze świeżych małży.

Tak jak przewidział, podczas trzygodzinnej jazdy Sophie nie omieszkała spytać, kiedy wreszcie znajdzie sobie inną piękną kobietę, którą polubi bardziej od niej.

Westchnął głośno, a jednocześnie gorączkowo zastanawiał się nad odpowiedzią. Musiał szczerze przyznać sam przed sobą, że jej ciągłe kwestionowanie jego oddania i lojalności zaczęło mu już działać na nerwy. Garrett zastanawiał się czasem, czy Sophie kiedykolwiek będzie w stanie zaufać jemu - i sobie samej -na tyle, żeby ten związek przetrwał.

Kiedy wreszcie przemówił, w jego głosie nie było już tej pewności i otuchy, do której tak się przyzwyczaiła.

- Daj już spokój, Sophie - poprosił, nie patrząc w jej stronę. -Czy naprawdę musimy po raz kolejny wałkować ten temat?

Sophie momentalnie wyczuła różnicę w jego tonie. Była już w niejednym związku i wiedziała od razu, co ta zmiana oznacza: wreszcie osiągnęli początek końca.

- Jestem po prostu praktyczna - oznajmiła beznamiętnie. — W końcu wszystko, co dobre, musi się kiedyś skończyć, prawda?

Tym razem Garrett oderwał wzrok od jezdni i spojrzał prosto w oczy Sophie. Wyciągnął rękę i chwycił jej dłoń.

- Nie. Absolutnie nie masz racji. Naprawdę nie widzisz, co próbuję ci udowodnić przez ostatnie kilka miesięcy? Nie wszystko, co dobre, musi się kończyć! Czy nie możesz

po prostu zaakceptować faktu, że pragnę tylko ciebie i nikogo innego?

Rzuciła mu długie spojrzenie, po czym odwróciła się i wzruszyła ramionami.

— Nie wiem.

Z trudem wysilił się na uśmiech.

— No to będziemy musieli nad tym jakoś popracować. Bo ja się nigdzie nie wybieram.

Uścisnęła jego dłoń.

-Wierzę, że w to wierzysz. Po prostu... trudno jest mi sobie wyobrazić, że to, co jest między nami, nie wygaśnie prędzej czy później. Mam poczucie, że to zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

— Dlatego że żaden z twoich byłych chłopaków nie wytrzymał z tobą tak długo jak ja? - pozwolił sobie na złośliwość.

— Hej! Bez uszczypliwości proszę! - zaperzyła się i szturchnęła go w bok. Wiedziała doskonale, że żartował, ale mimo wszystko zastanawiała się przez chwilę nad tym pytaniem.

— Wydaje mi się, że tutaj nie chodzi tylko o moich byłych chłopaków. To coś więcej.

-Co?

— Ten mój lęk. To uciążliwe poczucie, że wszystkie dobre rzeczy w moim życiu muszą się kiedyś skończyć. Nie jest ono związane tylko z mężczyznami, z którymi byłam.

Garrett na chwilę odwrócił wzrok od tylnych świateł samochodu jadącego przed nimi. Na twarzy Sophie malował się smutek, ten sam, który pobrzmiwał w jej głosie. Odkąd się poznali, kilkakrotnie próbowała poruszyć ten temat, jednak nigdy wcześniej nie zdecydowała się na szczerą, poważną rozmowę. Postanowił zaryzykować.

— Mówisz o swoich rodzicach? — spytał delikatnie. Niemal niezauważalnie kiwnęła głową. — Chcesz o tym porozmawiać?

Wypuściła jego dłoń i poprawiła swój pas bezpieczeństwa. Nie dlatego, że chciała zmienić pozycję, ale dlatego, że nagle poczuła, jakby zaciskał się na jej piersi.

- Nie, niespecjalnie.

- Jestem pewien, że twoje uczucia są w pełni normalne - ciągnął Garrett. Wrócił do swojego spokojnego, kojącego tonu. -Podziel się nimi ze mną.

Sophie zaśmiała się krótko.

- Mówisz teraz jak psycholog, do którego poszłam kiedyś jako nastolatka. Wiesz, co mi powiedział? Ze mam rację! Ze powinnam przyzwyczajać się do tego, że wszystko przemija. Powiedział, że wszyscy kiedyś umrzemy, a śmierć kładzie przecież kres wszystkiemu. I dlatego powinniśmy się cieszyć związkami, póki trwają, a kiedy się kończą - otrząsnąć się i iść dalej.

- Jak można być tak gruboskórnym, żeby powiedzieć dziecku coś takiego?

- Prawda? Przestałam do niego chodzić po tej wizycie.

- Czyli... ponieważ straciłaś rodziców, uważasz, że wszystkie twoje relacje z ludźmi będą się kończyć w podobny sposób?

Sophie spojrzała na niego. W kąciку jej ust pojawił się uśmiezek.

- O rany, doktorze Black, jeśli ludzie przestaną mieć kiedyś problemy ze stopami, musi pan spróbować swoich sił jako psychoterapeuta.

- Czyli mam rację? , Wzruszyła ramionami.

- Chyba tak. Nie mam pojęcia, co by to mogło być innego. Tak naprawdę Sophie wiedziała, że chodzi o coś więcej: o to,

że miała niemały udział w tym, co przytrafiło się jej rodzinie. I że nie chce już nigdy więcej dopuścić, żeby przez nią stało się coś złego ludziom, których kocha. Nie chciała jednak powiedzieć tego na głos. Nie chciała, żeby Garrett o tym wiedział.

- Od ich śmierci zawsze miałam wrażenie, że moje związki z ludźmi są... tymczasowe. I tu nie chodzi tylko o utratę rodziców. Potem byłam jeszcze w kilku rodzinach zastępczych, w żadnej nie zatrzymałam się na dłużej.

- No a Ellen? Ona nie zniknęła z twojego życia. Ani Evalynn.

- Pił. Ellen jest policjantką. Żyje w ciągłym zagrożeniu. Zamartwiałam się — a właściwie zamartwiam się do tej pory — że na patrolu wda się w jakąś strzelaninę i będzie po niej. A Evi? Już teraz potrafi zniknąć na całe tygodnie, kiedy pojawiają się jakieś problemy między nią a Justinem. A jeśli kiedyś wezmą ślub - kto wie? Być może stracę ją na zawsze.

Garrett ponownie pochylił się lekko w jej stronę i dotknął jej kolana.

- W moim przypadku nie musisz martwić się o żadną z tych rzeczy, Sophie Jones. Nie jestem ani rodzicem zastępczym, ani gliniarzem, ani najlepszą przyjaciółką, która biega na randki. Jestem po prostu facetem, który czuje, że się w tobie zakochał.

Jego słowa zaskoczyły Sophie. Nie dość, że po raz pierwszy użył *tego* słowa, to jeszcze powiedział to takim tonem, że naprawdę to do niej trafiło. Wcześniej paru mężczyzn wyznawało jej już miłość, lecz w przypadku Garretta brzmiało to rzeczywiście szczerze. Nie było żadnych podtekstów, nie miała poczucia, że mówi tak, żeby coś osiągnąć. Chyba nawet nie oczekiwał, że ona odpowie mu tym samym. Poczula ulgę, nie była bowiem jeszcze gotowa, aby przyznać, że go kocha. Mimo pewności w sercu. Zamiast odpowiedzieć, Sophie odpięła pasy, dzięki czemu mogła pochylić się i pocałować go w policzek.

- Ostrożnie — zażartował, czule ściskając jej kolano. — Moje zmysły wariują, kiedy tylko twoje usta są zbyt blisko mojej twarzy, więc jeśli masz zamiar pocałować mnie podczas jazdy, radzę ci, dla własnego bezpieczeństwa, zapnij pasy.

Sophie szturchnęła go ponownie, po czym ujęła jego dłoń tak, że ich palce splotły się ciasno. Głowę zaprzętało jej tysiące myśli. Wiele z nich wiązało się z nieuleczalną obawą, że Garrett ucieknie w końcu gdzie pieprz rośnie, jednak przede wszystkim rozmyślała nad tym, jak bardzo zależy jej na facecie siedzącym obok. Którego dłoń, jak zauważyła, tak doskonale pasowała do jej własnej.

- Garrett - odezwała się po kilku chwilach milczenia. - Cieszę się bardzo, że twoja wścibska matka pracuje z moją wścibską przybraną mamą.

Mocniej ścisnął jej dłoń.

-Ja też.

ROZDZIAŁ II

Kiedy ktoś proponuje ci spełnienie twojego największego snu, POWIEDZ „NIE”! Pamiętaj, to tylko sen.

Dla Sophie ta styczniowa wyprawa nad ocean, a w zasadzie deklaracja miłości, którą usłyszała od Garretta, okazała się punktem zwrotnym. Powoli, powoli zaczęła przyjmować do wiadomości, że być może - ale tylko *być może* - jej związek z Garrettem ma szansę na przetrwanie.

Później, kiedy zaczęła oswajać się z myślą, że Garrettowi naprawdę na niej zależy, od czasu do czasu pozwalała sobie nawet na drobne sugestie, że czuje to, co on.

Walentynki od zawsze były najbardziej zabieganym dniem w Chocolat' de Soph, co oznaczało, że Sophie pracowała ciężko od rana do wieczora, nawet po przybyciu Randy'ego. Oboje mieli ręce pełne roboty i z trudem nadążali z obsługiwaniem tłumu klientów, przychodzących w poszukiwaniu słodkości dla swoich najbliższych. Kiedy Garrett pojawił się w sklepie o wpół do siódmej, został natychmiast zapędzony do pomocy na zapleczu. Chętnie się przyłączył, ponieważ liczył, że dzięki temu szybciej będzie mógł zostać sam na sam z Sophie. Niestety, zanim wszystko zostało posprzątane, a sklep zamknięty, była już późna noc. W dodatku Sophie była tak zmęczona po piętnastu godzinach pracy, że oczy same jej się zamykały. Garrettowi nie pozostało nic

innego, jak odwiedzić ją do domu, pocałować na dobranoc i nakazać pójście do łóżka i odespanie trudów mijającego dnia.

Za to następnego wieczoru zaskoczył ją powalentyńkową randką, która obojgu w pełni wynagrodziła nieudane święto. Odebrał ją ze sklepu punktualnie o piątej trzydzieści i zawiózł na północ, na prywatny pas startowy nieopodal lotniska Sea-Tac. Tam wsiedli na pokład niewielkiej awionetki, wynajętej przez Garretta. Pilot krążył nad centrum Seattle przez dwadzieścia minut. Kiedy już nasycili się imponującymi widokami, samolot zaczął kierować się na zachód. Pół godziny później wylądowali na wąskim zwirowym lądowisku w górach, na północ od Mount Rainier, z dala od miejskiego zgiełku.

Kiedy Sophie spytała, gdzie dokładnie się znajdują, Garrett uśmiechnął się szeroko.

- Jesteś może głodna?

Sophie przekonała się niebawem, że pas, na którym wylądowali, należy do restauracji. Przez lata była to chata drwali, lecz niedługo po sprawie sądowej, wytoczonej przez obrońców środowiska, firma wycinająca drzewa w tej okolicy padła, a grupa biznesmenów przejęła teren, zapłaciwszy właścicielom grosze, i przeobraziła to miejsce w najwyższej klasy restaurację w stylu myśliwskim. Bywali w niej głównie wielbiciele lub właściciele niewielkich samolotów. Od jej otwarcia minęło dziesięć lat. Przez ten czas stała się jednym z najpopularniejszych miejsc w środowisku klubów lotniczych na całym północno-zachodnim wybrzeżu.

Podczas gdy Sophie i Garrett raczyli się posiłkiem, ich pilot przeglądał czasopisma w lobby restauracji.

-To chyba jakieś żarty! - syknęła Sophie, kiedy zobaczyła ceny w karcie dań. - Jedno danie kosztuje mniej więcej tyle, ile dwutygodniowe zapasy żywności.

— Nie patrz na ceny — zaproponował ze śmiechem. — Ja sam staram się omijać wzrokiem cyferki. — Po chwili dodał: — Sądzę,

że nie są to wygórowane ceny dla ludzi, których stać na własny samolot.

-To fakt. Albo uznają, że należy im się, jako pasażerom małych samolotów, absurdalnie drogi posiłek. W końcu równie dobrze może to być ich ostatni posiłek.

Garrett zachichotał.

- Sophie, potrafisz mnie rozśmieszyć jak nikt inny. Chyba to właśnie najbardziej w tobie kocham.

Być może nie był to najlepszy moment na takie wyznanie, jednak Sophie bez zastanowienia odpowiedziała:

- Ja też cię kocham.

Oboje przez dłuższą chwilę siedzieli w ciszy, oboje zaskoczeni. Garrett zastanawiał się, czy aby na pewno dobrze usłyszał, a Sophie, czy naprawdę wypowiedziała te słowa na głos, czy też był to tylko wytwór jej wyobraźni.

- O rany... — odezwał się wreszcie Garrett. — Czy ty właśnie... to znaczy, czy ty naprawdę to powiedziałaś?

Nie odrywając od niego wzroku, sama zaskoczona własnymi słowami, odpowiedziała:

- Na to wygląda. — Przez chwilę w milczeniu przygryzała wargę. — Czy... czy to dobrze?

Uśmiechnął się ciepło i wyciągnął ku niej rękę. Ich dłonie się splotły.

- To więcej niż doskonale.

Sophie odwzajemniła jego uśmiech. Kiedy Garrett na nią patrzył, czuła się dziwnie bezbronne, a jednocześnie bezpiecznie i pewnie. Miała przekonanie, że on jej nie skrzywdzi. Było to dla niej zupełnie nowe uczucie. Upajała się nim.

Spędzili razem przemiły wieczór. Sophie nie pamiętała, kiedy ostatnio bawiła się tak dobrze, chociaż nie umiała dokładnie określić, na czym polega wyjątkowość tego spotkania. Następnego dnia pamiętała tylko nieprzyjemne lądowanie na Sea-Tac i cudowny pocałunek na dobranoc w Gig Harbor.

— Na pewno dużo rozmawialiśmy, ale zupełnie nie mam pojęcia, o czym - zwierzała się przez telefon Evalynn następnego wieczoru. - Chyba byłam tak oszołomiona tym, że w końcu powiedziałam mu, co do niego czuję, że przez resztę wieczoru mogłam myśleć tylko o tym. Wszystko inne wydaje się ukryte za kolorową mgłą.

Dwa i pół tygodnia po walentynkach Garrett wyjechał na tygodniową konferencję lekarzy podiatrów w Nowym Orleanie. Po raz pierwszy od ich spotkania pół roku wcześniej on i Sophie musieli spędzić tyle czasu osobno.

Evalynn uważała zachowanie Sophie w tym czasie za nieznośne, czego nie omieszkała jej powiedzieć przy okazji dwóch wspólnych kolacji.

— Czy mogę liczyć na to, że zaczniemy w końcu normalnie rozmawiać? — jęknęła na drugim spotkaniu. — Czy raczej masz zamiar cały wieczór flirtować SMS-owo z Doktorkiem Lowelasem?

Sophie ledwo ją słyszała.

— już, chwileczkę - odpowiedziała nieuważnie. — Właśnie wysłał mi absolutnie przesłodką wiadomość! Odpiszę mu tylko i zaraz będziemy... - zanim zdołała dokończyć zdanie, jej kciuki biegały już po klawiszach telefonu.

— Przepraszam cię, moja droga - wymamrotała Evalynn, wytarła usta serwetką i podniosła się z miejsca. - Ale muszę pilnie iść do łazienki. Chce mi się wymiotować od nadmiaru słodczy.

Sophie nawet nie podniosła wzroku.

Garrett wracał z Luizjany w sobotę, ósmego marca. Jego samolot miał lądować, kiedy Sophie była jeszcze u siebie w sklepie, dlatego nie chciał, żeby odbierała go z lotniska. Zamiast tego nalegał na kolację tuż po skończeniu pracy. Nie chciał powiedzieć, dokąd ją zabiera, ale poradził, żeby ubrała się elegancko.

Zgodnie z zaleceniami tego dnia Sophie przyniosła do pracy dodatkową sukienkę, w którą zamierzała się przebrać tuż przed przyjściem Garretta.

Kiedy tylko Randy pojawił się w sklepie na popołudniową zmianę, Sophie wymknęła się do kuchni, przemyła twarz, poprawiła włosy, a potem zamknęła się w swoim niewielkim biurze, żeby założyć wieczorową sukienkę. Dziesięć minut później zjawił się Garrett, ubrany w elegancki garnitur.

- Proszę, proszę, ależ dziś jesteśmy szykowni — powiedziała Sophie na jego widok, po czym zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go na powitanie.

- Halo, proszę państwa, niektórzy tu pracują! — zażartował Randy. - Proszę na zewnątrz z tymi czułościami.

Zignorowali go, ale i tak wyszli, żeby wsiąść do samochodu Garretta. Spędzili czterdzieści pięć minut w korkach, po czym Garrett wyciągnął dobrze obojgu znaną czarną opaskę na oczy, którą Sophie zmuszona była założyć przed ich drugą randką.

- Co ty na to? Założysz ją jeszcze raz na kilka minut? Wybuchła śmiechem.

- O co ci chodzi z tymi opaskami?

- Tu nie chodzi o opaski - odparł z przebiegłym uśmiechem.

- Tylko o niespodzianki. Lubię zaskakiwać.

- A jeśli odmówię, znowu zadzwonisz do Ellen, żeby mnie przekonała?

- Jeśli mnie do tego zmusisz - odparł z udawaną powagą.

- Uwierz mi, jeśli zachodzi taka potrzeba, nie boję się dzwonić na policję.

- Nie ma takiej potrzeby — uspokoiła go z uśmiechem. — Ufam ci.

Zawiązując supeł z tyłu głowy, Sophie zastanawiała się, co oznacza fakt, że potrafiła wypowiedzieć te dwa słowa

z poczuciem, że są prawdziwe. Tu nie chodziło tylko o to, że ufała mu na tyle, żeby założyć opaskę na oczy, kiedy chciał jej zrobić niespodziankę. Ufała mu, że spełni swoje obietnice. Wierzyła, że zależy mu na niej i że zawsze będzie stawiał jej szczęście ponad swoim. Nie wiedziała, jak i kiedy, ale w jakiś sposób udało mu się dowieść, że nie ma miłości bez zaufania. Im bardziej go kochała, tym mocniej wierzyła, że nie zniknie nagle z jej życia.

Pięć minut po tym, jak Sophie założyła opaskę, dojechali wreszcie do celu, cztery przecznice na wschód od wybrzeża na północy Seattle. Znalezienie miejsca parkingowego w centrum w sobotę graniczyło z cudem, Garrett postanowił więc szarpnąć się na luksusowy parking podziemny. Wsiadł ze swojego mercedesa, wręczył kluczyki obsłudze, a potem pomógł Sophie pokonać krótką odległość dzielącą ich od drzwi wejściowych. Dopiero kiedy byli już w środku, pozwolił jej zdjąć opaskę.

- Wreszcie - powiedziała z ulgą. - Nie muszę nic widzieć, wystarczy, że czuję, jak ludzie się na mnie gapią.

Kiedy opaska zsunęła jej się z oczu, wiedziała już dokładnie, gdzie się znajdują.

- Space Needle! — krzyknęła, rozglądając się na prawo i lewo. Garretta jednak nigdzie nie było. Obejrzała się za siebie, a potem obróciła się jeszcze wokół własnej osi. Przyglądała się twarzy każdego mężczyzny w garniturze, sądziła, że po prostu przegapiła Garretta w tłumie. Bezskutecznie.

„Świetnie” - pomyślała półzartem. - „Właśnie kiedy zaczęłam wierzyć, że będzie przy mnie na dłużej, on postanawia tak po prostu zniknąć”.

I właśnie wtedy z głośników sklepu z pamiątkami dobiegł donośny kobiecy głos.

- Sophie Jones proszona do recepcji. Pani Sophie Jones. Pani towarzysz oczekuje na panią. Sophie zachichotała, zaskoczona.

Z szerokim uśmiechem na twarzy ruszyła w stronę recepcji, tuż przy windach. Tam właśnie, tuż obok kobiety, która przed chwilą wezwała Sophie przez mikrofon, stał Garrett. W ręku trzymał długą czerwoną różę.

- Co ty wyprawiasz? — spytała Sophie, zmieszana, ale i uradowana jednocześnie.

- Dzisiaj mija pół roku, odkąd jesteśmy razem - wyjaśnił i wręczył jej różę, a potem cmoknął w policzek. - Pomyślałem, że fajnie byłoby wrócić do miejsca, w którym się to wszystko zaczęło.

- Jesteś kompletnie stuknięty — oznajmiła rozpromieniona. — Ale i strasznie słodki.

Garrett wziął Sophie pod ramię i pokierował ją w stronę wind.

-Jesteśmy wprawdzie kilka minut wcześniej, ale jestem pewien, że nasz stolik już na nas czeka.

Po chwili siadali już przy stoliku sto pięćdziesiąt dwa metry od ziemi i przysłuchiwali się wygłaszanej przez kelnera standardowej formułce dotyczącej prędkości, z jaką obracała się restauracja, oraz historii powstania Space Needle. Gdy tylko kelner się oddalił, Sophie i Garrett wyciągnęli długopisy i zapisali swoje imiona na opakowaniach cukru, które następnie ułożyli na parapecie, oparte o szybę. W oczekiwaniu na jedzenie opowiadali sobie na przemian, jak minął im tydzień, i powtarzali raz po raz, jak bardzo się cieszą, że wreszcie są znowu razem. Sophie wiedziała doskonale, że gdyby Evalynn słyszała tę rozmowę, śmiechom i kpinom nie byłoby końca. Ale teraz była z Garrettem, była szczęśliwa i opinie innych nie miały dla niej żadnego znaczenia.

Restauracja zatoczyła pełne koło dokładnie w chwili, kiedy Sophie i Garrett skończyli swoje główne dania. Cukry były już w zasięgu ich rąk. Garrett był bliżej, chwycił więc pierwszy i przyglądał mu się przez chwilę. Widniało tam pięć podpisów. Podał go Sophie, a po chwili trzymał już w ręku drugą saszetkę.

— Dziwne - odezwał się, obracając ją w dłoniach. Na mojej nikt się nie podpisał. Tylko ja.

— Nikt nic nie napisał?

— Ktoś napisał z tyłu pytanie, ale nie ma podpisu.

— A jakie to pytanie?

— Po prostu „Zgadzasz się?” - powiedział powoli. Podał jej saszetkę.
- Sama zobacz.

Sophie przez chwilę trzymała opakowanie w dłoniach. Zauważyła, że jest grubsze - i cięższe - niż poprzednie.

— Chyba coś jest w środku - stwierdziła z zaskoczeniem.

— Tak, Sophie, wiem. Mówią na to cukier - rzucił ironicznie Garrett.

— Cicho bądź - zgała go łagodnie. Spojrzała na niego. - Coś oprócz cukru.

— Może jakiś robak? Obrzydlistwo. Dobrze, że nie wsypałaś sobie tego do kawy.

Sophie delikatnie ścisnęła paczuszkę kciukiem i palcem wskazującym.

— Nie, jest za twarde.

— Może po prostu otwórz? Teraz i ja jestem ciekaw.

— Oj, nie wiem. A co, jeśli w środku rzeczywiście jest coś obrzydliwego?

— Cokolwiek to jest, jestem pewien, że to nic żywego. No, nie bój się, otwieraj!

Z grymasem na twarzy Sophie ostrożnie rozerwała opakowanie, a następnie wysypała jego zawartość na leżący przed nią talerzyk. Pomiedzy drobinkami cukru leżał najpiękniejszy diamentowy pierścionek, jaki kiedykolwiek widziała. Na jego widok aż się zachłysnęła.

-Jasny gwint - szepnęła z podziwem. Wzięła do ręki błyskotkę i otrzepała ją z cukrowego pyłu.

Podniosła wzrok na Garretta, który uśmiechał się nieśmiało.

- Czy możesz mi przypomnieć - poprosił — jak brzmiało pytanie z tyłu opakowania?

Sophie nadal była tak zaskoczona tym, co znalazła w saszetce, że ledwo go słyszała.

-Co?

- Pytanie.

-Ach - odpowiedziała tylko. Wzięła do ręki papieraek. — „Zgadzasz się?” - odczytała.

Garrett wahał się przez kilka sekund. Patrzył, jak z uwagą i fascynacją ogląda pierścionek. Czekał, aż wreszcie zrozumie.

- No i? Zgadzasz się?

Zdmuchnęła ziarenko cukru, które zaplątało się między diament a złotą obrączkę.

- Ale na co? - spytała bezmyślnie, nadal przyglądając się pierścionkowi. Po chwili jednak trybiki w jej głowie gwałtownie ruszyły. Posłała Garrettowi długie, zaskoczone spojrzenie.

- O... mój... Boże... - wyszeptała z trudem, bo nagle zupełnie zabrakło jej tchu. - Czy ty właśnie...

Sophie zmrużyła oczy i starała się skoncentrować tylko na ustach Garretta. Chciała mieć pewność, że nawet jeśli jej własne pędzące myśli nie pozwolą jej usłyszeć tego, co ma do powiedzenia, przynajmniej odczyta to z ruchu jego warg.

- Jeśli pytasz mnie, czy właśnie ci się oświadczyłem, odpowiedź brzmi: tak. Sophio Mario Jones, czy wyjdiesz za mnie?

- O... mój... Boże...-powtórzyła Sophie, jeszcze bardziej oszołomiona. Zaczęła mówić bez ładu: - Co takiego? Nie do wiary! Jak ty to sobie wyobrażasz? To znaczy... przecież jesteśmy razem dopiero od sześciu miesięcy! Co to jest sześć miesięcy! Uważasz, że znasz mnie na tyle dobrze? Czy ja znam cię na tyle dobrze? Jak to w ogóle możliwe?...

Garrett śmiał się cicho. Przyjął jej słowa ze spokojem.

— Podejrzewałem, że właśnie tak zareagujesz. I wiem, że może ci się to wydać nieco nagłe, ale ja po prostu wiem, że cię kocham. A ty wiesz, że kochasz mnie. Wiem też, że moje uczucia się nie zmienią - chyba że pokocham cię jeszcze bardziej. Więc po co czekać?

— Ale... wszystko może się zmienić. A co, jeśli coś ci się stanie? Albo mnie?

— Wiedziałem, że to powiesz. W Nowym Orleanie myślałem dużo o tym, co powiedział ci ten psycholog, kiedy byłaś dzieckiem. O tym, że trzeba cieszyć się związkami, dopóki trwają. Doszedłem do wniosku, że w tym, co mówił, mogło być trochę racji. Oczywiście, sposób, w jaki starał się wytłumaczyć to dziewczynce, która straciła rodziców, był okrutny, ale zastanawiam się, czy nie chodziło mu po prostu o to, że nie powinniśmy mierzyć wartości związku czasem jego trwania.

Spojrzała na niego przeciągle.

— No dobrze, powiedzmy, że weźmiemy ślub, a dwa miesiące później ja zachoruję i umrę. Czy nawet wtedy uznałbyś, że watto było się zenić?

— Tak! - odparł z mocą. - Bo byłyby to dwa najlepsze miesiące mojego życia. Oczywiście, ciężko byłoby mi żyć z myślą, że cię już nie ma. Ale wolałbym być twoim mężem choćby przez dwa miesiące niż w ogóle. - Zawahał się, po czym podjął: - Wiem, że się boisz. Wierz lub nie, ja też jestem trochę podenerwowany. Małżeństwo to duży krok. Ale nigdy nie byłem szczęśliwszy niż teraz, kiedy jestem z tobą. I chcę, żebyś była dla mnie kimś więcej niż tylko piękną kobietą, z którą się spotykam. Z całego serca pragnę, żebyś została moją żoną.

Słowa Garretta wyraźnie uspokoiły Sophie, jednak nie na tyle, aby była gotowa dać mu odpowiedź na to jedno ważne pytanie. W zamian postanowiła zmienić nieco temat rozmowy.

— Powiedz lepiej, jak udało ci się schować w cukrze ten pierścionek. Mrugnął łobuzersko.

- Wystarczyła odrobina kleju i kilka godzin lotu powrotnego do domu. Zmarnowałem pięć opakowań, zanim wreszcie udało mi się otworzyć jedno tak, żeby nie było widać, że ktoś przy nim majstrował. Kobieta, która siedziała obok mnie, była chyba przekonana, że zajmuję się przemytem kradzionej biżuterii.

Trzymała pierścionek na wysokości oczu i oglądała go dokładnie z każdej strony.

- Nie mogę uwierzyć, że zostawiłeś go na oknie na całe czterdzieści pięć minut. Ktoś mógł go przecież ukraść.

- Przez cały czas był bezpieczny w mojej kieszeni — wyjaśnił. - Podmieniłem cukry, kiedy ty byłaś zajęta czytaniem nazwisk na swoim. - Wyciągnął rękę i chwycił dłoń Sophie. - To jak brzmi twoja odpowiedź?

- Jeszcze myślę - wyjaśniła.

- To nie myśl - odpowiedział z uśmiechem. - Nie zastanawiaj się nad tym zbyt długo. Liczy się to, co czujesz. Co mówi ci twoje wnętrze.

Zachichotała.

- W moim wnętrzu żołądek wyczynia istne akrobacje. Chyba próbuje mi powiedzieć, że chce mu się wymiotować. Jesteś pewien, że powinnam mu zaufać?

- Może rzeczywiście lepiej nie. Zajmijmy się w takim razie jakimś innym organem. Co mówi ci twoje serce?

Sophie rozsiała się nieco wygodniej na krześle i wyjrzała przez okno na panoramę Seattle. Kiedy się wreszcie odezwała, jej głos był spokojny, ale i ostrożny.

- Mówi mi... że nieczęsto trafia się na mężczyzn twojego pokroju. Garrett nie spuszczał z niej wzroku.

- No widzisz, wygląda na to, że trafiliśmy na narząd godny zaufania - żażartował. - Czy mówi ci coś jeszcze?

- Ze nigdy w życiu nie byłam szczęśliwsza niż teraz. -1 to mi się podoba! Coś jeszcze?

Sophie odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.

-Tak. Moje serce chciałoby mieć pewność, że nigdy go nie złamiesz. Garrett obserwował ją przez chwilę. Była z pewnością najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek było mu dane spotkać. Zabawna, inteligentna, cierpliwa, troskliwa, bystra — miała wszystko, czego oczekowałyby od idealnej towarzyszki życia. Kiedy na nią patrzył, nabierał niezbitego przekonania, że nic nie zmieni jego uczuć. I że zrobi wszystko, aby jej nie zranić.

- Sophie - zaczął miękko — kocham cię ogromnie. Szczerze mówiąc, nie sądziłem, że kogoś tak pokocham. Dopóki cię nie poznałem, nie wiedziałem, że taka miłość istnieje. Nie mogę ci obiecać, że w naszym życiu nigdy nie napotkamy żadnych trudności. Mimo że bardzo bym chciał, nie mogę nawet obiecać, że któreś z nas nie zostanie zabrane z tego świata o wiele szybciej, niżbyśmy tego chcieli. Życie jest nieprzewidywalne. Ale mogę ci obiecać jedno: *nigdy* nie złamię ci serca. — Uśmiechnął się. — Powiedz mu to i sprawdź, co ci na to odpowie.

Sophie przechyliła delikatnie głowę, jakby coś rozważała.

- Mówi tak - powiedziała wreszcie.

- Co tak?

Podniosła pustą saszetkę po cukrze, na której widniało pytanie Garretta.

- Po prostu: tak.

Garrett miał ochotę skakać pod sufit, ale z całych sił starał się zachować spokój.

- Bierzemy ślub?

Sophie wsunęła pierścionek na serdeczny palec. „Pasuje idealnie. Zupełnie jak Garrett” - pomyślała.

- Bierzemy ślub.

ROZDZIAŁ 12

Niestety: wczoraj był najlepszy dzień twojego życia.

Sophie i Garrett ustalili datę ślubu na dwudziesty piąty października. Dawało im to całe siedem miesięcy na przygotowania. Według Garretta było to aż nazbyt czasu na zaplanowanie wszystkiego i dokonanie stosownych zamówień i rezerwacji. Dla Sophie jednak czasu było śmiesznie mało, zwłaszcza że miała wciąż bardzo dużo pracy w *Chocolat' de Soph*.

Pod koniec pierwszego tygodnia po zaręczynach miała już gotowy spis rzeczy do załatwienia. Przedstawiła go Garrettowi, który z zaskoczeniem odkrył, że przygotowania do ślubu to nie tylko kwestia rozesłania zaproszeń rodzinie i najbliższym. Kilukrotnie przeczytał całą, dopracowaną w najdrobniejszych szczegółach listę, kręcąc głową z niedowierzaniem. *Ślubne kolory, suknia ślubna, drużny i drużbowie, stroje drujen i drużbów, kwiaty, lista gości, lista prezentów, miejsce na ślub, miejsce na wesele, pastor, dekoracje, fotograf, zaproszenia, przystawki, ozdoby stołu, upominki dla gości, księga gości, muzyka, didżej, rozmieszczenie gości, ciasto, figurka na torcie, nóż do tortu...*

— Chcesz mi powiedzieć, że musimy wybrać specjalny nóż do pokrojenia tortu? - spytał. - Mam w kuchni mnóstwo noży, których z pewnością moglibyśmy użyć.

- Pytanie tylko, czy któryś z nich będzie pasować do zestawu długopisów, którymi nasi goście wpisywać się będą do księgi pamiątkowej.

- Prawdopodobnie nie.

Szturchnęła go w bok.

— Więc nie możemy ich użyć.

Garrett się roześmiał.

- Powiem ci, że jak na kobietę, która wątpiła, czy kiedykolwiek wyjdzie za mąż, masz nieliczne pojęcie o ślubach.

- Dziewczyny już tak mają. Nawet jeśli wątpimy, nie przestajemy marzyć — odparła.

Garrett i Sophie starali się załatwiać jak najwięcej spraw wspólnie. Co tydzień siadali nad listą i wykreślali kolejnych kilka punktów. Nadmiar obowiązków sprawiał, że czas pędził jak szalony i zanim się obejrzel, był już wrzesień. Zaledwie cztery tygodnie dzieliły ich od wielkiego dnia. Tego roku urodziny Sophie przypadły w trzecią niedzielę miesiąca. Cieszyła się, że jest to akurat niedziela - oznaczało to, że nie musi iść do pracy. Mimo że na liście ślubnych przygotowań widniało wciąż kilka niezłatwionych spraw, Sophie uznała, że można je przełożyć na późniejsze dni. Z okazji urodzin chciała się tylko zrelaksować i miło spędzić czas w towarzystwie Garretta.

— Mam dla ciebie niespodziankę — oznajmiła mu przy brunchu.

— Hm... ale to twoje urodziny. To chyba ja powinienem zajmować się robieniem ci niespodzianek?

- Spokojnie, właściwie to nie jest niespodzianka, tylko po prostu coś, czym chciałabym się z tobą podzielić. Taka moja urodzinowa tradycja. Możemy pojechać po południu na małą przejażdżkę?

Przytaknął tylko. Kilka godzin później wsiedli do samochodu, a Sophie pokierowała go na cmentarz Evergreen, ani razu nie mówiąc mu, gdzie dokładnie jadą, dopóki nie znaleźli się na miejscu.

— To jest ta twoja wielka niespodzianka?

- Tradycja - poprawiła z uśmiechem.

Zaparkowali i ruszyli spod stóp niewielkiego wzgórza. Ręka w rękę pokonali resztę trasy aż do wysokiego żywoplotu, nieopodal starego cedru.

-To tutaj - oznajmiła Sophie, kiedy stanęli przy nagrobku Thomasa i Cecylia Jonesów.

Garrett uważnie przeczytał każde słowo wyryte na kamiennej tablicy. Sophie zauważyła, że mięśnie szczęki napięły mu się gwałtownie.

- Zginęli w dniu twoich urodzin - odezwał się przejęty. -Do tej pory nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Sophie wzruszyła ramionami.

- Nie lubię o tym rozmawiać. ' ! Jego wzrok ponownie zatrzymał się na nagrobnym napisie.

Odczytał go na głos, bardziej dla siebie samego niż z jakiegokolwiek innego powodu.

- Dwudziesty pierwszy września tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego. Rany... Sophie, to jest... czy w tamtym czasie w gazetach była jakakolwiek wzmianka o tym, że straciłaś rodziców w dniu swoich urodzin?

Ciasno objęła go w pasie.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Ale kto wie?

- Powinna być. To sprawia, że całe to wydarzenie jest jeszcze; tragiczniejsze.

- Na pewno sprawiło, że kolejne dni moich urodzin są bardziej... znaczące.

Zamilkła na chwilę i spojrzała na Garretta. - Wiesz, nie licząc czasów, kiedy byłam jeszcze zupełnie mała i ktoś musiał mnie tu przywozić, dziś jest pierwszy raz, kiedy odwiedzam to miejsce z kimś. Nie przypuszczałam, że będę chciała kiedykolwiek podzielić się tym z drugą osobą. Ale kiedy jestem z tobą, stawianie czoła przeszłości nie wydaje mi się już tak straszne. Dziękuję ci za to.

Uścisnął ją delikatnie, lecz w dalszym ciągu nie spuszczał wzroku z nagrobka. — Tak, oczywiście... — powiedział nieuważnie.

Sophie nie zaniepokoiło jego głębokie zamyślenie. Każdy, komu opowiadała o śmierci rodziców, reagował szokiem na informację, że dzień ich śmierci był jednocześnie dniem jej urodzin. Dlaczego miałyby być inaczej w przypadku Garretta? Doszła do wniosku, że powinna dać mu chwilę na pozbieranie myśli, w tym czasie zaś sięgnęła do torebki po niewielkie pudełeczko czekoladek. Wyciągnęła jedną, przyklęknęła i położyła na nagrobku, po czym podniosła z niego piękny, okrągły kamyk, który leżał w rogu kamiennej płyty. Wrzuciła go do torebki.

- Po co ta czekoladka?

; - Och, to tylko takie przypomnienie - wyjaśniła miękko. - O czym? Sophie podniosła się i przytuliła do Garretta.

- Jeśli będziesz dla mnie miły, to może kiedyś ci powiem. Spojrzał na nią z udawanym zaskoczeniem.

— Sugerujesz, że teraz nie jestem dla ciebie miły?

— Ależ oczywiście, że jesteś — zaśmiała się. — I jeśli dalej będziesz, poznasz stopniowo wszystkie moje małe sekrety.

— Rozumiem. A ten kamyk? Powiesz mi, o co chodzi? Wspięła się na palce i delikatnie cmoknęła go w usta. -Tak. Zasłużyłeś na to - powiedziała, po czym pocałowała go nieco dłużej.

Miała zamknięte oczy, nie dostrzegła więc, że Garrett w dalszym ciągu spogląda na nagrobek.

ROZDZIAŁ 13

Kto pierwszy rzuci kamieniem, prędzej czy później się o niego potknie.

Garrett poweselał niedługo po tym, jak opuścili cmentarz. Sophie odetchnęła z ulgą. Resztę dnia spędzili, snując się po targu przy Pike Street. Zdecydowali się nawet na wczesny obiad przy jednym ze stoisk z kebabami, których zapach sprawił, że obojgu ślinka zaczęła napływać do ust.

Najedzeni ruszyli niespiesznie do miejsca, w którym zaparkowali samochód, i pojechali z powrotem w kierunku Gig Harbor. Kiedy minęli już most, Sophie przypomniała sobie, że obiecała wyjaśnić tajemnicę kamyka, który zabrała z grobu rodziców. Tuż za mostem zjechali z głównej trasy na wąską, krętą drogę prowadzącą na wschód, w gęsto zadrzewionej, ale zamieszkaney okolicy. Sophie poprosiła Garretta, żeby zatrzymał się tuż przy wąskiej ścieżce oddzielającej dwie posesje.

- Co my tu właściwie robimy?

— Stąd musimy przejść jeszcze kawałek na piechotę — wyjaśniła Sophie. Wyciągnęła okrągły kamień z torebki. Wysiedli z samochodu i ruszyli ścieżką. Jak się okazało, niecałe dwieście metrów dalej rozciągała się cieśnina, oddzielająca tę część stanu Waszyngton od Półwyspu Olimpijskiego. Górował nad nimi łuk mostu. Sophie zmuszona była krzyczeć, żeby jej głos przebił się przez szum przejeżdżających samochodów.

- Wiesz, co tam jest? — spytała, wskazując na powierzchnię wody tuż pod mostem.

Garrett spojrział na nią rozbawiony.

- Czy to podchwytliwe pytanie?

— Ani trochę — odpowiedziała z uśmiechem.

- No dobrze, w takim razie wydaje mi się, że wskazujesz albo na most, albo na wodę.

- Nie o to chodzi. Chodzi o to, czy wiesz, co jest w wodzie. Pod powierzchnią.

- Nie mam pojęcia - przyznał po chwili.

- Kiedy byłam w drugiej klasie, mój tata często tu ze mną przychodził. Fascynowały go mosty wiszące. To właśnie on opowiedział mi o pierwszym moście, chociaż nie wydaje mi się, żeby zbyt dużo z tej historii zostało w mojej dziecięcej głowie. Dopiero po kilku latach wróciłam do niej i zaczęłam czytać na ten temat. Pierwszy most otworzono dla ruchu w tysiąc dziewięćset czterdziestym. Uznawany był za prawdziwe arcydzieło, cud techniki.

- I co się z nim stało?

- Cztery miesiące po otwarciu zawalił się. Wiejący z dużą siłą wiatr sprawiał, że most wyginał się i falował. Podobno pasażerowie samochodów czuli się jak na kolejce górskiej. Wreszcie most nie wytrzymał skręceń i wygięć i cały runął do wody.

Garrett podrapał się po podbródku.

- Niesamowite. Ale dlaczego ta historia ma dla ciebie takie znaczenie?

Sophie zacisnęła usta.

- To była olbrzymia katastrofa. Cały most, podobno najdoskonalszy, jaki kiedykolwiek powstał, zniknął ot tak, w jednej chwili. Ale przychodzę tutaj nie ze względu na to wydarzenie, ale na to, co działo się potem. Po pierwsze, inżynierowie i budowniczcy dowiedzieli się dzięki temu, w jaki sposób *nie* należy budować wiszących mostów. Ta wiedza miała wpływ na konstrukcję

każdego mostu wiszącego na świecie, który powstał po tysiąc dziewięćset czterdziestym roku. Co więcej, wierz lub nie, stary most, który spoczywa obecnie pięćdziesiąt metrów pod wodą, stał się największą rafą stworzoną przez człowieka. Daje schronienie niezliczonym morskim stworzeniom. Garrett objął ją ciasno ramieniem.

- Chyba rozumiem, co masz na myśli. Coś dobrego wynikło z czegoś strasznego. To o to chodzi.

Sophie przytaknęła.

- Ale w takim razie dlaczego przychodzisz tutaj z kamykiem z grobu twoich rodziców?

- Dlatego - to powiedziawszy, Sophie zamaszystym ruchem puściła kamyk na wodę. Podskoczył na tafli siedem czy osiem razy, marszcząc jej gładką powierzchnię, a po chwili zniknął w odmętach.

- Może to głupie, ale kiedy skończyłam dziesięć lat i znalazłam kamyk na grobie rodziców - było to w pierwszą rocznicę ich śmierci - pomyślałam, że świetnie nadawałby się do puszczenia kaczek. Poprosiłam więc Ellen, żeby mnie tu przywiozła, bo to miejsce kojarzy mi się z moim tatą. Ciskając wtedy ten kamyk, pomyślałam życzenie: żeby coś dobrego wynikło z katastrofy, która dotknęła moją rodzinę. — Milczała przez dłuższą chwilę. Wpatrywała się w niewielkie pierścienie falujące w miejscu, gdzie przed chwilą kamyk uderzył w wodę. - Wracam tu co roku i wypowiadam to samo życzenie.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Wciąż czekasz, aż twoje życzenie się spełni, prawda? Sophie westchnęła.

- Dokładnie tak.

Ujęła dłoń Garretta i po chwili ruszyli z powrotem do samochodu. Szli w ciszy, każde pogrążone w swoich myślach.

ROZDZIAŁ 14

Kiedy ukazujesz najbliższym zbyt wiele prawdy o sobie, musisz się liczyć ze smutnymi konsekwencjami.

Dziewiętnaście dni przed ślubem do Garretta zadzwonił w środku nocy didżej, który miał grać na weselu. Poinformował, że z powodu „całej serii masakrycznie niefortunnych zdarzeń” nie dotrze na imprezę. Co więcej, jak się okazało, didżej Danny-B zamykał interes i nie mógł zwrócić wypłaconej mu zaliczki.

- To jakiś żart, tak? - spytał zdenerwowany Garrett. - Proszę, powiedz, że to jakiś głupi żart.

- Yyy..

- Czekaj! Zanim powiesz cokolwiek, chciałbym, żebyś wiedział, że jedyne, co miałem załatwić na ten ślub, to właśnie muzyka na wesele. I tak właśnie zrobiłem. Zaufałem *tobie*, więc proszę, Danny, powiedz, że żartujesz.

- Sorry, szefie. To nie żarty. Przygotowania ślubne okazały się bardzo wyczerpujące,

zarówno dla Garretta, jak i dla Sophie. Był zbyt wykończony psychicznie, żeby silić się na uprzejmości. Jęknął przeciągle i wrzasnął:

- Chcesz mi powiedzieć, że mam ot tak, po prostu, znaleźć nowego didżeja na wesele, które odbędzie się za niecałe trzy tygodnie?! A w dodatku nie odzyskam od ciebie moich pięciu stów? To rozbój w biały dzień!

— Stary, okej, jesteś zdenerwowany - odparł niewzruszony didżej Danny. - Ale jeśli to dla ciebie jakaś pociecha, facet od bar *micwy* > która będzie dzień po twoim ślubie, jest w plecy całego tysiąka. No, to na razie.

W słuchawce zapadła cisza.

Następnego dnia Sophie i Garrett spędzili całe pięć godzin na poszukiwaniu zastępstwa. Nie było łatwo znaleźć didżeja, który miałby wolny tak bliski termin, a kiedy już im się wreszcie udało, zażyczył sobie dwa razy wyższej stawki niż standardowa. Garrett miał niemiłe wrażenie, że głos didżeja Diddyego Dana brzmi łudząco podobnie do Dannyego-B.

- Podaj i popyt, stary, co poradzę. Bierzesz albo nie.

Więc wziął, chociaż nie był z tego zbyt zadowolony. Garrett zastanawiał się nawet, czy nie był to jakiś przekręt didżeja Danny'ego, który *chciał* w ten sposób zwiększyć *swój* dochód: zwiewał z zaliczką, a kiedy ktoś znajdował go pod innym pseudonimem - windował cenę. Sophie przypomniała mu delikatnie, że naprawdę dużo gorszych rzeczy może się zdarzyć przy okazji ślubu („na przykład panna młoda może zwiać sprzed ołtarza” - droczyła się), ostatecznie więc przestał się tym tak przejmować.

Po odhaczeniu na liście didżeja i domknięciu jeszcze paru innych drobniejszych spraw udali się do 13 Coins, restauracji znanej w całym Seattle z fantastycznej muzyki jazzowej i bluesowej granej na żywo. Sophie wybrała to miejsce na przyjęcie weselne ze względu na przestronną Salę Numer Trzyście z wyjątkowym klimatem, oddzieloną od reszty lokalu. Mogli w niej pomieścić się wszyscy zaproszeni goście. Menedżer restauracji poprosił, żeby przyjechali ostatecznie zatwierdzić wybór przystawek i skosztować proponowanych deserów.

Kiedy już zakończyli degustację najróżniejszych ciast i tart, prawie-nowożeńcy postanowili zjeść coś konkretniejszego.

Garrett wcisnął kilka guzików na swoim GPS-ie, by sprawdzić, jakie restauracje znajdują się w najbliższej okolicy.

— Sophie, na jaką kuchnię masz dziś ochotę?

— Ty zdecyduj. Cokolwiek wybierzesz, będzie dobrze. -Jesteś pewna?

Położyła rękę na jego udzie i ścisnęła lekko.

— Na sto procent - odpowiedziała z mocą. - Zaskocz mnie -dodała z uśmiechem. — Tylko proszę, bez opasek na oczy.

— Zrozumiano.

Garrett znalazł wreszcie restaurację, zaprogramował GPS i ruszył. Kobięcy głos co chwilę wydawał instrukcje, aż wreszcie doprowadził ich przed japońską restaurację dokładnie dziesięć koma szesnaście kilometra dalej.

— Znam to miejsce — wyszeptała Sophie trochę do siebie samej i powoli wysiadła z samochodu.

— Naprawdę? Byłaś tu już wcześniej?

Przygryzła nerwowo wargę, kiedy zalała ją fala wspomnień.

— Bardzo dawno temu - odparła przygaszonym głosem. Była to restauracja, w której specjalne grille hibachi ustawiano tuż przy stołach, a wyspecjalizowani kucharze przygotowywali potrawy na oczach gości. Garrett sądził, że będzie to fajna rozrywka, jednak spojrzawszy teraz na Sophie, od razu zauważył, że coś jest nie tak.

— To jest to miejsce - wyznała wreszcie. Rozglądała się powoli. - Nic a nic się nie zmieniło.

— Jakie miejsce?

Sophie wzięła do ręki pałeczki i rozdzieliła je jednym stanowczym ruchem.

— To tutaj rodzice zabrali mnie z okazji moich dziewiątych urodzin. Tu jedliśmy nasz ostatni wspólny posiłek — wyjaśniła i wskazała duży stół, przy którym kucharz zajęty był właśnie smaženiem kurczaka teriyaki. — Przy tamtym stole.

Garrett delikatnie pogłaskał ją po piecach.

- Chcesz pójść gdzieś indziej? Uśmiechnęła się delikatnie.

- Jesteś kochany. Nie, w porządku - odpowiedziała i ponownie rozejrzała się po sali. - Właściwie to nawet dobrze, że tu trafiliśmy. Może zbyt długo unikałam tego miejsca?

Kilka minut później przy ich stoliku pojawił się kucharz i rozpoczął się kulinarny show. Była to rzeczywiście świetna rozrywka, lecz jedzenie nie smakowało tak dobrze, jak zapamiętała Sophie.

- Może zmienił się właściciel — wysnuła przypuszczenie. — W końcu minęło już prawie dwadzieścia lat.

Na koniec posiłku kelnerka przyniosła każdemu ciasteczko z wróżbą. Zaczęła od czwórki gości obok — każdy po kolei wyjmował ciasteczko z metalowej miski.

- Myślałem, że ciasteczka z wróżbą pochodzą z Chin — zauważył Garrett, biorąc ostatnie. Kelnerka uprzejmie skinęła głową.

- To *azjatyckie* ciasteczko z wróżbą — wyjaśniła z silnym japońskim akcentem. - Chińskie ciasteczko, japońska wróżba.

Garrett wybuchnął śmiechem.

- Rozumiem. Muszę to zapamiętać. A ja, głupi, zawsze myślałem, że to chiński wymysł.

Kelnerka parsknęła śmiechem, po czym pochyliła się nieco i odezwała się, tym razem bez śladu akcentu:

- Prawdę mówiąc — wyszeptała, żeby nie zdradzić się przed resztą gości — ciasteczka z wróżbą zostały wymyślone przez amerykańskich imigrantów na początku dziewiętnastego wieku. Na początku nie były to wróżby, ale cytaty z Biblii. Po drugiej wojnie światowej stały się narzędziem marketingowym w rękach amerykańskich właścicieli restauracji. Chiny i Japonia nie miały z nimi absolutnie nic wspólnego.

- Naprawdę? - spytała zaskoczona Sophie, z zainteresowaniem chłonąc tę nietypową lekcję historii.

— Może i udaję japoński akcent - szepnęła kelnerka i mrugnęła do nich porozumiewawczo. — Ale nie zmyślam faktów. -Po tych słowach ponownie uruchomiła swój wschodnio brzmiący akcent i powiedziała nieco donośniej: - Przyjmijcie dobrą wróżbę z Azji! Zapraszamy ponownie! - ukłoniła się zamaszyście i skierowała kroki ku następnemu stolikowi.

Kiedy wsiadali do samochodu, Garrett wciąż nie mógł przestać się śmiać. Naśladował nawet głos kelnerki. Za to Sophie rozmyślała nad czymś głęboko.

— Zanim pojedziemy do domu - oznajmiła nagle - chciałabym, żebyśmy pojechali kawałek tą ulicą, dobrze?

— Jasne. A o co chodzi?

: Nieco zdenerwowana, uniosła brwi.

— Po prostu chcę ci coś pokazać.

Kilka przecznic dalej poprosiła go, żeby skręcił w lewo, w zatłoczoną, czteropasmową arterię, którą jechali kolejne półtora kilometra. Sophie aż zeszytniała, kiedy mijali ulubiony sklepik z czekoladą jej mamy, ten sam, do którego tak bardzo chciała zajrzeć w dniu swoich dziewiątych urodzin. Zacisnęła zęby. „Dziewiętnaście lat” - pomyślała. - „A od tamtego dnia ani razu nie kupiłam tam żadnych słodyczy”.

Niecałe sto metrów za sklepikiem poprosiła Garretta, żeby zwolnił i zjechał na prawy pas. Dostrzegła hydrant, przy którym siedziała w tę deszczową noc. Zbliżali się do niego w szybkim tempie.

— Zwolnij — poprosiła. — Jesteśmy na miejscu.

— Sophie, jeśli zwolnię jeszcze bardziej, spowodujemy wypadek. „Na miejscu” to znaczy gdzie?

Wahała się przez chwilę, zanim odpowiedziała. Nie spuszczała wzroku z żółtego hydrantu.

— Na miejscu wypadku.

Nie było gdzie się zatrzymać, mimo to Garrett nacisnął hamulec. Poruszali się teraz w iście żółwym tempie. Większość

pojazdów od razu wyprzedzała ich lewym pasem, ale kilka utknęło tuż za nimi i zaczęło trąbić. Niezrażony Garrett włączył światła awaryjne i zamachał do kierowców, żeby ich wyminęli.

— Dokładnie tutaj? - upewnił się. Sophie wyczuła, że nie tylko jest tym wszystkim żywo zainteresowany, ale przede wszystkim - docenia, że tak się przed nim otworzyła.

— Siedziałam dokładnie w tym miejscu, obok hydrantu, przez całkiem długi czas. Obserwowałam tylko całe zamieszanie wokoło. Tam stały karetki, a nasz samochód leżał na środku drogi, o tam - wyjaśniała, wskazując palcem kolejne miejsca. — Pamiętam, że tam z kolei była furgonetka UPS, a kurier leżał na ziemi tuż przed nią.

Przemieszczali się powoli wzdłuż ulicy. Garrett nie odezwał się ani słowem, kiedy ona dzieliła się z nim najdrobniejszymi szczegółami, które potrafiła przywołać. Mówiła o liczbie wozów strażackich i karetek, o racach ułożonych na drodze, o tym, jak zablokowano ruch w obydwie strony i policjanci musieli przekierowywać samochody na objazdy.

Kiedy wreszcie zamilkła, Garrett wciąż spoglądał w milczeniu na drogę.

— Garrett? — Usłyszawszy swoje imię, wyrwał się wreszcie z zamyślenia i odwrócił w jej stronę. - O czym myślisz?

— Po prostu... rany... — powiedział miękko. — To naprawdę musiało być coś strasznego. - Po czym dodał, nie spuszczając z niej wzroku: - Sophie, przykro mi, że musiałaś przez to wszystko przejść.

Uśmiechnęła się do niego ciepło i dotknęła jego ramienia.

— Jedźmy już do domu.

ROZDZIAŁ 15

Twoje obawy o przyszłość można bardzo łatwo wyjaśnić. Po prostu jesteś paranoikiem.

Wszystko w porządku? - spytała Garretta Sophie, kiedy już pocałowali się na dobranoc. — Odkąd wyszliśmy z restauracji, nie jesteś zbyt rozmowny.

- Tb tylko zmęczenie.

Sophie wydało się jednak, że dostrzegła w wyrazie jego twarzy coś jeszcze.

- Jesteś pewien? Chyba nie masz żadnych wątpliwości? Uśmiechnął się lekko i objął ją ciasno.

- Nie. Po prostu... zobaczyłem dziś miejsce, gdzie zginęli twoi rodzice. To było wstrząsające. Aż do dziś niewiele o tym mówiłaś i wydaje mi się, że dopiero dzisiaj tak naprawdę jestem w stanie choć częściowo wyobrazić sobie, jak się musiałaś czuć. Ogromnie mnie to poruszyło. I smutno mi jest na myśl, że od tylu lat zmuszona jesteś żyć z tymi wspomnieniami.

Sophie nie zwalniała uścisku. Bała się, że jeśli odsunie się w tym momencie, Garrett zobaczy w jej oczach, że cała prawda o wypadku jest jeszcze gorsza. Wiedziała, że nie potrafi mu tego wyjawić.

- Dziękuję - wyszeptała tylko.

Kiedy wreszcie odsunęli się od siebie, Garrett jeszcze raz delikatnie pocałował Sophie.

- Do zobaczenia jutro — powiedział i wsiadł do samochodu.

W drodze do domu był tak zamyślony, że przegapił swój zjazd z autostrady. Mijając go, Garrett pomyślał sobie, że po prostu zjedzie tym następnym, półtora kilometra dalej. Ten też przejechał. Kiedy kolejny zjazd do Tacomy był już tylko odległym punktem widocznym we wstecznym lusterku, Garrett uznał, że nie ma co się oszukiwać. Nie jechał do domu. Jeszcze nie teraz.

Ellen powoli zapadała w sen, kiedy usłyszała dzwonek do drzwi. Natychmiast usiadła wyprostowana na łóżku. Uważnie nasłuchiwała. Kilka sekund później ktoś ponownie zadzwonił — trzy krótkie dźwięki.

Ellen wyskoczyła z łóżka, narzuciła szlafrok, wychyliła się w stronę korytarza i krzyknęła:

- Zapukaj raz, jeśli jesteś przyjacielem, dwa razy, jeśli wrogiem. Nie usłyszała ani jednego pukania do drzwi. Zamiast tego

ciszę nocną ponownie przeszył dźwięk dzwonka. Ellen chwyciła swój pistolet leżący na szafce nocnej, tak na wszelki wypadek, i ruszyła do drzwi.

- Halo? Kto tam? - spytała ostrożnie, zanim otworzyła drzwi. -Tu Garrett Black - padła odpowiedź. - Przepraszam, że nachodzę cię o tak późnej porze, Ellen, ale muszę z tobą porozmawiać.

Garrett był chyba ostatnią osobą, którą Ellen spodziewała się ujrzeć w środku nocy i bez zapowiedzi. Miała złe przeczucia: do jego ślubu pozostały niecałe dwa tygodnie, a brzmiał, jakby był bardzo zmartwiony. Ellen szybko odsunęła kolejne zasuwki i otworzyła zamki, żeby wpuścić Garretta do środka.

- Co się dzieje? - spytała, starannie zamykając za nim drzwi. Wyraz jego twarzy był jeszcze smutniejszy niż ton głosu. -Czy wszystko w porządku?

-Tak, w porządku - odparł, ale jego niewyraźny uśmiech świadczył o czym innym. - Naprawdę bardzo przepraszam

za to najście, ale... Sophie zabrała mnie dziś na miejsce wypadku... tam, gdzie zginęli jej rodzice.

Przez chwilę Ellen obserwowała go uważnie.

- Rozumiem. Wygląda na to, że rzeczywiście kocha cię tak bardzo, jak twierdzi. Sophie prawie nigdy nie rozmawia o wypadku. I nigdy, przenigdy nikogo tam nie zabrała. Nawet Evalynn.

- Wiem — odpowiedział miękko.

- Więc o co chodzi?

- Nawet kiedy tam byliśmy, Sophie nie dzieliła się ze mną szczegółami. Ot, kilka obrazów, które przez te lata przechowywała w zakamarkach swojego umysłu. A ja chciałbym lepiej zrozumieć, co tam się wydarzyło. Przez co tak naprawdę musiała przejść. — Zamilkł nagle, po chwili jednak kontynuował: — Wiem, że dla niej samej mówienie o tym wszystkim jest zbyt trudne. Ale chciałbym dowiedzieć się o tamtym dniu czegoś więcej. Chciałbym być dla niej większym wsparciem, pomóc jej dźwigać ten emocjonalny ciężar, z którym musi mierzyć się każdego dnia. Czy to, co mówię, ma jakikolwiek sens?

Ellen się uśmiechnęła.

- Ależ tak - odparła. - I szczerze mówiąc, ulżyło mi. Wygląda na to, że bardzo ci na niej zależy, tak samo jak jej na tobie.

Pokiwał twierdząco głową.

- To prawda. Ellen, wiem, że byłaś z nią tamtej nocy. Czy możesz mi opowiedzieć, co zapamiętałaś?

- Lepiej. Jeśli obiecasz, że nikomu o tym nie powiesz, pokażę ci kopię policyjnego raportu z wypadku. Zrobiłam ją dla siebie dawno temu. Znajdziesz tam wszystkie najdrobniejsze szczegóły.

- Czy Sophie go czytała? Ellen pokręciła głową.

- Zrobiłam tę kopię właśnie na wypadek, gdyby kiedykolwiek chciała się dowiedzieć czegoś więcej, ale przez te wszystkie lata o nic mnie nie pytała. Nie wie nawet, że mam ten raport.

Usiądź, proszę - zachęciła, wskazując na sofę. - Chwilę mi zajmie znalezienie go w papierach.

Garrett wypełnił jej polecenie, lecz gdy tylko opuściła pokój, wstał i zaczął oglądać wiszące na ścianach zdjęcia. Wprawdzie kilkakrotnie był już w mieszkaniu Ellen, nigdy jednak nie miał czasu przyjrzeć im się dokładnie. Większość z nich przedstawiała dorastające Sophie i Evalynn - grupowe zdjęcia klasowe, szkolny bal, uroczystość rozdania świadectw. Nieco wyżej wisiało pojedyncze, niewielkie zdjęcie dużo młodszej Ellen z mężczyzną przy boku. Garrett wiedział tylko, że Ellen była kiedyś mężatką i jej mąż zmarł, nic więcej.

Wciąż wpatrywał się w fotografię, kiedy Ellen wróciła do pokoju.

- Znalazłam wreszcie - oznajmiła.

Garrett odwrócił się w jej stronę. Nie chciał być wścibski, ale wiedział, że i tak zauważyła, czemu się tak uważnie przyglądał.

- Ellen, czy to twój...

- Mój mąż, Rick? Tak, to on.

- Też był policjantem, zgadza się?

Przytaknęła bez słowa.

- Sophie wspominała, że zginął na służbie.

Ellen znowu poruszyła głową, tyle że to wcale nie było przytakujące kiwnięcie. Ani przeczące potrząśnięcie. Coś między jednym a drugim.

- Zgadza się... mniej więcej.

Garrett uznał, że nie powinien wypytywać już więcej o jej przeszłość. Ale Ellen widziała w jego oczach, że chciałby wiedzieć więcej.

- Tak naprawdę nie był na służbie - podjęła. - Nigdy nie mówiłam dziewczynkom, co się dokładnie wydarzyło, bo nie chciałam, żeby niepokoiły się o własne bezpieczeństwo.

Kiedy mnie o to pytały, odpowiadałam tylko, że Rick był dzielnym mężczyzną i zginął, robiąc to, co do niego należało. Rzucił jej pytające spojrzenie.

— Dlaczego mówisz, że nie czułyby się bezpieczne? Westchnęła ciężko.

— Chodź, usiadźmy. — Kiedy już oboje usadowili się na kanapie, kontynuowała: - Czy Sophie wspominała ci kiedykolwiek, że kiedy była młodsza, powtarzałam jej uparcie, że wszystko ma swój ukryty cel, nawet te złe rzeczy?

-Tak, mówiła mi o tym nieraz. Chociaż, szczerze mówiąc, wydaje mi się, że nie podziela tego poglądu.

-Wiem. Ale mam nadzieję, że kiedyś przyzna mi rację. Bycie matką Sophie i Evalynn było dla mnie prawdziwym błogosławieństwem. Choć prawdę mówiąc, prawdopodobnie nigdy nie byłoby mi dane go zaznać, gdybym wcześniej nie straciła Ricka. Sophie była moim szczęściem w nieszczęściu.

- W jakim sensie?

-To... to skomplikowane. Masz czas, żeby posłuchać całej opowieści? Kiwnął tylko głową.

- W porządku. Najlepiej będzie, jeśli zacznę od Ricka. Poznaliśmy się jeszcze w akademii policyjnej, potem zostaliśmy przydzieleni do tego samego rejonu. Oboje mieliśmy wtedy po dwadzieścia jeden lat. Dwa żółtodzioby. Wzięliśmy ślub rok po tym, jak się poznaliśmy. Dwa lata później uznaliśmy, że czas na powiększenie rodziny... - Wahała się przez chwilę. - I cóż, okazało się, że ja nie mogę mieć dzieci. Coś nie tak z moim organizmem. Tak czy inaczej, było to dla nas ogromne rozczarowanie. Chodziliśmy od specjalisty do specjalisty, w końcu powiedziano nam wprost, że nie mamy szans na biologicznego potomka. Wtedy zaczęliśmy rozważać inne możliwości. Jedną z nich była oczywiście adopcja, poważnie się nad tym zastanawialiśmy. Ale pracowaliśmy

w takim, a nie innym zawodzie, dzięki czemu wiedzieliśmy, jak ogromne jest zapotrzebowanie na sprawdzone rodziny zastępcze. Dużo na ten temat rozmawialiśmy, dużo się modliliśmy, i doszliśmy do wniosku, że to właśnie chcemy zrobić: zaoferować ciepły dom dzieciakom, które potrzebowały miłości. Byliśmy w trakcie procesu kwalifikacyjnego, kiedy zginął Rick. Garrett spojrzął na nią zaintrygowany.

- Ale jaki ma to związek z tym, o czym mówiłaś, że każda tragedia ma swój ukryty cel?

Ellen spuściła wzrok. Kiedy podniosła głowę, spojrzała mu prosto w oczy.

- Niektórzy uznaliby to pewnie za czysty przypadek, ale moim zdaniem nie bez powodu Sophie została sierotą dokładnie tego dnia, kiedy pojawiłam się w pracy po raz pierwszy, odkąd zostałam wdową. Wierzę, że to było przeznaczenie.

Garrett chrząknął.

- Jak to?

Ellen spochmurniała.

- Po śmierci Ricka przez dwa miesiące byłam na zwolnieniu. Byłam zrozpaczona, starałam się dojść do siebie. Niezwykłe przeżyłam tę stratę. Tego dnia pracowałam na dwie zmiany, zastępowałam kogoś, więc byłam jeszcze w terenie, kiedy Rick zszedł z posterunku i poszedł do domu. Pod koniec drugiej zmiany słuchałam policyjnego radia, i nagle usłyszałam wezwanie do wszystkich jednostek. Podano adres w Seattle, pod którym postrzelono policjanta po służbie. - Ellen przerwała i wpatrywała się ze smutkiem w Garretta. — Podano *mój* adres.

Garrett aż się zachłysnął.

- O mój Boże... Ellen, tak mi przykro. Uśmiechnęła się dzielnie.

- Pojechałam tam najszybciej, jak tylko mogłam, ale nie miało to znaczenia. Już nie żył. Okazało się potem, że tego wieczora

aresztował członka gangu, jednego z kilku, którzy napadli wcześniej na sklep. Symbol tego gangu był wyryty na drzwiach naszego mieszkania. Najpewniej jeden z gówniarzy, któremu udało się uciec ze sklepu, czekał na Ricka pod komendą i śledził go aż do mieszkania. Zastrzelił go, kiedy tylko Rick, nieuzbrojony, otworzył mu drzwi.

„To wyjaśnia, dlaczego Ellen jest zawsze taka nerwowa przy otwieraniu drzwi” - pomyślał Garrett.

— Rany... Ellen, nie wiem nawet, co powiedzieć. I szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, gdzie widzisz w tym wszystkim jasną stronę.

Wzruszyła ramionami.

— Po początkowej traumie, kiedy znalazłam już nowe mieszkanie, postanowiłam, że nadal chcę być matką zastępczą. Rick nalegał, żebyśmy przyjmowali pod nasz dach tylko chłopców, więc gdyby nie umarł, tak właśnie byśmy zrobili. Ale kiedy byłam już sama, przez te dwa miesiące przemyślałam to sobie i doszłam do wniosku, że samotnej matce łatwiej będzie z dziewczynką. Z tą myślą wróciłam do pracy i dokładnie tej samej nocy poznałam dziewczynkę, która potrzebowała mamy najbardziej na świecie. Przez kilka miesięcy po wypadku wydzwaniałam do opieki społecznej, pytałam o nią, dawałam do zrozumienia, że chętnie się nią zajmę, jeśli tylko zajdzie taka potrzeba. I któregoś dnia, kiedy w jej rodzinie zastępczej wydarzyła się tragedia - mężczyzna zmarł na atak serca — opieka społeczna zapukała do moich drzwi, prowadząc ze sobą moje wybawienie. - Przerwała na chwilę. Garrettowi wydawało się, że widzi w jej oczach łzy. - Straciłam Ricka, ale w moim życiu pojawiła się Sophie, a potem Evalynn. Wiem, że z ich punktu widzenia rodzina zastępcza nie była wymarzonym rozwiązaniem, ale dla mnie... dla mnie one były wszystkim.

Garrett oddychał powoli. Chłonał wszystko, co do tej pory usłyszał.

- Dlaczego nie powiedziałaś im nigdy, jak zginął Rick? Westchnęła ponownie.

— Tak jak mówiłam: nie chciałam, żeby martwiły się, że któregoś dnia jakiś zbir z pistoletem zapuka do drzwi ich domu. Wiedziałam też, przez co obie przeszły. Nie byłoby fair z mojej strony mówienie im, że są dla mnie błogosławieństwem, skoro przywiodły je do mnie dramatyczne wydarzenia. Na samą myśl o tym czuję się winna, więc tym bardziej nie byłabym w stanie powiedzieć im tego wprost.

Garrett pokiwał ze zrozumieniem głową, nie powiedział jednak ani słowa. Po dłuższej chwili milczenia Ellen wręczyła mu policyjny raport.

- Przepraszam, zagadałam cię. Wciąż jesteś nim zainteresowany? Był tak pochłonięty opowieścią Ellen, że prawie zapomniał o dokumencie.

— Ach. Tak, oczywiście.

Otworzył teczkę, która zawierała dziesięciostronicowy raport na temat wypadku, w tym zeznania naocznych świadków, szczegóły dotyczące samochodów, które brały w nim udział, i stopnia ich zniszczenia, nazwiska i wiek wszystkich kierowców i pasażerów oraz przyczynę zdarzenia: „złe warunki pogodowe, śliska nawierzchnia, słaba widoczność”.

Przebiegając palcem wskazującym po kolejnych paragrafach raportu, Garrett w minutę przejrzał pierwsze kilka stron. Potem wyraźnie zwolnił, koncentrując całą swoją uwagę na pozostałych stronach. Czytał uważnie każde zdanie. Poczul nagłe uderzenie gorąca na twarzy i miał tylko nadzieję, że Ellen tego nie dostrzegła. Kiedy skończył czytać, zamknął teczkę i wręczył ją Ellen. Delikatnie przechyliła głowę.

— Mam nadzieję, że rozjaśniło ci to parę kwestii. Kiwnął głową.

- Tak. Dziękuję. I dziękuję, że zdecydowałaś się opowiedzieć mi o swoim mężu. Sophie ma naprawdę ogromne szczęście, że ma

ciebie. Chciałbym, żeby któregoś dnia zrozumiała, jak dobrze się stało, że wasze życiowe ścieżki skrzyżowały się przed laty. -Po tych słowach Garrett wstał i oznajmił: - Lepiej już pójde. Może uda mi się jeszcze trochę pospać. Ellen odprowadziła go do drzwi.

— Dobranoc, Garrett.

Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. Na jego twarzy malował się dziwny smutek.

— Do widzenia, Ellen.

ROZDZIAŁ 16

Jeśli wydawało ci się, że wszystko zmierza w dobrym kierunku, najwyraźniej patrzyłeś w złą stronę.

Następnego popołudnia Garrett zadzwonił do Sophie i wyjaśnił, że musi trochę zostać dłużej w pracy, tak żeby nie mieć potem problemu z wzięciem wolnego na miesiąc miodowy. Sophie rozumiała go w pełni, była w podobnej sytuacji. Zostały tylko dwa tygodnie, a ona wciąż miała jeszcze całą listę spraw, które musiała uporządkować, żeby czuć się na tyle pewnie i spokojnie, by zostawić sklepik w rękach Randyego na całe siedem dni.

W wyniku nawалу zajęć przez cały tydzień Garrett i Sophie praktycznie się nie widywali. Sophie tęskniła za ukochanym, powtarzała sobie jednak, że w bardzo niedalekiej przyszłości będzie przecież widywać go codziennie. Ta myśl osładzała jej kilka dni rozłąki. Poza tym codziennie przed pójściem spać rozmawiali przez telefon. To jej na razie wystarczało.

W sobotę Sophie postanowiła położyć się wcześniej. Tym bardziej była zaskoczona, kiedy jej telefon rozdzwonił się o wpół do drugiej w nocy. Kilka chwil zajęło jej, zanim uświadomiła sobie, że to nie sen, że rzeczywiście słyszy dzwonek telefonu przypisany Garrettowi.

- Garrett?

- Sophie, musimy porozmawiać - usłyszała po drugiej stronie. Jego głos wydawał się dziwnie obcy. Zimny dreszcz przebiegł jej po kręgosłupie.

— Teraz?

— To nie może czekać.

— Hmm... no dobrze. Słucham. Wszystko w porządku? Przez krótką chwilę w słuchawce panowała zupełna cisza.

Wreszcie Garrett powiedział:

— Jestem pod twoim domem, w samochodzie. Możesz zejść na dół?

— Garrett... co się dzieje?

— Proszę cię, Sophie, po prostu zjedź na dół.

Sophie poczuła, że ogarnia ją panika. I przerażenie. Nie wiedziała dokładnie, o czym chce z nią rozmawiać Garrett, wiedziała jednak doskonale, że nie może to być nic dobrego.

— Zaraz będę - wyszeptała. Wysunęła się spod kołdry i, schowana za zasłoną, dyskretnie spojrzała za okno. Z wysokości swojego piętra nie była w stanie dostrzec twarzy Garretta, ale widziała jego ręce, zaciśnięte mocno na kierownicy. Była tak zaaferowana, że wyszła na dwór boso i w satynowej piżamie, mimo że na zewnątrz było zimno i mżysto. Chciała jak najszybciej się dowiedzieć, co się dzieje.

Kiedy szła w kierunku samochodu, próbowała dociec, z jakiego powodu Garrett miałby budzić ją w środku nocy i domagać się rozmowy w swoim samochodzie. Za każdym razem, kiedy znajdowała w myślach jakiś możliwy powód, cichy głosik w głowie powtarzał jej: „Nie łudź się... to na pewno chodzi o ciebie”.

Trzęsąc się z zimna i ze strachu, wśliznęła się do samochodu. Mimo wszystko zmusiła się do dzielnego uśmiechu.

— Co za miła niespodzianka. Dzień dobry, przystojniaku. Garrett nie odrywał rąk od kierownicy. Jego twarz nie była

zupełnie bez wyrazu, jednak z pewnością nie była to twarz kogoś, kto cieszy się na widok ukochanej osoby. Kiedy odwrócił głowę w jej stronę, światło przy drzwiach wejściowych oświetliło jego twarz na tyle, że Sophie dostrzegła bez trudu, że niedawno płakał.

- Dwie godziny - powiedział bezbarwnym głosem. — Siedzę tu od dwóch godzin i zastanawiam się, co powinienem zrobić.

Sophie wzdrygnęła się.

- Na litość boską, Garrett, powiedz mi wreszcie, co się dzieje? Daję słowo, jeśli myślisz o...

Jej słowa zawisły w ciszy między nimi.

- Garrett - spróbowała jeszcze raz. — Cokolwiek to jest, proszę, po prostu mi powiedz. Porozmawiajmy o tym.

Odwrócił wzrok.

- Przepraszam, Sophie... — wyszeptał.

- Za co? Za co mnie przepraszasz. Garrett? Powiedz coś! Spuścił wzrok.

- To koniec.

Sophie poczuła, że zbiera jej się na wymioty. Na wszelki wypadek zasłoniła usta ręką.

- Co takiego? - spytała wreszcie, kiedy udało jej się powstrzymać mdłości. — O czym ty do cholery mówisz? - Koniec z nami? Garrett, cokolwiek cię trapi, jestem pewna, że razem znajdziemy rozwiązanie.

Za oknami wiatr i deszcz przybrały na sile. Uderzały samochód ciężkimi podmuchami.

- Przepraszam, Sophie - powtórzył. Oderwał wzrok od kierownicy i spojrzał jej w oczy. Jego głos brzmiał teraz o wiele łagodniej. — Gdyby był jakikolwiek sposób, żeby tego uniknąć, zrobiłbym to. Niestety... niektórych nieszczęść po prostu nie da się naprawić.

- Czy możesz rozwinąć myśl? Powiedz mi przynajmniej, dlaczego - zażądała.

Powoli pokręcił głową.

- Jakie to ma teraz znaczenie? To koniec, Sophie. Powiedziałaś mi kiedyś, że nic, co dobre, nie trwa wiecznie. Może rzeczywiście miałaś rację.

Sophie robiła, co mogła, żeby się nie rozpłakać, jednak na te słowa - które tak dobitnie przypomniały jej, że wszystko, na czym kiedykolwiek jej zależało, zawsze kończyło się źle - nie wytrzymała. Po policzkach popłynęły jej łzy.

— Okłamałeś mnie! - szlochała. — Mówiłeś, że zawsze będziesz mnie kochał! Że mogę ci zaufać! I zaufałam ci!

— Nie martw się o ślub i resztę - oznajmił. Sophie nie przestawała płakać. - Powiadomię wszystkich i wszystko odwołam. Nie będziesz musiała nic robić.

Usłyszała, co mówi, lecz nie podniosła wzroku ani nie zareagowała w żaden inny sposób.

Tak bardzo chciał ją pocieszyć i tyle miał jej do powiedzenia. Wiedział jednak, że jeśli powie za dużo, wywoła lawinę pytań. Pytań, na które nie chciał odpowiadać.

- Muszę wracać do domu.

- I to tyle? Zrywasz za mną i odjeżdżasz sobie, ot tak? W odpowiedzi przechylił tylko niezręcznie głowę.

Sophie otworzyła drzwi samochodu i wysiadła w sam środek ulewy. Nie zdążyła ich nawet zamknąć, a już była całkowicie przemoczona. Ale zamiast popędzić do domu, stała bosą na chodniku i patrzyła, jak Garrett na zawsze odjeżdża z jej życia. Dopiero kiedy straciła z oczu tylne światła jego samochodu, zdecydowała się wejść do domu. Opadła ciężko na kanapę, zwinęła się w kłębek i płakała gorzko aż do świtu.

ROZDZIAŁ 17

Być może świat stoi dla ciebie otworem, niczym muszla. Co z tego, skoro nie ma w niej perły.

Sophie, otwieraj natychmiast! — wrzasnęła Evalynn po raz kolejny.

- Odejdź!

- Nie ma mowy! Będę krzyczeć, dzwonić i walić w drzwi, aż mnie wpuścisz! - Evalynn raz za razem wciskała guzik dzwonka, by po chwili zacząć łomotać do drzwi. - Sąsiedzi nas obserwują! Jeszcze trochę i wezwą policję, więc lepiej otwórz!

Trzydzieści sekund później Sophie poddała się i wpuściła Eva-lynn do środka. Wyglądała okropnie blado, a na jej policzkach widniały ślady łez. Miała opuchnięte oczy, włosy w nieładzie, wyglądało też na to, że od dłuższego czasu chodzi po domu w tej samej piżamie.

- Cześć, Sophie - odezwała się łagodnie Evalynn.

- Po prostu chcę być sama. Zostawcie mnie wszyscy w spokoju. Tak trudno to zrozumieć?

- Wiem. Ale męczysz się tak w samotności już od ilu? Trzech dni? Wystarczy. Mogę wejść?

- Niech będzie - wymamrotała. Evalynn zrobiła krok w jej stronę i po chwili Sophie tonęła już w serdecznym uścisku.

- Nie będę ci kłamać, kochana, wyglądasz okropnie.

- Cicho bądź.

— Oj... pachniesz też nie za dobrze. Kiedy ostatnio brałaś prysznic?

— Chyba w niedzielę.

— To chyba najwyższy czas na kąpiel.

Sophie ociągała się jeszcze trochę, ale wreszcie dała się namówić i godzinę później wyglądała i pachniała już całkiem przyzwoicie. Niebawem przed dom zajechał policyjny samochód Ellen.

— Sophie, trzeba było do mnie zadzwonić — powiedziała z lekkim wyrzutem, kiedy przytuliły się na przywitanie. - Do czego to podobne, że bym dowiadywała się o tym koszmarze trzy dni później, i to od mamy Garretta!

Sophie wysunęła się z jej objęć.

— Wiem, Ellen, wiem. Ja po prostu... nie jestem jeszcze w stanie zmierzyć się z rzeczywistością.

Ellen ponownie ją przytuliła.

— Wiem, skarbie. Rozumiem.

Była w trakcie patrolu w centrum miasta, kiedy dostała bezpośrednią informację od policyjnej dyspozytorki, matki Garretta, że jest pilnie potrzebna w komendzie. Kiedy się tam pojawiła, Olivia DeMattio wyjaśniła, że Garrett właśnie zadzwonił do niej z okropnymi wieściami.

— Zerwał zaręczyny trzy dni temu! — oznajmiła histerycznym tonem. - I nie raczył nikomu o tym powiedzieć, aż do dzisiaj!

Olivia była zdruzgotana, zwłaszcza że Garrett nie wyjaśnił powodów swojego zachowania, oznajmił tylko krótko, że nie ma w tym w ogóle winy Sophie, wina leży wyłącznie po jego stronie.

Kiedy tylko Olivia skończyła mówić, Ellen zaczęła wydzwaniać do Sophie, ale za każdym razem włączała się poczta głosowa. Spróbowała zatem dodzwonić się do Chocolat' de Soph, jednak nikt tam nie odbierał. Doprowadzona do ostateczności, Ellen zatelefonowała do Evalynn, która właśnie kończyła pracę w Tacomie. Przekazała jej to, co wiedziała, i poleciła jechać jak najszybciej prosto do domu Sophie.

Sophie zdała swojej małej rodzinie relację z tego, jak została oficjalnie porzucona przez doktora Garretta Blacka. Zajęło jej to dosłownie kilka minut, tyle samo, jak wyjaśniła, ile zajęło Garrettowi odwołanie ślubu i zaręczyn i odjechanie w siną dal.

- I nie powiedział ci, dlaczego to zrobił?

- Nie. Powiedział tylko, że ma swoje powody, ale że lepiej dla nas obojga będzie, jeśli nie będzie wdawał się w szczegóły.

Evalynn prychnęła pogardliwie.

- Chyba lepiej dla niego. Sophie westchnęła.

- Tak... To właśnie jest w tym wszystkim najgorsze. Oczywiście, cała ta sytuacja jest do chrzanu. Ale że nie mam nawet prawa wiedzieć, dlaczego to zrobił? To już jest tortura. Próbowałam do niego dzwonić, ale nie odbiera.

- Może powinniśmy odwiedzić go w domu - zdecydowała Ellen i podniosła się energicznie. — I to już, teraz, zaraz. Ja prowadzę. Sophie, zasługujesz na lepsze traktowanie.

Początkowo Sophie stawiała opór, który jednak na niewiele się zdał: dziesięć minut później były już w drodze, a kwadrans potem zatrzymywały się właśnie pod domem Garretta. W oknach nie świeciły się żadne światła, mimo to Sophie wysiadła z auta i ruszyła do drzwi. Nikt nie otwierał. Zajrzała przez okno przy drzwiach, było jednak zbyt ciemno, żeby cokolwiek dostrzec. Biegiem wróciła do samochodu.

- Ellen, możesz spróbować zaświecić światłami samochodu w stronę domu? - poprosiła.

- Oczywiście, kochanie. Zobaczyłaś coś w środku?

- Nie. Raczej chcę się upewnić, czego nie widzę.

Sophie ruszyła drobnymi kroczkami z powrotem do drzwi i ponownie zajrzała przez okno. Tym razem widziała wszystko bardzo dokładnie. Tyle tylko, że nie było tam czego oglądać. Tak jak trzy noce temu, tak i teraz Sophie poczuła, że robi jej

się niedobrze. Powoli wróciła do samochodu i wgramoliła się do środka.

Ellen pierwsza dostrzegła, jak bardzo jest zszokowana.

— Sophie... co się dzieje?

— To naprawdę koniec - powiedziała ledwo słyszalnym głosem. - Wszystko... on się... tam... tam nic nie ma.

— Co takiego? - spytała z niedowierzaniem Evalynn, ulokowana na tylnym siedzeniu.

Sophie siedziała jak sparaliżowana. Odwróciła się w jej stronę i ochryplym głosem oznajmiła:

— Jego dom jest kompletnie pusty. Garrett się wyprowadził. -Jest jeszcze przecież jego gabinet - podsunęła Ellen. -

Możemy tam pojechać, jeśli chcesz. Nawet teraz, albo jutro rano. Prędzej czy później będzie przecież musiał pojawić się w pracy.

— Po co miałybyśmy to robić? - burknęła Sophie. - Większość ludzi, kiedy jest gotowa iść naprzód ze swoim życiem, po prostu idzie naprzód. A on posunął się jeszcze dalej. Naprawdę się wyprowadził! To chyba wystarczający dowód na to, że nie chce ze mną rozmawiać. Jeśli nie chce, to nie mam zamiaru go do tego zmuszać. Zostawię go w spokoju.

— Ale Sophie, co jeśli...

— Nie, Ellen! To wszystko nie ma już znaczenia. Tak naprawdę wiedziałam od samego początku, że tak się to wszystko skończy. To jest właśnie moje życie. Jedźmy już. To koniec.

ROZDZIAŁ I 8

Twój największy sukces to tylko pożywka dla twojej przyszłej porażki.

Zawieź mnie do sklepu — stanowczo poprosiła Sophie z przedniego siedzenia policyjnego samochodu Ellen. Od dwudziestu minut jeździły bez celu po mieście, pogrążone w rozmowie, i próbowały dojść, co właściwie poszło nie tak. Teraz jednak, kiedy potwierdziły się jej obawy i naprawdę utraciła Garretta, Sophie odczuwała dziwną potrzebę znalezienia innego ujścia dla swoich emocji, poza jeżdżeniem w ciemności i płakaniem. Niespodziewanie wpadła na pewien pomysł.

- Dokąd, kochanie? - spytała Ellen.

- Do mojego sklepu, Chocolat' de Soph. Muszę przygotować się na jutro.

Evalynn zaprotestowała.

- Sophie, jesteś w samym centrum kryzysu emocjonalnego. Naprawdę, praca może poczekać.

Sophie pokręciła stanowczo głową.

- Nie mogę dłużej siedzieć w zamknięciu. Poza tym wydaje mi się, że praca może mieć na mnie działanie terapeutyczne.

- Nie widzę nic terapeutycznego w robieniu czekoladek - zaproponowała ze śmiechem Evalynn. - W ich jedzeniu, owszem, ale w robieniu?

- Po prostu mnie tam zawieźcie. Przyszedł mi do głowy pewien przepis, chcę go wypróbować. Na cześć Garretta.

Ellen zmieniła bieg.

- Masz zamiar przygotować coś słodkiego na jego cześć?

- Nie do końca - odpowiedziała cicho Sophie. Układała już w głowie listę składników, których użyje do stworzenia nowego przysmaku.

Kiedy dotarły wreszcie do sklepu, Evalynn zaproponowała, że zostanie i pomoże Sophie w przygotowaniach.

Ellen została tylko na chwilę, nie omieszkała jednak zapewnić Sophie, że wszystko się jeszcze ułoży.

- Pan Bóg czuwa - oznajmiła stanowczo. - Jest u steru, nawet jeśli wydaje ci się, że zoczyłaś z kursu. Po prostu musisz mu zaufać i uwierzyć, że on wie lepiej, jak potoczą się twoje losy. I że prędzej czy później dotrzesz do wyznaczonego ci celu.

Były to pierwsze tego wieczoru słowa, po których Sophie wybuchła śmiechem.

- Jeśli rzeczywiście Bóg steruje tym statkiem, to przykro mi, ja wyskakuję za burtę — odpowiedziała gorzko. — Albo zorganizuję bunt na pokładzie. Ale to nie Bóg złamał mi serce, tylko Garrett.

- Daj sobie czas, kochanie - poradziła łagodnie Ellen. — Daj sobie czas.

Po wyjściu Ellen Sophie zleciła Evalynn przygotowanie kilku porcji ciągutek i mnóstwa innych ręcznie robionych smakołyków, podczas gdy sama zabrała się za nowe dzieło. Godzinę później wyciągnęła pierwszą blachę ciasteczek z wróżbą. Brakowało tylko wróżb. Usiadła przy biurku w swoim małym gabinecie, wyciągnęła kartkę i pocięła ją nożyczkami na niewielkie paski. Zaczęła je wypełniać wróżbami, jeden po drugim. Zapisywała po kolei wszystko, co tylko przyszło jej do głowy. Pierwsza była w jej opinii absolutną perełką: „Niektórzy mają szczęście w miłości. Ty nie należysz do tego grona”. Przy kolejnym uśmiechnęła się do siebie. „Twoje życie legnie w gruzach w mgnieniu oka.

Lepiej nie mrugaj!" Następne pomysły pojawiały jej się w głowie bez najmniejszego trudu. Niebawem wszystkie karteczki wypełnione były wróżbami. Wsunęła po jednej do każdego ciasteczka, ułożyła je wszystkie na tacy i zaniósła Evalynn, która zjadała się właśnie surowym ciastem z masłem orzechowym.

- Masz ochotę spróbować? Evalynn przełknęła głośno.

- Ciasteczka z wróżbą oblane czekoladą? To jest ten twój genialny pomysł? Nie chcę ci psuć nastroju, ale jestem niemal pewna, że ktoś wpadł na to już wcześniej.

- Nie do końca - odparła z uśmiechem Sophie. — To są Złowróźbne Ciasteczka, a nie ciasteczka z wróżbą. Spróbuj, chyba poczujesz różnicę.

Evalynn wzruszyła ramionami i sięgnęła po wypiek. Sophie patrzyła na reakcję przyjaciółki po pierwszym kęsie i wiedziała już, że udało jej się osiągnąć zamierzony efekt. Chwilę później Evalynn pluła i krzywiła się niemiłosiernie.

- Przecież to obrzydliwe!

- Cóż, tak jak mówiłam... są na cześć Garretta. Co wylosowałaś? Evalynn wydłubała świstek spośród okruchów.

- „Twoje życie uczuciowe niebawem rozpadnie się na kawałki i pozostawi niesmak w ustach. Zupełnie jak ciasteczko, które właśnie trzymasz w ręku" - przeczytała. Podniosła wzrok na Sophie, posmutniała. - Ale... to jest przygnębiające.

- Tak jest.

- Po czymś takim zaczynam od razu rozmyślać o Justinie.

- Widzisz, działanie terapeutyczne — oznajmiła Sophie, szczerząc zęby w uśmiechu. — Zazwyczaj wróżby w ciasteczkach są optymistyczne aż do obrzydzenia. Natomiast moje zapewniają zdrową dawkę brutalnej rzeczywistości. Są dla wszystkich tych, którzy chodzą po tym świecie wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że szczęście jest jedynie iluzją.

- Ja bym się jednak nie rozpędzała z takimi stwierdzeniami
zaprotestowała Evalynn.

Sophie tylko wzruszyła ramionami.

— Cóż, taka jest prawda.

CZĘŚĆ 3

KONIEC

ROZDZIAŁ 19

Akceptuj rzeczy, których nie możesz zmienić. Na przykład to, jak wyglądasz.

Październik 2009 r.

Urząd pocztowy, w którym Sophie miała swoją skrytkę, mieścił się zaledwie pięć przecznic od jej sklepiku - na tyle blisko, że mogła pójść tam, kiedy tylko pojawiała się taka potrzeba. Droga do niego wiodła jednak pod górę - było na tyle stromo, że Sophie nie odwiedzała poczty częściej niż raz w tygodniu. Zresztą, większa częstotliwość nie miałaby najmniejszego sensu: przychodziły do niej głównie rachunki oraz katalogi i ulotki z hurtowni gastronomicznych i firm odzieżowych. Minęły już trzy tygodnie, odkąd Garrett umieścił ogłoszenie w „Seattle Timesie”. Tak jak podejrzewała, nie otrzymała do tej pory ani jednej odpowiedzi.

Kiedy kończyła swoją cotygodniową wędrówkę na pocztę, Sophie dostrzegła bezdomnego mężczyznę, machającego do niej z drugiej strony ulicy. Odmachała mu krótko. W oczekiwaniu na zmianę świateł ochłonęła chwilę po spacerze pod górę, po czym ruszyła przez ulicę w kierunku skrzyżowania, na którym stał bezdomny.

-Witaj, Sophie! Jak się miewa moja ulubiona klientka? -zagaił pogodnie. Jego siwe włosy opadały przetłuszczonymi

strąkami na uszy i czoło, a podwijały się do góry tuż nad kołnierzem czerwonej flanelowej koszuli. Szare smugi brudu pokrywały jego zniszczoną skórę tuż pod oczami, a cała reszta twarzy pokryta była długą, gęstą brodą, którą dla wygody ściągał sobie gumką recepturką. W rękę trzymał kartonową tabliczkę z napisem: „Wietnam mnie zmienił. Ty też możesz. Podaruj trochę drobniaków”.

- Czy tym właśnie dla ciebie jestem, Jim? Zwykłym klientem? Brzmi to tak, jakby nasze relacje opierały się tylko i wyłącznie na transakcjach biznesowych.

Jim i Sophie poznali się niecały rok wcześniej, niedługo po tym, jak Garrett zniknął z jej życia. Była właśnie w drodze na pocztę, żeby wysłać niewielką paczkę Złowróźbnych Ciasteczek pewnemu mężczyźnie z Portland, właścicielowi sklepu z upominkami. Jim zatrzymał ją z prośbą o jedzenie albo pieniądze. Sophie nie miała przy sobie gotówki, zaproponowała mu więc ciasteczko, ostrzegła jednak, że prawdopodobnie nie będzie mu smakować. Jim postanowił zaryzykować i wziął od niej jedno, dziękując bez końca i wychwalając pod niebiosa jej życzliwość.

Jak się okazało, jego kubki smakowe nieco szwankowały, dzięki czemu stał się jedyną znaną Sophie osobą, która zjadała ze smakiem Złowróźbne Ciasteczko. Również znaleziona w środku wróżba zachwycała go tak dalece, że obiecał jej zachować tę i każdą następną, bo był pewien, że wszystkie po kolei się spełnią. Po tym pierwszym spotkaniu zaczął uważnie obserwować Sophie i szybko się zorientował, że jej „dniem pocztowym” jest poniedziałek, dlatego co tydzień czekał na nią przy skrzyżowaniu.

— Nie jestem tutaj przecież ze względu na swoje zdrowie — powiedział kwaśno zachrypniętym głosem. - Jak byś to inaczej nazwała, jeśli nie biznesem? Ja zwabiam klientów swoim ujmującym wyglądem i nieodpartym urokiem, tak jak ty przyciągasz

ich do swojego sklepu wspaniałym smakiem swoich pysznych ciasteczek.

Sophie zachichotała.

- Większość ludzi twierdzi, że te ciasteczka smakują ohydnie.

- Dokładnie! Ze mnie też żadna piękność, a jednak udaje mi się dzień w dzień namawiać ludzi, żeby oddawali mi swoje pieniądze!

Pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Naprawdę, Jim, niezłe z ciebie ziółko.

Jim podrapał się po głowie i gwizdnął przeciągle.

- Ha! Dokładnie to samo powiedziała moja żona tuż przed tym, zanim ode mnie odeszła. - Westchnął, po czym przesunął dłoń z czubka głowy aż do karku, gdzie najwyraźniej też zaczęło go coś swędzieć. — No dobrze, dość gadki szmatki na dziś. Masz coś dla mnie?

Sophie sięgnęła do torebki i wyjęła z niej zawinięte w serwetkę ciasteczko.

- Proszę - podała mu je z uśmiechem. - Całe twoje. Zrobiłam dziś rano świeżą porcję.

Jim oblizał popękane wargi i odebrał od niej smakołyk, który natychmiast podniósł do ust. Ugryzł tylko mały kawałek i delektował się jego smakiem. Po kolejnych kilku kęsach wyciągnął ze środka zwinięty papierek.

- Ha! - ucieszył się po przeczytaniu wróżby. - Kolejny dobry znak. Tutaj jest napisane, że niedługo i moja głowa, i opony mojego samochodu, będą łyse jak kolano!

Sophie znowu pokręciła głową.

- Dlaczego uważasz, że to dobry znak? Spojrzał na nią przeciągle.

- Oj, Sophie, Sophie... Czy ja naprawdę muszę ci wszystko tłumaczyć? Któregoś dnia wszystkie twoje wróżby się spełnią. Pomyśl tylko, jakie to będzie cudowne! Teraz nie mam

samochoodu, ale skoro mam mieć łyse opony, wygląda na to, że szczęście niebawem się do mnie uśmiechnie.

- Wieczny optymista z ciebie. Muszę lecieć, powinnam jak najszybciej wrócić do sklepu. Randy będzie się martwił, dlaczego tak długo nie wracam.

- Będzie tu szanowna panienska za tydzień?

- Na to wygląda. Nikt nie odbierze za mnie poczty.

- Będę czekał - obiecał, ukazując w uśmiechu zaniedbane dziaśła w miejscu, gdzie powinny być jego zęby.

Jak zwykle w skrytce pocztowej Sophie znajdowało się zaledwie kilka przesyłek. Niemniej, ku jej zaskoczeniu, trzy z listów zaadresowane były ręcznie, co nie pasowało do standardowych rachunków i ulotek, do których była przyzwyczajona. Otworzyła jeden z nich. Aż przystanęła: była to odpowiedź na ogłoszenie o szczęściu. Szybko rozerwała następne dwie koperty. Tak, to również były listy od szczęśliwych ludzi!

Idąc powolnym krokiem w dół wzgórza, w kierunku Chocolat' de Soph, Sophie zdążyła kilka razy przeczytać trzy krótkie wiadomości. Wciąż nie dowierzała, że ktokolwiek zadał sobie tyle trudu, by odpowiedzieć na dziwaczne ogłoszenie.

Wróciwszy do sklepu, wsunęła listy do szuflady biurka, a potem zastąpiła przy kasie Randy'ego, któremu zleciła odkładane w nieskończoność porządki na zapleczu.

Niedługo potem rozdzwonił się sklepowy telefon, ustawiony przy kasie.

- Chocolat' de Soph, słucham? — wygłosiła formułkę Sophie.

- Czy mógłbym rozmawiać z panną de Soph?

- Bardzo śmieszne, Garrett. Czego chcesz?

- Cześć, Sophie. Jak się miewasz?

- Miewałam się całkiem nieźle, ale zadzwoniłeś i mi przeszło - odburknęła. W jej głosie słychać było napięcie.

- Sophie, wyluzuj troszkę. Czy rozmowa ze mną naprawdę jest dla ciebie taką udawką? Dzwonię tylko, żeby spytać o odzew na moje ogłoszenie. Jakies odpowiedzi?

- Marnie to widzę - odpowiedziała błyskawicznie. - Mówiłam ci, że tak będzie.

- Płacę za to ogłoszenie już trzeci tydzień, a nadal nie ma żadnej odpowiedzi? Auć.

- Cóż... Mówiąc szczerze, zainteresowało się nim kilka osób...

- Ooo! Naprawdę? - w głosie Garretta pobrzmiwała autentyczna ekscytacja. - Czyli jednak są gdzieś na tym świecie szczęśliwi ludzie, widzisz? I najwyraźniej zdarza im się czytać ogłoszenia drobne!

- Najwyraźniej.

- To ile było na razie tych odpowiedzi? Jedna, dwie? Sophie chrząknęła.

- Właściwie to trzy. Odebrałam je z poczty dopiero dzisiaj.

- Trzy! To kapitalnie, średnio jedna na tydzień, czyli całkiem nieźle! W takim tempie już za jakieś dwa lata pójdziesz ze mną na obiecaną randkę!

- Hura - odpowiedziała z udawanym entuzjazmem. - Ale pamiętaj: nie masz gwarancji, że te trzy listy znajdą się w puli wymaganych stu. Muszą zawierać autentyczne, przemyślane przykłady długotrwałego szczęścia. A ponieważ to ja jestem sędzią, mam niejasne wrażenie, że te takie nie są.

W słuchawce zapadła długa cisza.

- Oj, Sophie... Nie zamierzasz ułatwiać mi życia, co?

- Rzeczywiście, mam zamiar zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby uniknąć spotkania z tobą.

Po kolejnej chwili milczenia Garrett powiedział wreszcie:

- Więc nawet jeśli dostaniesz setkę albo i więcej odpowiedzi, i tak masz zamiar je wszystkie zdyskwalifikować - ni to spytał, ni to stwierdził.

Sophie się zaśmiała.

- Nie *wszystkie*. To nie byłoby fair. Ale tyle, żeby trzymać się w bezpiecznej odległości, owszem.

- W takim razie - odparł - wydaje mi się, że ja też powinienem mieć dostęp do tych listów. To jedyne rozsądne wyjście. Żebym wiedział, jak się sprawy mają. Jeśli mam wydawać pieniądze na przedłużanie ogłoszenia o kolejne tygodnie, muszę mieć pewność, że działasz fair.

Teraz to Sophie zastanawiała się dłuższą chwilę, co odpowiedzieć.

- Naprawdę masz zamiar nadać je opłacać? - spytała wreszcie.
- Tydzień w tydzień? To nie będzie tania rozrywka.

- Ej, to twoje zasady, Sophie. Ja tylko działam zgodnie z nimi. Tak czy inaczej, po prostu chciałbym usiąść z tobą i porozmawiać

O tym, co zrobiłem i dlaczego to zrobiłem. I jeśli dzięki tej całej hecy uda mi się to osiągnąć, jestem gotów podjąć ryzyko.

Sophie westchnęła. „Właściwie dlaczego tak bardzo wzbraniam się przed jednym spotkaniem?” - pomyślała. - „Mogłabym zamknąć w ten sposób pewien etap i ruszyć naprzód ze swoim życiem”. W głębi duszy wiedziała, że jej upór jest absurdalny

I że powinna wysłuchać, co Garrett ma jej do powiedzenia. Z drugiej strony jednak miała poczucie, że ból, który jej zadał, całkowicie usprawiedliwia jej obecne zachowanie.

- To twoje pieniądze — powiedziała wreszcie.

- Dokładnie.

- Jak to?

- To moje pieniądze, mam więc prawo wiedzieć, czy nie marnuję ich tylko i wyłącznie przez twoją złośliwość. Będę u ciebie niebawem, chcę przeczytać te trzy listy. Do zobaczenia! - pożegnał się radośnie. I rozłączył się, zanim Sophie zdołała zaprotestować.

Jak powiedział, tak zrobił: dziesięć minut później Garrett stał już w drzwiach *Chocolat' de Soph*. Miał na sobie niebieski fartuch lekarski, a na jego twarzy widniał szeroki uśmiech.

Na zapleczu Sophie właśnie zbierała w pośpiechu swoje rzeczy — liczyła, że uda jej się wymknąć ze sklepu przed jego przyjściem. W tym samym czasie Garrett zamykał za sobą drzwi. Pomachał na powitanie Randy'emu, po czym bezceremonialnie wpakował się na zaplecze i wszedł do biura Sophie.

- Już wychodzisz? Tak szybko? — spytał.

- Najwyraźniej nie dość szybko, skoro mnie tu zastałeś - odparowała Sophie, łapiąc za swój parasol.

Garrett nie przestawał się uśmiechać.

- Nie uciekaj jeszcze. Naprawdę chciałbym przeczytać listy, które dziś dostałaś.

Sophie niechętnie odłożyła parasol, po czym otworzyła górną szufladę biurka.

- Jak sobie chcesz. Proszę, weź sobie wszystkie. - Podała mu trzy koperty leżące na samej górze sterty przesyłek.

Garrett przysiadł na rogu biurka, z jedną nogą nad podłogą, i pogрузił się w lekturze. Po przeczytaniu wszystkich pobieżnie postanowił przyjrzeć się każdemu z nich jeszcze raz nieco uważniej. Jeden z listów zawierał odręczny rysunek, drugi niewielką fotografię, a trzeci był po prostu listem. Żaden nie był przesadnie długi, jednak zanim Garrett skończył czytać, minęło dobre parę minut. Wstał i zwrócił się ku Sophie.

- Moim zdaniem - zaczął - dwa z trzech to chyba całkiem niezłe na początek? Racja, zaniża to nieco moją tygodniową średnią, ale lepsze to niż nic.

Sophie prychnęła drwiąco.

- Dwa? Nie miałam zamiaru zaliczyć do puli żadnego z nich. Chichocząc, Garrett rzucił na biurko jeden z listów.

- Od razu wiedziałem, że ten ci się nie spodoba. I nawet jeśli jestem w stanie zrozumieć, że niektórzy czerpią przyjemność z polowania, to nie wydaje mi się, żeby zabijanie żywych *istot* dla sportu mogło dawać długotrwałe szczęście.

- Też mi się tak wydaje - zgodziła się. - Prawie się zakrztusiłam, kiedy zobaczyłam to zdjęcie: szczęśliwy myśliwy stojący nad zastrzelonym łosiem. Biedne zwierzę. I ten długi jęzor zwisający mu z pyska! Okropne. - Wzdrygnęła się.

- Pozostaje mi tylko przyznać ci rację - odpowiedział ze śmiechem. - Ale dlaczego odrzucasz również te dwa listy?

Skrzyżowała ręce na piersi i wstała. Od Garretta dzielił ją blat biurka.

- List od tej kobiety jest po prostu zbyt banalny. Owszem, napisała więcej od pozostałej dwójki, ale z jej listu wynika, że szczęściem jest oglądanie, jak dorastają twoje dzieci. Co nie jest prawdą.

Garrett przechylił głowę na bok.

- Jak to?

- Po pierwsze, co z ludźmi, którzy nie mają dzieci, którzy *nie mogą* mieć dzieci. Definicja szczęścia tej kobiety automatycznie by ich wykluczała. A same dzieci - cóż, to okrutne - ale są, hm, ulotne. Jeśli twoje dziecko nie osiągnie dorosłości, to znaczy, że nie widziałeś, jak dorasta. Widziałeś, jak umiera. Czy to jest szczęście? Poza tym...

- Jeszcze?

- Cicho — zganiała go. — Chcesz wiedzieć, jak wygląda mój tok rozumowania, więc ci go przedstawiam. Popatrz chociażby na moich rodziców. Według definicji tej kobiety nie byli szczęśliwi, bo nigdy nie było im dane zobaczyć, jak dorastam. Nie dożyli tego momentu.

-Twarda zawodniczka z ciebie - powiedział miękko. — A co z ostatnim listem? Od tego dziecka?

- Jak rany - w jej głosie brzmiała niemal uraza. - Rysunek kotka? Serio?

- Dla takiej małej dziewczynki kot może być przecież źródłem szczęścia.

- Garrett, mówimy o *kocie*. Który drapie meble, charczy kłakami, które w większości pochodzą z jego własnego cielska. Czy tak naprawdę wygląda według ciebie pełnia szczęścia? A sam rysunek? Gdyby go nie podpisała, mogłabym przysiąc, że to hipopotam.

Garrett uśmiechnął się półgębkiem.

- Mam przez to rozumieć, że twoje „nie” jest ostateczne? Sophie przytaknęła.

- Owszem. Czy życzy pan sobie czegoś jeszcze? Szczerze mówiąc, chciałabym już wyjść. Muszę złapać najbliższy autobus do Gig Harbor.

- Nie, to wszystko - odpowiedział z uśmiechem, również kierując się do wyjścia. - Pędź na autobus. - Zatrzymał się na chwilę, po czym zapytał: - Kiedy dokładnie będziesz odbierać pocztę w najbliższym czasie?

Spojrzała na niego z ukosa.

- W następny poniedziałek. Czemu pytasz?

Z szelmowskim uśmiechem na twarzy Garrett odwrócił się] na pięcie i wymamrotał pod nosem:

- Doskonale. Zatem do zobaczenia w poniedziałek.

Po czym pędem ulotnił się z biura, zanim Sophie zdążyła zaprotestować.

ROZDZIAŁ 20

Jeśli uważasz, że świat jest teatrem, a ty aktorem na jego scenie, to pozostaje mieć nadzieję,, że postarałeś się o dobrego dublera.

Gdzieś ty się podziewała? - chciała wiedzieć Evi, kiedy Sophie wreszcie odebrała swoją komórkę. - Wydzwaniam do ciebie od godziny, ale ciągle odzywa się ta cholerna poczta głosowa.

- Przepraszam - odpowiedziała ze skrucą Sophie. - Dopiero kilka minut temu włączyłam z powrotem swój telefon. Garrett dzwonił do mnie kilka razy, ale nie odbierałam. Miałam już dość słuchania jego dzwonka, więc postanowiłam odciąć się zupełnie. A co się dzieje?

- Uch... czyli z nim dzisiaj nie rozmawiałaś?

Sophie wyczuła zmartwienie w głosie swojej przybranej siostry.

- Nie, nie rozmawialiśmy od momentu, kiedy niezapowiedzianie pojawił się u mnie w sklepie. Dlaczego pytasz?

- Pewnie próbował się do ciebie dodzwonić z tego samego powodu co ja. Rozumiem, że nie oglądałaś dzisiaj wieczornego dziennika? - spytała Evi.

-Wiesz, że staram się unikać tych programów. Większość wiadomości tylko wpędza człowieka w depresję.

Sophie usłyszała sapanie Evi, która z trudem próbowała stłumić śmiech.

- Święta prawda. Słuchaj, jeśli jesteś w stroju, w którym nie możesz pokazać się ludziom, radzę ci się przebrać. Za dziesięć minut jestem pod twoim domem. Musisz coś zobaczyć i obawiam się, że wpędzi cię to w depresję.

- Czy stało się coś... złego? - spytała tylko.

- Nie, nie złego, po prostu... poczekaj chwilę. Justin! Ani mi się waży zmieniać kanał! Ja to nagrywam! Sophie, jesteś jeszcze?

-Aha.

-Więc tak jak mówiłam, to nie jest nic złego, ale coś, co musisz zobaczyć na własne oczy. Okej? Zaraz u ciebie będę. Sophie westchnęła ciężko.

- Nie mogę się doczekać — wymamrotała.

Nie minęło nawet dziesięć minut, kiedy pod domem Sophie zatrzymał się samochód, a Evalynn zaczęła ponaglać trąbić. Po chwili były w mieszkaniu Evi. Justin wkręcał właśnie żarówkę w kuchni, ale one minęły go szybko i ruszyły do salonu, gdzie stał duży telewizor plazmowy. Obraz był zatrzymany akurat na zbliżeniu gekona z szeroko otwartą paszczą.

- Siadaj - poleciała Evalynn.

- Cześć, Sophie! - Do pokoju wszedł Justin i usadowił się od razu na jednym z foteli. — Evi powiedziała ci już, o co chodzi?

- Nic a nic. Justin aż zatarł ręce.

- Ooo, moja droga, czeka cię zatem prawdziwa uczta. My sami obejrzelśmy to już z dziesięć razy i...

- Cicho bądź - przerwała mu Evalynn. - Niech sama zobaczy, o czym mówimy.

Sophie spoglądała to na Evi, to na Justina. Ona siliła się na pogodny wyraz twarzy, on uśmiechał się łobuzersko. Nie miała pojęcia, jak rozumieć te sprzeczne sygnały, ale żołądek podpowiadał jej, że cokolwiek zobaczy za chwilę w telewizji, przyprawi ją to o mdłości.

Evalynn usadowiła się na kanapie obok Sophie i sięgnęła po pilota.

- No, to jedziemy - mruknęła sama do siebie i wcisnęła „Play”.

Gekon na ekranie zaczął się ruszać i powiedział parę słów ze śmiesznym, brytyjskim akcentem. To była ostatnia reklama, po której pojawiły się wiadomości nadawane na żywo o dziewiętnastej, a więc dwie godziny wcześniej. Kamera zrobiła zbliżenie na wymuskaną twarz prezentera.

- Witamy ponownie w głównym wydaniu wiadomości Kanału Drugiego - rozpoczął płynnie i z nienagannym uśmiechem. — Kip Waverly, dobry wieczór. — Jak na zawołanie jego twarzy przybrała teraz nieco poważniejszy, refleksyjny wyraz. -Dzisiaj w informacjach lokalnych przenosimy się do Tacomy, gdzie jest już Lori Acres. Lori?

Na sam dźwięk nazwy „Tacoma” nieprzyjemny dreszcz przebiegł Sophie po plecach. Na ekranie pojawiła się teraz elegancko ubrana, perfekcyjnie umalowana kobieta około trzydziestki. Stała przed budynkiem poczty, tym samym, który co tydzień odwiedzała Sophie. Jej blond włosy falowały lekko na wietrze.

- Witaj, Kip - zaczęła śmiertelnie poważnym tonem. -W tych trudnych ekonomicznie czasach, kiedy coraz częściej słyszymy o rosnącym bezrobociu, upadających firmach, przejmowanych nieruchomościach, łatwo czasem stracić ostrość widzenia. Zapominamy, że za rzędami cyferek, wykresów i wyliczeń są przecież ludzie. Zwyczajni ludzie, którzy żyją sobie z dnia na dzień, podążając za swoim amerykańskim snem o szczęściu. -Pani Acres zrobiła dramatyczną pauzę i zacisnęła usta. Po chwili kontynuowała: - Co jednak, jeśli to marzenie wydaje się niemożliwe do spełnienia? Kiedy pogoń za szczęściem zdaje się nie mieć końca? Niektórzy z nas znajdują oparcie w rodzinie i przyjaciółkach. Inni zwracają się ku religii i przewodnikom duchowym.

Jednak ilu z nas znalazłoby w sobie tyle odwagi, by zwrócić się o pomoc do całego społeczeństwa? Prawdopodobnie niewielu... A jednak jest w Seattle osoba, która liczy na naszą pomoc.

Sophie wbiła paznokcie w kanapę na widok egzemplarza „Seattle Timesa”, który właśnie pokazywała dziennikarka.

- Informację o jakże intrygującym ogłoszeniu otrzymaliśmy od jednego z naszych wiernych widzów. Drodzy państwo, spieszę donieść dziś o dramatycznym wołaniu o pomoc, adresowanym do każdego z nas.

- Przepraszam, Lori - wtrącił Kip Waverly. - Ale czy powiedziałaś „ogłoszenie”?

- Dokładnie tak, Kip! Od kilku tygodni w dziale ogłoszeń drobnych „Seattle Timesa” ukazuje się taki oto apel, krótki, ale przejmujący. - Śmiertelnie poważna Lori uniosła gazetę tak, żeby przypadkiem nie zasłaniała jej twarzy, po czym odczytała ogłoszenie: powoli, akcentując każde słowo i modulując głos tak, żeby całość brzmiała jak najdramatyczniej. - „Poszukiwane: szczęście. Proszę, pomóż mi odnaleźć to, co utraciłam. Sugestie przyjmuję na adres skrytki pocztowej: PO box 11297 TACOMA, WA 98411. Proszę tylko o trwałe szczęście. Nic ulotnego”.

- Niesamowite - jęknął Kip. - Nigdy bym nie pomyślał, żeby w poszukiwaniu szczęścia posunąć się do zamieszczania ogłoszeń w gazecie. Wygląda jednak na to, że jeśli naprawdę potrzebujesz pomocy, chwytasz się wszelkich środków.

- Święte słowa, Kip. Stoję właśnie przed budynkiem poczty, w którym znajduje się skrytka pocztowa naszego anonimowego ogłoszeniodawcy. Skrytka ta, miejmy nadzieję, zapełni się niebawem odpowiedziami — od nas wszystkich! - które zapewnią mu wsparcie w tych trudnych chwilach. Jeśli chcecie napisać list do autora ogłoszenia, potrzebne dane znajdziecie na naszej stronie internetowej, której adres widzicie na dole ekranu. Musimy działać razem! Udowodnijmy, że świat nadal pełen jest ludzi,

którzy nie ustają w poszukiwaniu szczęścia! Na żywo z Tacomy mówiła dla państwa Lori Acres. Oddaję głos do studia.

- Dziękuję, Lori - odparł Kip. Pokiwał w zamyśleniu głową, po czym wpił poważne spojrzenie w obiektyw kamery. - Drogi bezimienny autorze tego jakże niezwykłego ogłoszenia, jeśli nas oglądasz, pozwól, że od siebie dodam tylko: jesteś w naszych myślach i wszyscy mamy nadzieję, że odnajdziesz to, czego poszukujesz. — Po kolejnej pauzie zachowanie Kipa zmieniło się w ułamku sekundy. Nagle znowu uśmiechał się szeroko, ukazując idealnie proste i białe zęby. - A w dalszej części informacji lokalnych: drużyna Seattle Supersonics...

Evi wyłączyła telewizor. Sophie, oszołomiona, siedziała dalej bez ruchu i wpatrywała się w czarny ekran.

- „Jest w Seattle osoba, która liczy na naszą pomoc”? - spytała wreszcie z lekkim niedowierzaniem. — „Udowodnijmy, że świat nadal pełen jest ludzi, którzy nie ustają w poszukiwaniu szczęścia”? I to są główne wiadomości? Wietrzą sensację tam, gdzie jej nie ma.

- Było nie było, właśnie za to im płacą - wtrącił Justin. Sophie zignorowała go zupełnie.

- Nie wiem, czy śmiać się, czy płakać — westchnęła.

- Mieliśmy ten sam problem - przyznała Evalynn. - Justin postanowił się śmiać. Ja ciągle jeszcze nie zdecydowałam.

Sophie zerwała się i z zaciśniętymi ustami zaczęła krążyć po pokoju.

- Wiecie co? Nie chodzi o to, że jest mi smutno. Jestem zwyczajnie wściekła! „Informację otrzymaliśmy od jednego z naszych wiernych widzów”, tak powiedziała ta reporterka. Nie mam wątpliwości, kim był ów życzliwy.

- Myślisz, że Garrett to zrobił? - spytała Evi.

- Oczywiście, że on! Co za bezczelny, mały... nie daruję mu tego! Powiedziałam mu, że może zamieścić ogłoszenie tylko

w „Seattle Timesie”, a ten cwaniak znalazł sposób, żeby obejść tę zasadę.

Justin zachichotał.

- W sumie to całkiem sprytne zagranie. Evalynn rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie. „Trzymaj się od tego z daleka” — zdawała się mówić.

- Tak tylko mówię — wymamrotał i zamilkł posłusznie, kiedy Evi posłała mu kolejne niewerbalne ostrzeżenie. Sophie włączyła z powrotem swój telefon. Zobaczyła dziesięć nieodebranych połączeń i sześć nowych wiadomości. Nie odsłuchiwała żadnej z nich. Zamiast tego od razu wybrała numer Garretta.

Odebrał tuż po pierwszym sygnale.

- Dostałaś moje wiadomości? — spytał, a w jego głosie pobrzmiwała panika.

- Jak mogłeś mi to zrobić? - wrzasnęła i nie czekając na odpowiedź, rozpoczęła swoją tyradę: - Co z tego, że nikt nie wie, że to ja? Nie zmienia to faktu, że jest to absolutnie upokarzające! Ta kobieta z wiadomości mówiła o tym ogłoszeniu w taki sposób, jakby to było dzieło jakiegoś szaleńca, który jest o krok od palnięcia sobie w łeb! Nie do wiary. Ze wszystkich obrzydliwych rzeczy, które mi zrobiłeś, ta jest chyba najgorsza!

- Sophie! - Garrett podniósł głos, próbując ją przekrzyczeć. - Zanim wygłosisz pod moim adresem kolejne oskarżenia, odsłuchaj wiadomości, które zostawiłem na twojej poczcie głosowej! Jestem tym wszystkim tak samo zaskoczony. Próbowałem się do ciebie dodzwonić, kiedy tylko obejrzałem ten materiał, bezskutecznie.

- Ignorowałam cię... I jak widać, dobrze robiłam. Przysparzasz mi tylko kłopotów.

- Bałem się właśnie, że pomyślisz, że to moja sprawka, dlatego chciałem skontaktować się z tobą jak najszybciej.

Ale Sophie nie słuchała go zupełnie, albo słuchała, ale nie wierzyła w ani jedno jego słowo.

- A co, jeśli ludzie dowiedzą się, że to ja? Co, jeśli w kolejnej części poruszającego reportażu na ekranie pojawi się moja twarz? Co wtedy? Pomyślałeś o tym, zanim poleciałeś z tą historią do telewizji? A może powiem im, że tak naprawdę to *ty* zamieściłeś to ogłoszenie? Myślisz, że twoi pacjenci ucieszyliby się na wieść, że ich lekarz jest, według Lori Acres, najszczęśliwszym człowiekiem na świecie?

- Ona wcale tak nie powiedziała - zaprotestował.

- Nie wprost! Ale równie dobrze by mogła! Garrett, co będzie, jeśli skojarzą mnie z tym ogłoszeniem? " -

Odczekał chwilę, zanim odpowiedział:

- Może... przysporzy ci to klientów? - zasugerował.

- Uch. jesteś niemożliwy.

- Przecież żartuję. Sophie, nikt nie zorientuje się, że którekolwiek z nas ma z tym coś wspólnego. A ja zadzwoniłem już do gazety i anulowałem ogłoszenie. Dałem im też do zrozumienia, że jeśli tożsamość osoby, która je zamieściła, w jakikolwiek sposób przecieknie do mediów, będą mieli na głowie bardzo nieprzyjemny pozew.

Sophie w dalszym ciągu chodziła tam i z powrotem po salonie Evalynn i Justina. Oddychała powoli, żeby się uspokoić i wyciszyć.

- Po prostu... nie wierzę po prostu, że to zrobiłeś. W tym momencie nasza umowa zostaje zerwana. Nie będzie żadnego spotkania. Nie po tym wszystkim.

Kiedy Garrett odezwał się ponownie, jego głos był o wiele cichszy, zupełnie jakby liczył na to, że dzięki zmianie tonu uda mu się lepiej skupić jej uwagę.

- Sophie - zaczął miękko. - Będę to powtarzał tak często, jak to będzie konieczne, żebyś zrozumiała: *nie miałem z tym nic wspólnego*. Szczerze mówiąc, byłby to bardzo sprytny ruch z mojej strony. Nieuczciwy, ale sprytny. Ale przysięgam ci, że to nie byłem ja. Wiesz, naprawdę są na świecie ludzie, którzy

czytają gazety. Jest ich nawet całkiem sporo. I ktoś z nich mógł wychwycić nasze ogłoszenie i podzielić się nim z mediami. Ale, powtarzam: nie ja to zrobiłem.

Sophie poczuła, że kręci jej się w głowie. Z jednej strony bardzo chciała, żeby to on był „tym złym”, którego mogłaby o wszystko obwinać. Chciała mieć kolejny powód, żeby nienawidzić go za to wszystko, co jej zrobił. Ale z drugiej strony słuchając go, z każdą chwilą nabierała przekonania, że mówi prawdę. Mimo to, kiedy wreszcie skończył mówić, milczała.

- Sophie, jesteś tam?

- Tak - wymamrotała wreszcie.

- Wierzysz mi?

- A powinnam?

- Tak, bo taka jest prawda.

- Ale ja wcale nie chcę ci wierzyć — odpowiedziała szczerze.

- I...?

- Jeszcze się zastanawiam.

- A nasza umowa? Nadal aktualna?

- Niech będzie - zgodziła się niechętnie. - Ale tylko dlatego, że ja, w przeciwieństwie do niektórych, dotrzymuję obietnic.

- Auć. Zabolało trochę.

- Cholera, a miało zboleć bardzo - odparowała i poczuła, że rozluźniła się po raz pierwszy od momentu, w którym Lori Acres otworzyła swoją malowaną buzię.

- No nic, dzięki za telefon. Lubię słuchać twojego głosu, nawet kiedy na mnie wrzeszczysz.

Sophie żałowała, że Garrett nie może zobaczyć, jak przewraca oczami.

— Dobranoc, Garrett.

- Dobranoc, Sophie.

ROZDZIAŁ 21

Zmuś się do zrobienia czegoś, czego zazwyczaj byś nie zrobił, bo to, co robisz zazwyczaj, najwyraźniej nie działa.

Kiedy ostatnio surfowałaś po sieci?

SMS od Garretta przyszedł na komórkę Sophie w niedzielę wieczorem, kiedy szykowała się już do snu. Od ich rozmowy telefonicznej po pamiętnym wydaniu telewizyjnych wiadomości Kanału Drugiego minęły cztery dni.

Sophie wsunęła się pod kołdrę i wpatrywała w milczeniu w krótki tekst na ekranie telefonu. Ostatecznie uznała, że nie ma ochoty na SMS-owe pogaduszki. W każdym razie - nie z Garrettem. W chwili gdy odkładała komórkę na szafkę nocną, ponownie rozległ się sygnał przychodzącej wiadomości. Poirytowana Sophie szybkim ruchem podniosła klapkę telefonu, żeby sprawdzić, o co chodzi. *Zrobił sie z tego viral!*

Ta dziwna wiadomość zaintrygowała ją w takim stopniu, że zdecydowała się odpowiedzieć. *Z czego?* — napisała krótko.

Nasze ogłoszenie! Jest wszędzie!

Poczuła, że oblewa ją zimny pot.

Chyba żartujesz!

Niestety nie. Włącz komputer, przesłałem Ci właśnie kilka linków. Aaaaa...

Sophie zatrzasnęła klapkę telefonu i jak oparzona wyskoczyła z łóżka. Popędziła na dół, do komputera. Jej konto pocztowe

zapchane było spamem, szybko jednak wyłuskała wiadomość, której szukała. Temat e-maila od Garretta brzmiał: „O-o... tylko mnie za to nie obwiniaj!”. W treści było wklejone tylko kilka linków. Pierwszy z nich odsyłał do filmiku na YouTube: dramatyczna relacja Lori Acres obejrzana została przez niemal pół miliona ludzi na całym świecie. Inne media również błyskawicznie podchwyciły tę historię — co najmniej dwanaście innych stacji telewizyjnych przygotowało własny materiał o ogłoszeniu. Wszystkie również trafiły na YouTube, przy czym z każdego wynikało, że to właśnie oni pierwsi odkryli ogłoszenie, które jeden z nadmiernie egzaltowanych prezenterów określił jako „epicko smutne, heroicznie nieszczęśliwe, tajemnicze ogłoszenie z miasteczka Tacoma w stanie Waszyngton, które chwyciło nas za serca i skłoniło do refleksji nad tym, czym właściwie jest szczęście, gdzie je znaleźć, a przede wszystkim, jak zatrzymać je na dłużej”.

— To jakiś ponury żart — jęknęła na głos Sophie. — Po prostu czysty absurd.

Oniemiała, gdy adres jej skrytki pocztowej pojawił się na ekranie, wraz z komentarzem zachęcającym widzów do wysyłania odpowiedzi. Pozostałe linki z e-maila Garretta kierowały na Facebooka, Twittera, MySpace i najróżniejsze czaty. Na jednej ze stron grupa o nazwie Klub Pomocnych Dłoni zebrała wśród swoich członków wystarczająco dużo pieniędzy, aby ogłoszenie Sophie i Garretta mogło się ukazywać przez całe cztery tygodnie w dwudziestu największych gazetach ogólnokrajowych.

Po półtorej godzinie przedzierania się przez kolejne strony internetowe, z których każda odsyłała ją do następnych dziesięciu, Sophie wreszcie się poddała i wyłączyła komputer. Głowa pękała jej od zbyt długiego wpatrywania się w monitor. Powoli weszła po schodach na górę i wśliznęła się z powrotem do łóżka; udało jej się zasnąć dopiero po godzinie. Kiedy tak leżała

z szeroko otwartymi oczami, po głowie kołatała jej się jedna tylko myśl: „Dlaczego po prostu nie zgodziłam się na jedno głupie spotkanie?”.

Następnego dnia, kiedy tylko Randy przekroczył próg Chocolat' de Soph, Sophie chwyciła parasol, torebkę i jedno Złowróźbne Ciasteczko i rozpoczęła swój cotygodniowy spacer pod górę, na pocztę. Po drodze zastanawiała się, czy rzeczywiście znajdzie dziś w skrytce więcej odpowiedzi na ogłoszenie.

Jim czekał na swoim stanowisku przed pocztą, trzymał w ręku wyświechtaną tabliczkę z prośbą o drobne. Wyczuł chyba, że Sophie myślami błądzi zupełnie gdzie indziej, i kiedy wręczyła mu ciasteczko, ograniczył swoje komentarze do minimum. Jak zawsze jednak podziękował jej za uprzejmość i odczytał na głos swoją wróżbę.

— A niech mnie! - zakrzyknął, a kąciki jego popękanych ust uniosły się w uśmiechu. - Według dzisiejszej wróżby moje piętnaście minut sławy zostanie zredukowane do pięciu. — Mrugnął do Sophie. - To całe pięć minut więcej, niżbym się spodziewał. Dzięki wielkie, panno Sophie.

Godziny urzędowania poczty dawno minęły, dla klientów była więc dostępna już tylko część holu, w której mieściły się skrytki pocztowe, zajmujące całe dwie przeciwległe ściany. Jak zwykle po holu kręciło się kilka osób, które odbierały swoje przesyłki w drodze z pracy, tak jak Sophie. Kiedy tylko przekręciła kluczyk w zamku skrytki numer 11297, atmosfera wokół niespodziewanie uległa zmianie. Zewsząd zaczęły dobiegać szepty, w szczególności zaś od niewielkiej grupki stłoczonej pod ścianą naprzeciwko. Początkowo Sophie próbowała uspokajać samą siebie, że cały ten narastający gwar nie ma z nią absolutnie nic Wspólnego. Nie mogła ich jednak dłużej ignorować, kiedy jedna z osób syknęła nieco zbyt głośno:

- Szybko! Dawajcie tu kamery, póki jeszcze ma otwartą skrytkę!

Sophie zamarła na dźwięk tych słów. Momentalnie zrozumiała, że całe zamieszanie *dotyczyło* „tajemniczego ogłoszeniodawcy”, który najwyraźniej właśnie został zdemaskowany. Była przekonana, że tak błaha historyjka zostanie szybko zapomniana, jednak liczba stron internetowych i filmików powinna była dać jej do myślenia.

Była jak sparaliżowana. Miała wrażenie, że jedyną poruszającą się częścią jej ciała jest serce, które waliło teraz jak oszalałe, jakby miało zaraz wyskoczyć z piersi. Była w pułapce i doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Stała tak bez ruchu przez chwilę, która wydała jej się wiecznością, podczas gdy hałas wokół niej narastał i narastał, aż wreszcie Sophie pogodziła się z myślą, że prędzej czy później będzie musiała się odwrócić. Wzięła głęboki oddech, wyprostowała się dumnie i wyciągnęła ze swojej skrytki jeden żółty świstek, zamknęła drzwiczki, po czym odwróciła się jak najspokojniej.

Oślepiające flesze zaatakowały ją z każdej strony. W jednej sekundzie otoczyła ją chmara ludzi, najpewniej reporterów, z których każdy podtykał jej pod nos mikrofon albo dyktafon, z desperacką nadzieją nagrania wypowiedzi stojącej przed nimi „heroicznie nieszczęśliwej” kobiety.

- Czy może nam pani powiedzieć, co skłoniło panią do zamieszczenia tego ogłoszenia? — spytała zgrabna blondynka, którą Sophie szybko zidentyfikowała jako Lori Acres.

- Nie wydaje się pani przesadnie przygnębiona - skomentował ktoś inny.

- Czy to jakiś nietypowy chwyt reklamowy?

Potem temperatura tylko rosła. Szybko stało się oczywiste, że każdy miał inny pomysł na opowiedzenie całej *historii* i z góry przyjętą perspektywę i że każdy liczył na jakieś kontrowersyjne

szczegóły. W narastającym chaosie Sophie przestała się orientować, kto co właściwie mówi. Kolejne pytania spadały na nią niczym grad.

Jak się pani nazywa? Jak długo jeszcze będzie się ukazywać pani ogłoszenie? Ile odpowiedzi otrzymała pani dotychczas? Czy robi pani to wszystko po to, żeby wzbudzić zainteresowanie, czy rzeczywiście liczy pani na znalezienie szczęścia za pośrednictwem ogłoszenia? Jaki rodzaj szczęścia pani zdaniem nie jest ulotny? Czy bierze pani jakieś leki? Czy są to antydepresanty?

Sophie czuła się zbyt zażenowana, aby odpowiedzieć chociaż słowem, stała więc tylko i rozglądała się po twarzach zgromadzonych wokół ludzi, mrugając od czasu do czasu, kiedy flesz migał jej po oczach. Pomyślała nawet, że powinna uśmiechać się do zdjęć, lecz nie mogła poruszyć ani jednym mięśniem twarzy. Po dłuższej chwili po policzku popłynęła jej niewielka łza. Ciepło i wilgoć, które poczuła na twarzy, sprawiły, że wszelkie emocjonalne blokady zaczęły słabnąć i Sophie zrozumiała, że za chwilę tama pęknie. Była o krok od wybuchnięcia płaczem przed tymi wszystkimi ludźmi. Na samą myśl o tym robiło jej się niedobrze, nie wspominając już o myśli, że tysiące innych osób będą to potem oglądać w gazetach i telewizji. Ale czuła, że nie potrafi dłużej powstrzymać łez.

Dopadła ją potężna fala rozpacz. Była przekonana, że sekundy dzielą ją od fontanny tryskającej jej z oczu, kiedy nagle gdzieś zza całego tłumu dobiegł ją donośny głos.

— Czego wy, do cholery, od niej chcecie?!

Niemal natychmiast zapadła absolutna cisza. "Wszyscy jak jeden mąż odwrócili się w poszukiwaniu źródła krzyku.

- To mnie szukacie! - ryknął ponownie. - Zostawcie ją w spokoju, albo, jak mi Bóg miły, rozłóżę was wszystkich na łopatki, po kolei, co do jednego!

Ludzie wymieniali między sobą zdezorientowane spojrzenia, nikt jednak nie był bardziej zaskoczony od samej Sophie.

Ku jej bezbrzeżnemu niedowierzaniu w drzwiach poczty stał Jim, z dumnie uniesioną głową.

Lori Acres w dalszym ciągu była najbliżej Sophie. Szybko zwróciła się w stronę swojej pierwotnej ofiary i zapytała, o czym właściwie ten człowiek mówi.

„Dobre pytanie” - pomyślała Sophie.

- Niech pani spyta jego samego.

Jim usłyszał tę wymianę zdań i momentalnie przepchał się przez tłum, żeby dotrzeć do Sophie. Stał obok niej, wyciągnął wytarty portfel i wyjął z niego pognieciony banknot dwudziestodolarowy. Upewniwszy się, że wszyscy widzą, co robi, i słyszą, co mówi, Jim wręczył pieniądze Sophie ze słowami:

- Proszę bardzo, panienko. Jak obiecałem, dwadzieścia dolców za przysługę. I przepraszam, że przeze mnie znalazła się pani w centrum tego zamieszania.

Wręczając jej pieniądze, na sekundę odwrócił się tyłem do tłumu i wyszeptał dyskretnie:

— Widzisz? To moje pięć minut sławy! — I mrugnął łobuzersko.

— Yyy... tak... dziękuję — odpowiedziała, sama nie wiedząc, czy mówi to do Jima, czy do zgromadzonych reporterów. -To przecież żaden kłopot, no, może oprócz tego, że zostałam napadnięta przed tłum obcych ludzi. Ale przecież chciałam tylko panu pomóc. Nie musi mi pan płacić — nalegała. Wcisnęła mu do ręki banknot i jak najszybciej uciekła spod obstrzału kamer. Zajęła bezpieczniejszą pozycję na tyłach zgromadzonego tłumu. Pilnowała się, żeby nie spojrzeć nikomu w oczy, w obawie, że ktoś przejrzy jej blef. Wiedziała, że najrozsądniej byłoby właśnie teraz wyjść z poczty, bez oglądania się za siebie. Ciekawość jednak okazała się silniejsza niż obawa przed zdemaskowaniem. Musiała zobaczyć, co też Jim ma do powiedzenia fotoreporterom.

Jim odchrząknął, zwilżył wargi, a następnie zwrócił się do publiki z zaskakującą pewnością siebie. Przemawiał składnie

i swobodnie, mimo że przecież wszystko, co mówił, było stekiem bzdur. Sophie pomyślała, że gdyby ubrać Jima w garnitur, ogolić i zafundować mu dobrego dentystę, byłby z niego całkiem dobry polityk - o ile oczywiście przymiotnik „dobry” mógł odnosić się do jakiegokolwiek polityka.

— Po pierwsze — zaczął. — pozwólcie, że odpowiem na pytanie, które z pewnością was nurtuje. Czy ten facet jest bezdomny? - Kilka osób parsknęło śmiechem, ale Jim nie wydawał się tym urażony. - Odpowiedź brzmi: tak. Mieszkam na ulicy. Nie mam łatwego życia. Jestem samotny. I mam mnóstwo czasu na rozmyślania.

— I mamy uwierzyć, że bezdomny postanowił zamieścić ogłoszenie w gazecie? — krzyknął ktoś sceptycznie, a parę innych osób mu zawtórowało. Jim ze stoickim spokojem uniósł ręce w uspokajającym geście.

— Jeśli pozwolicie mi mówić, zaraz wszystko wyjaśnię. A to, czy mi uwierzycie, czy też nie... to będzie już tylko wasz problem. Powiem wam tylko to, co wiem, a wy zrobicie z tym, co tylko będziecie chcieli. Któregoś dnia mniej więcej rok temu podeszły do mnie mała dziewczynka i jej mama i dały mi pięć dolców. Zanim odeszły, mała spytała mnie, czy jestem szczęśliwy, wiodąc takie, a nie inne życie. Skłoniło mnie to do głębszej refleksji. Czy jestem szczęśliwy? Czym tak naprawdę jest szczęście? Codziennie widzę ludzi w luksusowych samochodach, którymi jadą do swoich wielkich, ciepłych domów. Czy ci ludzie naprawdę są szczęśliwsi niż ja? Nie wiem. Ale chciałbym się tego dowiedzieć. Ponieważ, jak się domyślacie, nie opływam w gotówkę, zbieranie potrzebnej kwoty zajęło mi trochę czasu. Ale udało mi się, bo bardzo mi na tym zależało. I tak oto, miesiąc temu, okazało się, że mam wystarczająco dużo pieniędzy, żeby wykupić sobie skrytkę pocztową i trzytygodniowe ogłoszenie w gazecie. Chciałem dowiedzieć się, co dla was jest szczęściem. Jeśli o mnie

chodzi, cóż, wszystko, co kiedykolwiek dawało mi szczęście, tra-
ciłem, prędzej czy później. Moją pracę. Dom. Oszczędności. Byłem
ogromnie ciekaw, co wy, ludzie, którym się w życiu udało, tak
naprawdę wiecie o szczęściu. W końcu ktoś chyba musi wiedzieć, czy
istnieje prawdziwe szczęście, prawda? - Zrobił krótką pauzę i rozejrzył
się po zgromadzonych. - I oto cała historia -dodał na zakończenie.

Nastąpił moment ciszy, po czym jeden z reporterów spytał:

- Skoro to pańska skrytka pocztowa, dlaczego wysłał pan tę kobietę,
żeby ją za pana otworzyła?

Jim gładził w zamyśleniu swoją długą brodę.

- Myślicie, że nie czytam gazet? Ba, śpię na nich przecież co noc!
Widziałem w ostatnich dniach te wszystkie artykuły. Martwiłem się, że
media zaczną węszyć, że będą chciały dowiedzieć się, kto za tym
wszystkim stoi. Kiedy spostrzegłem, że kręci się tutaj więcej osób niż
zazwyczaj, poprosiłem tę panią o pomoc. Nieraz już okazywała mi
życzliwość i wiem, że jest dobrą, pomocną osobą. Zgodziła się przyjść
tutaj zamiast mnie. Oczywiście, nie spodziewałem się, że wpadnie w
sam środek takiego zamieszania. - Spojrzał prosto w oczy Sophie. -
Kochaniutka, jeszcze raz przepraszam za te niedogodności.

Sophie machnęła ręką, dając do zrozumienia, że nic strasznego się nie
stało. W dalszym ciągu martwiła się, że ktoś spyta, dlaczego to ona
wciąż trzyma kluczyk od skrytki albo dlaczego nie oddała mu tej jednej
przesyłki, która tam przecież była. Nikt jednak nie zwrócił na to uwagi.
Najwyraźniej byli zbyt podekscytowani odkryciem „prawdy”, żeby
zawracać sobie głowę tego rodzaju drobiazgami.

Kiedy Jim spytał, czy są jeszcze jakieś pytania, od razu zrobiło się
gwarno. „Od jak dawna mieszka pan na ulicy?”, „Ile lat, pana zdaniem,
mogła mieć ta urocza mała dziewczynka, której słowa skłoniły pana do
poszukiwania szczęścia i podróży w głąb siebie?”

Sophie wiedziała, że to najlepszy moment, aby niepostrzeżenie się ulotnić. Nie wzbudzając niczyjego zainteresowania, wymknęła się z budynku. Kiedy znalazła się już w bezpiecznej odległości, wyjęła z torebki żółtą kartkę, jedyną zdobycz ze skrytki. Jak się okazało, było to powiadomienie od naczelnika poczty, że ilość otrzymanych ostatnio przesyłek wielokrotnie przekroczyła rozmiary skrzynki i w związku z tym Sophie będzie zmuszona odebrać je osobiście w godzinach urzędowania poczty. Nie chciała, aby ktokolwiek ją rozpoznał, postanowiła więc przekierować całą korespondencję gdzie indziej. W tej chwili odczuwała taką ulgę, że może swobodnie i anonimowo poruszać się po ulicy, że zupełnie nie przejmowała się tym, że niebawem zaleje ją fala odpowiedzi na ogłoszenie.

Cztery godziny *później*, *usadowiona* między Evalynn i Justinem, Sophie na przemian to parskała śmiechem, to z trudem powstrzymywała płacz, kiedy we trójkę po raz kolejny oglądali „sensacyjną historię” w wiadomościach o dziesiątej. Była to inspirująca historia o bezdomnym mężczyźnie z Tacomy, którego skromny apel w formie gazetowego ogłoszenia, jak wyjaśniła Lori Acres, „chwycił za serca rzesze ludzi i skłonił do uważniejszej refleksji nad tym, co naprawdę liczy się w życiu. Niczym pomocna dłoń duchowego mentora zachęcił ich do poszukiwania szczęścia, gdziekolwiek by się ono znajdowało. Kip, oddaję głos do studia”.

ROZDZIAŁ 22

*Kiedy mówisz szczerze i otwarcie, ludzie naprawdę słuchają.
Nie wierzą ci, ale przynajmniej zwracają na Ciebie uwagę.*

Minęło kilka dni, zanim wreszcie uwzględniono prośbę Sophie o przesłanie całej korespondencji bezpośrednio do Chocolat' de Soph. Było to niemal dwa tygodnie od momentu, w którym odebrała pierwsze trzy listy. Biorąc pod uwagę dotychczasowe zainteresowanie mediów, Sophie spodziewała się, że następna porcja listów może okazać się nieco większa. Nie miała jednak pojęcia, jak bardzo.

Listonosz, który przyjechał przed sklep w sobotę po południu, najpierw wszedł do środka z pustymi rękami, żeby zapytać, czy jest jakieś specjalne miejsce, w którym ma położyć przesyłki.

- Proszę po prostu zostawić je tutaj na ladzie - poprosiła. -Przejrzę je później.

Listonosz się zaśmiał.

- Obawiam się, że nie da rady. Jest jakieś inne miejsce, gdzie mógłbym je zostawić?

- Tak tego dużo? Znowu zachichotał.

- Ma pani może jakieś wolne pomieszczenie na zapleczu? Mam wózek na kółkach, chyba uda mi się tam wjechać?

- Tak, yyy, jasne. Na zaplecze.

Mężczyzna kiwnął głową i wyszedł na zewnątrz, żeby otworzyć tylne drzwi furgonetki. Sophie patrzyła z niedowierzaniem na cztery plastikowe skrzynki, wypełnione po brzegi. Listonosz ustawił je jedna na drugiej na wózku i z trudem przepchnął przez drzwi do sklepu.

- Jasny gwint — wycedziła powoli Sophie, patrząc, jak wózek toczy się w kierunku zaplecza. - Przeczytanie tego zajmie przecież wiele dni, jeśli nie tygodni.

Listonosz znowu nie mógł powstrzymać śmiechu.

- Ale ja wcale nie skończyłem - oznajmił. Ustawił skrzynki pod ścianą, tuż przy wejściu do biura, po czym wrócił do swojego samochodu i wyciągnął stamtąd jeszcze dwa razy tyle przesyłek. Za czwartym, ostatnim razem, przyniósł duże pudło wypełnione paczkami o niestandardowych wymiarach, które nie zmieściłyby się w skrzynkach.

-To już ostatnia partia - powiedział z ulgą. - Powodzenia pani życzę.

Kiwnęła bezmyślnie głową. Nie odrywała wzroku od piętrzącej się przed nią sterty listów. Listonosz uznał, że sam trafi do wyjścia, i wycofał się dyskretnie. Sophie nawet nie drgnęła.

Kilka minut później usłyszała dzwoneczek przy frontowych drzwiach, a zaraz potem znajomo brzmiący chód Randyego. Aż przystanął, kiedy znalazł się za ścianą oddzielającą sklep od kuchni.

- O ja cię! - zawołał. — To jest... o rany. To się nazywa korespondencja.

Sophie nerwowo przeczesła włosy palcami.

- Co ty powiesz? Przecież w życiu nie dam rady przeczytać tego wszystkiego!

- Musisz być jak sęp, krążący wokół gnijącego mięsa zdechłego słonia. Kawałek po kawałku.

Sophie odwróciła się gwałtownie w stronę swojego jakże oryginalnego pracownika.

— Bardzo dziękuję za tę obrazową i nieco tylko przerażającą wizję.

— Nie ma sprawy - kiwnął głową. - Oczywiście, należy pamiętać, że niektóre sępy chętnie dzielą się padliną ze swoim stadem, jeśli tylko jest jej wystarczająco dużo dla wszystkich. Wiem z Discovery.

Ponownie zmierzyła go wzrokiem.

— Czy w ten pokrętny sposób proponujesz mi pomoc w rozprawieniu się z tą zgniłą stertą listów?

Randy wzruszył ramionami.

— Jeśli potrzebujesz pomocy, zrobię, co tylko mogę. Sophie podeszła do najbliższej skrzynki i zanurzyła ręce

w odmętach papieru. Wyciągnęła garść listów i pozwoliła im opadać, jakby przesypywała piasek między palcami.

— Wiesz co? Chyba skorzystam z twojej oferty. Najpierw zajmijmy się porządkami i słodyczami na jutro, a potem zajmiemy się tym koszmarem. Może nawet uda mi się wydzwonić parę ptaszków, które dołączą do naszego stada.

Randy przez chwilę analizował jej słowa, obrzucając długim spojrzeniem absurdalnie wielką górę listów.

— Masz rację, przyda nam się pomoc - powiedział tylko, po czym obrócił się na pięcie i ruszył do sali sklepowej. Sophie z kolei usiadła w swoim gabinecie i zadzwoniła do Evalynn i Ellen, żeby spytać, czy nie pomogłyby w sortowaniu poczty. Obydwie nie tylko miały dla niej czas, ale były wyraźnie podekscytowane nietypowym zadaniem, w szczególności Ellen, która marzyła o tym, żeby poznać treść listów, ale, jak stwierdziła, nie chciała być wścibska.

Podczas gdy Sophie była zajęta na zapleczu sypaniem orzeszków na jabłka karmelowe i mieszaniem kremu do pralinek, Randy

przeliczał gotówkę z kasy w ramach inwentaryzacji na koniec dnia. Stracił rachubę, kiedy rozdzwonił się telefon.

- Chocolat' de Soph, Randy z tej strony.

Dokładnie w tym momencie zza rogu wychynęła Sophie.

- Jeśli to Garrett — wyszeptała nerwowo — powiedz mu, że nie mogę podejść do telefonu. Nie chcę z nim rozmawiać. -Garrett od dwóch dni zostawiał jej wiadomości na poczcie głosowej. Chciał wiedzieć, czy przyszły jakieś nowe listy. Do tej pory udawało jej się unikać bezpośredniego kontaktu. ;

Randy zasłonił słuchawkę ręką.

- To on — syknął. — Co mam mu powiedzieć?

- Cokolwiek! Wszystko jedno, wymyśl coś.

Randy odchrząknął i przyłożył słuchawkę z powrotem do ucha. ? :

- No cześć, Garrett, przepraszam, stary, nie dosłyszałem, co mówiłeś.

Sophie obserwowała go z zainteresowaniem: próbowała odczytać z jego twarzy, co dzieje się na drugim końcu linii. Randy kiwnął dwa razy głową. Przemówił wreszcie po kilku dłuższych chwilach:

-Jasne, stary, kumam. Tylko że, wiesz, ona nie może teraz za bardzo rozmawiać, bo, ten, bo jest kompletnie zawałona tymi wszystkimi odpowiedziami na ogłoszenie. Więc, no, niestety, nie może podejść. Przykro mi, stary.

- Nie! - wrzasnęła Sophie, nie zważając na to, że Garrett najprawdopodobniej ją usłyszał. - Wszystko, tylko nie to!

Randy uniósł brwi, zaskoczony jej gwałtowną reakcją, nie mógł jednak odpowiedzieć jej od razu, bo najwyraźniej Garrett znowu coś mówił.

- Okej, dobra - odpowiedział mu po paru sekundach. -Jasne, powtórzę. Na razie, stary. - Odłożył słuchawkę. Nie odezwał się od razu, ale wcale nie musiał. Sophie wystarczył wyraz jego twarzy.

- Jedzie tutaj, prawda? — ni to spytała, ni to stwierdziła Sophie. Randy tylko przytaknął.

Zwiesiła ramiona, zrezygnowana. Nie dość, że będzie musiała spędzić cały wieczór na przekopywaniu się przez sterty poczty od zupełnie obcych ludzi, to jeszcze towarzyszyć jej będzie Gar-rett. Będzie krążył wokół i pilnował, żeby zaakceptowała co najmniej sto odpowiedzi, gwarantujących mu randkę. Wszystko to brzmiało jak okrutna i wyrefinowana kara. Nie wiedziała tylko, czym sobie na nią zasłużyła. Westchnęła ciężko.

-Wiesz może, co robią sępy, kiedy ich stado okazuje się za duże? - spytała Randyego. Pokręcił przecząco głową. -Trudno. Ale jestem pewna, że nic przyjemnego.

Przygnębiona wróciła do pracy. Coś jej mówiło, że to będzie bardzo długa noc.

- Hop, hop! - zawołała Evalynn, kiedy przekroczyli z Justi-nem próg Chocolat' de Soph. Sklep był pusty.

- Tu jesteśmy! - odkrzyknęła Sophie z zaplecza.

Kilka sekund później ich oczom ukazała się góra papieru, w którym brodzili Sophie, Ellen, Randy i Garrett.

- O kurde - wyrwało się Justinowi.

„.' -Tak, wiem - zareagowała błyskawicznie Sophie. -Ale ja go nie zapraszałam, sam przyszedł.

Garrett wybuchnął śmiechem, mimo że jej kąśliwa uwaga skierowana była właśnie pod jego adresem.

- Wydaje mi się, że on mówił jednak o naszej poczcie. Jak się masz, Justin? Dawno się nie widzieliśmy.

- Staram się unikać kłopotów. Jak u ciebie?

Z krzywym uśmiechem przyklejonym do twarzy Garrett odparł:

- Jutro będę miał się o wiele lepiej, tak mi się w każdym razie wydaje. Wygląda na to, że jestem o krok od wygrania naszej małej zabawy.

Sophie udała, że go nie słyszy. Wiedziała, że — biorąc pod uwagę ogromną ilość listów - Garrett najpewniej ma rację, nie miała jednak najmniejszego zamiaru poddawać się już teraz. To ona była przecież jedynym prawowitym sędzią, to ona miała absolutną kontrolę nad wynikiem selekcji. „Nie” - pomyślała sobie. - „Jeśli rzeczywiście będę musiała męczyć się z nim na randce, muszę walczyć, zaciekle i do końca”. Ale w głębi duszy nawet w tym momencie wiedziała, że tak naprawdę to nie randki obawia się najbardziej. Bardziej niż spotkania sam na sam z mężczyzną, który złamał jej serce, obawiała się, że po tym wszystkim wciąż coś do niego czuje. Ta myśl nie dawała jej spać po nocach. Już jakiś czas temu postanowiła, że najlepszym rozwiązaniem będzie ograniczyć kontakty z Garrettem do minimum - nie chciała ryzykować kolejnej katastrofy emocjonalnej.

Z zamyślenia wyrwał ją głos Evalynn:

- Przepraszamy za spóźnienie. Postanowiliśmy zatrzymać się po drodze po coś do jedzenia. Co powiecie na chińszczyznę?

- O, tak, super. Dzięki. Połóżcie to na ladzie, każdy będzie mógł podejść i wziąć sobie to, na co ma ochotę.

- Czy w tym pocztowym szaleństwie jest jakaś metoda? - spytał Justin, zerkając na stertę listów.

- Niespecjalnie - odparła Sophie. - Ale pomyślałam, że każde z nas może na początku „zeskanować” po łebkach każdy list i przyporządkować go do jednej z grup: „definitywnie nie”, „może” i „obiecujące”. - Przerwała na chwilę i rzuciła Garrettowi świdrujące spojrzenie. - Zakładając oczywiście, że takowe będą. Co powiecie na taki plan?

- Brzmi całkiem rozsądnie - odparła Ellen. Siedziała pod ścianą, na krześle, a na kolanach trzymała plastikowy pojemnik pełen listów. Przeglądała je szybko, zupełnie jakby szukała czegoś konkretnego.

- Cukiereczku, powiedz jeszcze, czy masz jakieś wskazówki odnośnie do tego, co kwalifikuje się jako „nie”, „może” albo „obiecujące”.

„Cukiereczek” był pieszczotliwym przezwiskiem, które Ellen nadała Sophie ze względu na jej miłość do słodczy. Kiedy dziewczynki były młodsze, nie zawsze stać ją było na kupowanie im smakołyków, co wcale nie powstrzymywało Sophie przed proszeniem o nie za każdym razem, kiedy wspólnie odwiedzały sklep. Przewisko przyłgnęło do niej na dobre, kiedy jako nastolatka zajęła się nie tylko jedzeniem słodkości, ale również ich przygotowywaniem. Jeszcze zanim skończyła szkołę średnią, miała już pokaźną kolekcję swoich autorskich przepisów, które wykorzystała potem, kiedy otworzyła Chocolat' de Soph.

Garrettowi nie udało się powstrzymać chichotu.

- Oho, to będzie dobre - wymamrotał. Sophie rzuciła mu lodowate spojrzenie, zanim odpowiedziała swojej przybranej matce.

- Owszem, mam. Ogólnie rzecz ujmując, odrzucamy wszystko to, co jest banalne. I wszystko, co ma związek z mężczyznami i związkami w ogóle. Rzecz jasna, wszystkie nietrwale przykłady również odpadają. A poza tym - zdaję się na waszą opinię. Ufam wam, przynajmniej większości z was, i wierzę, że będziecie w stanie odróżnić śmieci od wartościowych treści.

- A „może”? — dopytywała Ellen. Jednocześnie uniosła jeden z listów na wysokość twarzy, sprawdziła nadawcę i zawiedziona odłożyła go razem z pozostałymi nieotwartymi kopertami, których górka szybko rosła obok jej krzesła.

-Tutaj zbieramy wszystko, czego nie zakwalifikowalibyście od razu jako spam, ale co nie uderza was jako wyjątkowo odkrywczе. A jeśli znajdziecie coś, co zrobi na was naprawdę dobre wrażenie, kładzicie to na trzecią kupkę - wyjaśniła i popatrzyła po wszystkich. - Jakies pytania?

Garrett podniósł rękę i odczekał grzecznie, aż zostanie dopuszczony do głosu. Sophie przewróciła oczami.

- Tak, panie Black?

Uśmiechnął się nieśmiało.

- No... chciałem właśnie spytać... czy to nowa bluzka? Muszę powiedzieć, że szalenie ci w niej do twarzy.

Sophie odwróciła wzrok i spróbowała przybrać groźny wyraz twarzy. Miała nadzieję, że nikt nie zauważy, że się rumieni.

- Jakies pytania w sprawie listów i sposobu ich sortowania? - uściśliła. Justin i Garrett zachichotali tylko.

Przez następną godzinę wszyscy w skupieniu przeglądali list za listem i cierpliwie sortowali je zgodnie z instrukcjami Sophie. Niebawem opanowali do perfekcji sztukę szybkiego czytania: wyszukiwali słowa klucze, które pozwalały na błyskawiczną ocenę treści. Jediną osobą, która niespecjalnie przykładała się do pracy, była Ellen. Sterta nieotwartych listów rosła obok niej w zastraszającym tempie: zerkała tylko na adres nadawcy i momentalnie zrzucała kopertę na podłogę. Sophie szybko spostrzegła, co robi Ellen, i przez chwilę wahała się, czy nie spytać jej, czego szuka. Zdecydowała jednak, że nie ma to sensu. Wiedziała, że jeśli byłoby to coś ważnego, prędzej czy później Ellen by jej o tym powiedziała.

Nie było dla Sophie niespodzianką, że większość odpowiedzi nie miała zupełnie nic wspólnego z doświadczaniem prawdziwego uczucia szczęścia, a raczej skłaniała się ku czemuś, co ona sama określała jako „chwilowe napady szczęścia”. Na przykład niejaka Bobby z Luizjany twierdziła, że szczęście to „harley, kask i pełen bak”. Z kolei dla Amy z Bostonu szczęściem byłoby spędzenie tygodnia na białoróżowych piaszczystych plażach Bermudów. Mężczyzna z Idaho, piszący pod pseudonimem wujek Rico - wziętym od jednej z postaci z filmu *Napoleon Wybuchowiec* - twierdził, że prawdziwe szczęście to ten magiczny moment, w którym rzeczony film nareszcie zaczyna nabierać sensu.

Nikt nie był zaskoczony, że sporo listów koncentrowało się na słowie „rodzina”, jednak Sophie dyskwalifikowała je wszystkie. Liczba jej żyjących krewnych była według niej wystarczającym dowodem na to, że rodzina to coś niezbyt trwałego. Ellen wydawała się urażona stanowczym stwierdzeniem Sophie, że nie miała żadnej rodziny. Milczała jednak.

- Zakładam, że godzinne masaże się nie liczą? - spytał w którymś momencie Randy. W jednej ręce trzymał sajgonkę, a w drugiej jeden z listów.

- To chyba zależy od tego, kto cię masuje - zażartował Justin. Evalynn siedziała na tyle blisko męża, żeby szturchnąć go ostrzegawczo w ramię.

- Mam nadzieję, że masz na myśli *mnie* — zagroziła. - Inaczej jesteś w poważnych tarapatach, mój drogi.

- Nie - potwierdziła Sophie. - Masaże zdecydowanie się nie liczą.

Randy wyraźnie się rozpromienił.

- Super. Czy to znaczy, że mogę zatrzymać ten kupon? Przesłał ci go jakiś salon spa ze Seattle. Godzina masażu gorącymi kamieniami.

Sophie uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę po kupon.

- Nie jest to może trwale szczęście, ale na pewno wielka przyjemność.

Niedługo później Justin natrafił na list od kobiety z Teksasu, który wydał mu się na tyle interesujący, żeby trafić przynajmniej na kupkę „może”.

- Masz, Evi - powiedział i wręczył żonie kartkę, do której przyklejone było niewielkie zdjęcie małego dziecka. - Myślę, że to może cię zainteresować. Ta kobieta pisze, że szczęściem jest miłość i duma, którą odczuwa się, patrząc na swoje dzieci.

Evalynn zaczerwieniła się gwałtownie. Kiedy wstawała z podłogi, Sophie zauważyła, że żyłka na jej szyi pulsuje nienaturalnie

szybko. Evi pochyliła się w stronę męża i patrząc mu prosto w oczy, wycodziła przez zaciśnięte zęby kilka słów, których nie mógł dosłyszeć nikt poza nim, po czym wyprostowała się i wyszła. IGłka sekund później dało się słyszeć łomot zamykanych drzwi wejściowych.

Wszyscy siedzieli bez ruchu w zupełnej ciszy.

- Co się właściwie przed chwilą wydarzyło? - spytał w końcu Garrett.

- To skomplikowane - odparł Justin, wyraźnie zły na siebie. - Głupio zrobiłem. Nie jest na mnie wściekła z powodu tego, co powiedziałem... zrobiło jej się tylko przykro, że wy wszyscy musieliście tego słuchać. Nie chce, żeby ktokolwiek wiedział.

- Ale o czym wiedział? - spytała Sophie. Justin uśmiechnął się półgębkiem.

- Ech, nie jestem pewien, czy powinienem wam to mówić. Prosiła, żeby to pozostało między nami dwojgiem, ale ja od dawna jej powtarzam, że powinna dzielić się swoimi zmartwieniami z rodziną.

Sophie spoglądała to na Justina, to na Garretta, aż wreszcie natrafiła wzrokiem na Ellen, która trzymała w ręku trzy listy i wyglądała tak, jakby zbierało jej się na płacz.

- Tak naprawdę ja już wiem — wyszeptała Ellen. — Wiedziałam już od dłuższego czasu.

- Domyślałem się tego - odpowiedział Justin. — Ale nie chciałem pytać cię o to wprost. Sama ci powiedziała?

Ellen pokręciła przecząco głową.

- Nie wprost. Ale od czasu do czasu mówiła różne rzeczy, które dały mi do myślenia.

- O czym wy mówicie? - spytała ponownie Sophie. - Co się dzieje? - Mimo że domyślała się już, co trapi Evalynn, chciała, żeby Justin albo Ellen potwierdzili jej przypuszczenia.

Justin spojrział na Ellen i pokiwał głową, jakby dawał jej milczące przyzwolenie na uświadomienie reszty.

Ellen przełknęła łzy i wyznała:

- Evi po prostu... nie jest pewna, czy chce być mamą. A biorąc pod uwagę, że jest w czwartym miesiącu ciąży, nie jest w zbyt komfortowej sytuacji.

Justin przytaknął.

- Nie jest nam łatwo. Myślałem, że zmieni zdanie, kiedy zajdzie w ciążę, ale wydaje mi się, że jest jeszcze gorzej.

- Ale o co właściwie chodzi? Boi się bólu w trakcie porodu? - spytał Randy.

- Nie, nic z tych rzeczy - odpowiedziała Ellen.

- Co w takim razie? - dopytywał. Przez chwilę nikt nic nie mówił. Potem jednak Ellen wyprostowała się na swoim krześle i uśmiechnęła się z trudem.

- Odkąd została oddana pod moją opiekę, rosła w przeświadczeniu, że jej matka po prostu ją porzuciła. Ze jej nie kochała. Powtarzałam jej bez końca, że jej matka zrobiła to, co zrobiła, właśnie z miłości. Miałam nadzieję, że prędzej czy później trafi to do niej. Niestety, nigdy nie przyjęła tego do wiadomości. Ostatecznie zdecydowałam, że jeśli nie mogę jej przekonać, że kochała ją jej biologiczna matka, pozostaje mi tylko udowadnianie jej każdego dnia, że *ja* ją kocham. Miałam nadzieję, że to wystarczy. I do pewnego stopnia tak było. Ale teraz, kiedy zaszła w ciążę, Evi zaczęła się martwić, że będzie jak jej biologiczna matka, a nie jak ja. Boi się, że nie będzie umiała pokochać swojego dziecka.

Randy ledwo dostrzegalnie pokiwał głową.

Ellen obracała w dłoniach trzy listy. Po chwili kontynuowała:

- Kiedy Evi powiedziała mi, że jest w ciąży, widziałam doskonale, że targają nią sprzeczne emocje, mimo że nie powiedziała głośno ani słowa. Przez ostatnie kilka miesięcy próbowałam znaleźć sposób, żeby jej udowodnić, że nie miała racji. Udowodnić jej, że matka ją kochała. Zmarła dobrych kilka lat temu, więc nie mogłam zapytać u źródła, ale znalazłam kogoś w rodzaju naocznego świadka;

który zgodził się napisać o matce Evi. I tego właśnie szukam dziś w tym bałaganie, ale na razie niczego nie znalazłam.

Teraz również Sophie, Justin i Garrett wyglądali na równie zaskoczonych jak kilka minut wcześniej Randy.

- Czego szukałaś? - spytał Justin.

Ellen wręczyła mu trzy koperty, które do tej pory ściskała w dłoni.

- Wszystkie nadane zostały z więzienia dla kobiet, jakieś pół godziny drogi stąd. Pogrzebałam trochę w przeszłości matki Evi i odnalazłam jej najlepszą przyjaciółkę z liceum, kobietę o imieniu Carly. Spotkałam się z nią w zeszłym miesiącu i wyjaśniłam, kim jestem. Obiecała zrobić co w jej mocy, żeby mi pomóc. Kiedy wybuchło całe to zamieszanie z ogłoszeniem, doszłam do wniosku, że Evi również zaangażuje się w czytanie listów i w ten sposób pozna opowieść tej kobiety, ale nie zorientuje się, że mam z nią cokolwiek wspólnego. -Przerwała na chwilę i spojrzała Sophie w oczy. — Wiem przecież, jak bardzo nie lubicie, kiedy wtrącam się w wasze sprawy. W każdym razie okazało się, że kilka współwięźniarek również postanowiło przesłać swoje odpowiedzi na ogłoszenie, ot tak, dla zabicia czasu. Kilka z tych listów znalazłam, ale na razie po liście od Carly nie ma śladu.

Justin wpatrywał się w listy.

- I myślisz, że to, co Carly ma do przekazania Evalynn, w jakikolwiek sposób jej pomoże?

Ellen wzruszyła ramionami.

- Nie jestem pewna, ale dopuszczam do siebie taką myśl.

- W takim razie musimy odnaleźć ten list - zasugerował Garrett. Spojrzał prosto w oczy Sophie i dodał: - Wszyscy razem.

Pozostali przytaknęli z entuzjazmem. Po dwudziestu minutach gorączkowych poszukiwań niespodziewanie Sophie wstała i oznajmiła podekscytowanym głosem:

- Mam! Znalazłam!

Korciło ją, żeby otworzyć list, wiedziała jednak, że tak naprawdę nie był przeznaczony dla niej. Wręczyła go Justinowi.

- Dzięki - powiedział. - Lepiej pójde jej poszukać. Mam nadzieję, że zdążyła ochłonać. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli pojedę z nią prosto do domu. Mam nadzieję, że sobie bez nas poradzicie?

Sophie kiwnęła głową.

-Właściwie to chyba wszyscy mamy już dość jak na jedną noc - stwierdziła. Rozejrzała się po pobojuwisku. - Posprzątam trochę i na dziś zamkniemy temat.

Podziękowała wszystkim za pomoc, po czym Justin wyruszył na poszukiwania Evi.

- Jak się czujesz? — zapytał Justin, siadając na ławce obok swojej ciężarnej żony. - Martwiłem się o ciebie.

Widział, że przed chwilą płakała.

- Bywało lepiej - odburknęła. Nawet nie spojrzała w jego stronę. Objął ją ciasno ramieniem, mimo że nie był do końca pewien, czy go nie odepchnie.

- Przepraszam - szepnął. — To było bardzo głupie z mojej strony, nie powinienem tego mówić.

Evalynn nie zaprzeczyła.

- Mam coś dla ciebie - ciągnął. — Przyszło w poczcie Sophie, ale tak naprawdę jest do ciebie.

- Przecież ten list nie jest nawet otwarty - zauważyła, kiedy wzięła do ręki kopertę. — Skąd wiesz, że to dla mnie?

- Mam takie przeczucie - odparł. - Załóżmy, że jestem jasnowidzem. Przeczytasz?

Evalynn odwróciła się w jego stronę i spojrzała mu głęboko w oczy.

- Naprawdę twierdzisz, że to list do mnie? Uśmiechnął się.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć.
 - Jeśli rzeczywiście jest do mnie, dlaczego znalazł się w poczcie Sophie?
 - Wyjaśnię ci później — obiecał. — Na razie czytaj.
- Evalynn nie zadawała już więcej pytań. Ostrożnie odwróciła kopertę i rozdarła ją, wsunawszy paznokieć pod samoprzylepne skrzydełko. Wyciągnęła ze środka plik kartek i zagłębiła się w lekturze.

ROZDZIAŁ 23

Szlachetnie jest wziąć na siebie odpowiedzialność za błąd. Oczywiście, jeszcze szlachetniej byłoby w ogóle go nie popełniać.

26 października 2009 r.

Do wszystkich zainteresowanych: Niedawno natknęłam się na Państwa ogłoszenie w „Seattle Timesie”, o poszukiwaniu szczęścia. Muszę przyznać, że wywołało ono szeroki uśmiech na mojej twarzy. I za to dziękuję — mówiąc szczerze, nie mam zbyt wielu okazji do śmiechu. Jeszcze mniej mam powodów, żeby czuć się szczęśliwą. Mimo to wiem co nieco o szczęściu, naprawdę. Gdybyście mnie zobaczyli, uznalibyście mnie pewnie za najbardziej nieszczęśliwą kobietę na świecie. Moje życie nie było wspaniałe. Nie czuję się też spełniona, przynajmniej nie w typowym tego słowa znaczeniu. Moje życie jest, jakie jest, i zdążyłam się z tym już pogodzić. Ale zanim trafiłam do więziennej celi, którą dziś nazywam swoim domem, miałam okazję dostrzec urywki tego, co nazywamy szczęściem. I właśnie nimi chciałam się dziś podzielić.

Żeby w pełni zrozumieć, dokąd zmierzam z moją historią, musicie chyba poznać najpierw moją przeszłość. Jest dość barwna, delikatnie mówiąc. Nie chciałabym, żeby brzmiało to jak wymówka, jednak uwierzcie mi: moje dzieciństwo dalekie było od ideału. Nid

to zbyt łagodnie powiedziane. Było gówniane, koniec kropka. Moi rodzice byli nędzarzami. Dorastałam, nie mając prawie nic. Samo w sobie nie byłoby to takie straszne. Nie miałam nigdy wybujałych potrzeb materialnych (choć przyznam, że trzy posiłki dziennie byłyby bardzo miłą odmianą), bo wiedziałam, że takie rzeczy nie są trwałe. Umówmy się, nawet najmodniejsze dżinsy najlepszej firmy zaczynają b łaknąć albo przecierać się już po kilku noszeniach. Pragnęłam czegoś trwałego. Pragnęłam miłości.

Czy chcę przez to powiedzieć, że moi rodzice mnie nie kochali? Tego nie wiem. Na swój sposób chyba zależało im na mnie. Ale nie byłam ich priorytetem. Palmę pierwszeństwa dzierżyły niepodzielnie „Maryśka i Hera” — marihuana i heroina. Ilekroć chcieli się naćpać, zwykli mawiać, że „idą do nich w odwiedzinę” (czyli praktycznie zawsze, kiedy nie byli już naćpani). Moi rodzice przepuszczali na narkotyki niemal wszystkie pieniądze, jakie udało im się zdobyć. Głównie na heroinę, jednak lubili wszystko, co tylko dawało im jakiegoś kopa.

Miałam niewiele ponad dziesięć lat, kiedy rodzice zaprosili mnie po raz pierwszy na wspólne palenie trawki. Wcześniej wystarczało mi tylko wdychanie powietrza, które unosiło się wokół nich. Od tamtego momentu dawali mi narkotykowe „kieszonkowe”, pod warunkiem że miałam odrobioną pracę domową i utrzymywałam porządek w mieszkaniu. To wszystko było cholernie pokręcone. Dwoje ludzi, którzy powinni chronić mnie przed wszelkim złem, traktowało narkotyki jak przynętę, sposób na wymuszenie na mnie dobrego zachowania.

Ich sposób działał: mieszkanie lśniło, a moje stopnie zawsze były dobre. I byłam za to odpowiednio „nagradzana”.

Kiedy byłam małą dziewczynką, nie miałam żadnych przyjaciółek: inni rodzice byli na tyle rozsądni, że kazali swoim dzieciom trzymać się z dala od naszej rodziny. Nie bywałam na kinderbalach,

nie nocowałam u koleżanek — nic, co przypominałoby normalne dzieciństwo. Pierwszą przyjaciółkę miałam dopiero w pierwszej klasie liceum. Była dobrą uczennicą — bardzo inteligentną — i śliczną dziewczyną. Nie była typem osoby, którą można by podejrzewać o chęć zadawania się z kimś takim jak ja, nie miałam jednak zamiaru w to wnikać— cieszyłam się po prostu, że mam z kim pogadać na stołówce w czasie długiej przerwy. Po jakimś czasie zrozumiałam, że ona sama musiała mierzyć się z demonami, które były jeszcze straszniejsze niż moje. Biedaczka. Nie będę zadręczać was szczegółami, powiem tylko, że jej ojczym powinien być spalony na stosie za to, co jej robił.

W czasie wakacji między pierwszą a drugą klasą liceum, kiedy rodzice byli w pracy, zaprosiłam moją przyjaciółkę do siebie. Wtedy właśnie zrobiłam coś, czego żałować będę do końca życia. Zignorowałam zupełnie fakt, że ma już na głowie wystarczająco dużo problemów, dodałam jej jeszcze jeden: wsunęłam jej w usta jointa i nauczyłam ją, jak się zaciągać. Myślałam, że pomoże jej to ukoić ból codziennego życia. I, niestety, tak właśnie się stało. Wpakowałam ją w narkotyki, leciała do nich jak ćma do ognia. Niebawem jej życie stało się jeszcze gorszym koszmarem. Płaciła mi, żebym kradła dla niej narkotyki od swoich rodziców. Później, kiedy te resztki okazały się niewystarczające, zaczęła kraść, żeby mieć gotówkę na własny towar, kupowany od dilerów na ulicy.

Wciąż zmagam się z ogromnym poczuciem winy za to, co zrobiłam przyjaciółce. Wiedziałam, że tak naprawdę narkotyki nie rozwiążą jej problemów, ale to mnie nie powstrzymało. Nie miałam jeszcze wtedy pojęcia, że wpędziłam ją w nałóg, który pewnego dnia ją zabije.

Zastanawiacie się pewnie, co to wszystko ma wspólnego ze szczęściem. Jak już wspomniałam, doświadczyłam tylko niewielkich jego przeblysków — dzięki przyjaciółce, która pokazała mi, że szczęście może być czasem niewymownie smutne.

Kilka lat po ukończeniu liceum moja przyjaciółka zaszła w ciążę. Kochała swoją córeczkę bezgranicznie. Jedyнным problemem było to, że wciąż nie była w stanie wyrwać się z nałogu, w który ją wpędziłam. Wierzcie mi, próbowała, i to nie raz. Szukała pomocy w najróżniejszych miejscach, od czasu do czasu trzeźwiała i przez kilka miesięcy chodziła czysta, ale zawsze, prędzej czy później, przegrywała z nałogiem. Któregoś razu wylądowała w końcu w więzieniu, oczywiście przez narkotyki, a jej córka trafiła do rodziny zastępczej. Moja przyjaciółka była zdruzgotana. Niczego nie pragnęła tak bardzo, jak być ze swoim dzieckiem. Wyszła z więzienia cztery miesiące później. Powiedziano jej, że musi pozostać czysta jeszcze przez dwa miesiące, zanim będzie mogła odzyskać córkę. Fizycznie ledwo dała radę, ale udało jej się powstrzymać od brania. Zbyt mocno pragnęła zobaczyć się z córeczką. Byłam z moją przyjaciółką w dniu, w którym spotkała się z pracownikiem socjalnym, który miał jej towarzyszyć przy odbiorze córki od matki zastępczej. Mielśmy spotkać się z małą w parku. Kiedy tam przyjechaliśmy, moja przyjaciółka zobaczyła, jak jej szczęśliwe, zdrowe dziecko bawi się na placu zabaw z inną małą dziewczynką.

— Jest najcudowniejszym dzieckiem na świecie, prawda? — spytała. Zgodziłam się z nią w stu procentach.

Poza swoją córką moja przyjaciółka nie zaznała w życiu zbyt wiele szczęścia. I kiedy tak patrzyła na nią, bujając się na huśtawce, nagle zaczęła okropnie płakać.

— Ona zasługuje na kogoś lepszego niż ja — wydusiła przez łzy. — Potrzebuje kogoś, kto dopilnuje, żeby nie wpadła w tarapaty, kogoś, kto będzie w stanie zaoferować jej przyszłość. — Z tymi słowami spojrzęła mi prosto w oczy i spytała: — Jak ci się wydaje, jak bardzo kocham mojego małego aniołka? — tak zawsze o niej mówiła. „Mały aniołek”, albo „aniołek Evi”.

— Sto razy bardziej niż moi rodzice mnie kiedykolwiek kochali — odpowiedziałam bez wahania.

— *To fakt* — *odpowiedziała cichutko. Potem szybko oznajmiła pracownikowi socjalnemu, że chciałyby się dowiedzieć, czy matka zastępcza byłaby skłonna rozważyć długoterminową opiekę nad jej córką.*

Nigdy nie widziałam, aby ktoś płakał tak rozpaczliwie jak moja przyjaciółka tego dnia, kiedy odjeżdżałyśmy spod tamtego placu zabaw bez jej ukochanej córeczki, jednak w pewnym sensie były to również łzy szczęścia. Cieszyła się, że może dać swojej córce najpiękniejszy dar: bezpieczne, stabilne dzieciństwo. Życie wolne od jej własnych demonów.

Było to ponad dwadzieścia lat temu. Mam nadzieję, że ta mała dziewczynka, „aniołek” Evalynn, ma świadomość tego, jak bardzo jej mama ją kochała.

Od czasu, kiedy przeczytałam w gazecie wasze ogłoszenie, myślałam dużo o szczęściu. I doszłam do wniosku, że nie ma większego szczęścia niż właśnie to: mieć w sobie odwagę, jak moja przyjaciółka Marion, aby podjąć trudną decyzję dla dobra tych, których się kocha. Nawet jeśli serce pęka przy tym na milion kawałków.

Carly Gibbs

ROZDZIAŁ 24

Życie cię jeszcze zaskoczy. Niezbyt przyjemnie.

Następnego dnia po zbiorowym sortowaniu listów Garrett w porze lunchu pojawił się nieproszony w Chocolat' de Soph i ponownie zaoferował swoją pomoc. Sophie próbowała dać mu do zrozumienia, że nie jest mile widziany, lecz jej miny, westchnienia i przewracanie oczami wcale go nie zniechęcały. Co więcej, przez całą godzinę, którą spędził z Sophie, nie schodził mu z twarzy szeroki uśmiech. Grzecznie też ignorował wszystkie jej uszczypliwości, a na koniec oznajmił, że z przyjemnością przyjdzie pomóc również po pracy.

Pod wieczór ruch w sklepie był nieco większy, Randy więc siedział prawie cały czas przy kasie, przez co Sophie i Garrett zostawali sami na zapleczu. Początkowo Sophie nie była tym zachwycona, niemniej z czasem zaczęła przypominać sobie, jak bardzo lubi przebywać w jego towarzystwie. Nieraz przyłapywała się na tym, że spogląda z rozczeniem na jego dołeczki w policzkach albo z przyjemnością wsłuchuje się w tembr jego głosu. Za każdym razem jednak ganiła samą siebie za brak samokontroli i błyskawicznie przywoływała się do porządku.

Ich rozmowy obracały się zazwyczaj wokół neutralnych tematów, związanych z treścią listów, które przeglądali. Czasem jednak Garrett wtrącał zdanie zaczynające się od słów „A pamiętasz, kiedy...”, które momentalnie przypominały Sophie

o ich wspólnych szczęśliwych chwilach. O czasach, w których nie musiała czuć się skrępowana, kiedy rzucała ukradkowe spojrzenia w stronę Garretta, pochylającego się, żeby podnieść coś z podłogi. Przy trzecim z kolei „A pamiętasz...” Sophie postanowiła przejąć kontrolę nad tokiem rozmowy, żeby nie utracić kontroli nad własnymi emocjami.

- Powiedz, czy udało ci się trafić w wiadomościach na materiał z moich odwiedzin na poczcie? - spytała, rozrywając różową kopertę z Saint Louis.

- Jasne, nawet go sobie nagrałem — odparł ze śmiechem. -Nie mogę uwierzyć, że dali się nabrać na opowiadkę tego faceta.

-To prawda. Dzięki niebiosom za Jima! Uratował nas oboje, gdyby nie on, byłibyśmy teraz w centrum uwagi dziennikarzy.

- Czy on naprawdę jest bezdomny? - spytał Garrett, oparłszy się o blat. Sophie kiwnęła twierdząco głową i opowiedziała mu, jak poznała Jima rok wcześniej i jak przynosi mu co tydzień swoje ciasteczka z wróżbą.

- A skąd w ogóle wiedział, że to właśnie o to ogłoszenie chodzi? - chciał wiedzieć Garrett.

- Dopiero wczoraj przyszedł i wszystko mi wyjaśnił — odpowiedziała Sophie i jednocześnie rzuciła list na stertę „nie”. -Wygląda na to, że tamtego dnia częściowo powiedział reporterom prawdę: rzeczywiście przeczytał o ogłoszeniu w jednej z gazet, na której spał, wiedział więc, na której poczcie znajduje się skrytka. Kiedy zobaczył tłum reporterów, po prostu skojarzył fakty i ruszył na ratunek.

-I Bogu dzięki. Facet zasługuje na nagrodę. Gdyby nie on, wpadlibyśmy w środek dziennikarskiego chaosu.

-Wiem. Powiedziałam mu wczoraj, że do końca życia ma u mnie darmowe czekoladki. Ale szkoda, że nie widziałeś go, kiedy tu wszedł. Rozpoznałam go tylko po bezzębnym uśmiechu. Ma nowe ubrania, jest uczesany i umyty. Od czasu jego konferencji

prasowej ludzie nie przestają wysyłać datków na konto, które Kanał Drugi założył specjalnie dla niego. Ma już nawet mieszkanie i pracę na pół etatu. A jakiś salon samochodowy zaproponował mu używane auto w zamian za poprowadzenie jakiejś promocyjnej gali.

- Żartujesz? Niesamowite to wszystko — ucieszył się Garrett i uśmiechnął się czule do Sophie. W pierwszym odruchu odwzajemniła uśmiech, kiedy jednak zorientowała się, co robi, natychmiast spoważniała. Obawiała się, że może to odebrać jako sygnał, że lubi spędzać z nim czas. A przecież nie lubiła, prawda?

Około ósmej Sophie i Garrett otworzyli po ostatnim liście, szybko przejrżeli treść, i jednocześnie rzucili je na stertę odrzuconych odpowiedzi.

- Moja była od jakiegoś gościa z Pensylwanii, który twierdził, że szczęście to rolka papieru toaletowego, kiedy zgubisz się w lesie - zaśmiał się Garrett. - A co u ciebie?

- Budzenie się każdego ranka obok tego samego mężczyzny przez sześćdziesiąt lat... i jeszcze dłużej.

Rzucił jej rozbawione spojrzenie.

- I naprawdę uważasz, że nie kwalifikuje się to jako szczęście?

- No co? - odburknęła, wzruszając ramionami.

-Serio? Nie uznasz tego? Ja dałbym wszystko, żeby mieć... kogoś takiego... kogoś, kogo miałbym przy sobie każdego dnia. przez tyle lat darzyłbym miłością i zaufaniem.

- Och, doprawdy? — zdenerwowała się Sophie. Z trudem trzymała nerwy na wodzy. — Przykro mi, że muszę ci o tym przypominać, ale miałeś na to szansę, mój drogi. Ale zrobiłeś w tył zwrot i odszedłeś.

Spuścił wzrok.

- Wiem - powiedział cicho.

Odczekała chwilę, licząc, że powie coś więcej, po czym Podjęła:

- Poza tym wydaje mi się, że błędnie interpretujesz jej list. Jeśli okroić go ze zbędnych słów, wychodzi na to, że szczęście to „budzenie się”. A ja nie jestem fanką porannego wstawania, więc... nie, definitywnie nie jest to dla mnie przykład szczęścia.

Garrett podniósł na nią wzrok i zachichotał.

- Oj, Sophie, Sophie... twarde z ciebie orzech do zgryzienia. To co teraz robimy?

Sophie rozejrzała się po kuchni, w której piętrzyły się hałdy kopert. Największa była bez wątpienia sterta odrzuconych, a zaraz po niej kupka tych „może”, kandydatów do uwzględnienia. Przy tych dwóch zbiór „obiecujących” listów wyglądał nader skromnie, a mimo to Sophie podejrzewała, że jest ich dobrze ponad dwieście. I wciąż pozostawało jedno wypełnione po brzegi pudło, którego jeszcze nie tknęli.

W rogu pokoju znajdowała się pozakonkursowa, czwarta sterta najróżniejszych przedmiotów. Były to rzeczy, których Sophie nigdy nie uznałaby za przykłady szczęścia, ale które wszyscy chcieli zachować na pamiątkę. Niektórzy ludzie przysyłałi doprawdy dziwne rzeczy. Na samym wierzchu leżał na przykład znoszony sandał z całkiem przetartą podeszwą. Wywołał poprzedniej nocy dość zażartą dyskusję, kiedy Garrett upierał się, żeby umieścić go w „obiecujących”, ponieważ, jak twierdził, „drogę do szczęścia najlepiej pokonywać w wygodnym obuwiu”. Poza tym była tam jeszcze drewniana łyżka, wykorzystane bilety do cyrku, płyta Neila Diamonda, katalog palonych ziaren kawy dla koneserów, zdjęcie Billa i Hillary Clintonów oraz kilka saszetek pikantnego sosu z restauracji Taco Bell.

-Teraz - odpowiedziała Sophie - wezmę do domu „obiecujące” odpowiedzi. Zobaczymy, ile z nich zyska moją aprobatę. - Wyprostowała się i owinęła sznurkiem pakiet listów. -Te odrzucone możemy od razu wywalić, te, które „może” się nadają, zostawimy tutaj w biurze, dopóki nie skończę przeglądać

„obiecujących". I wezmę dziś jeszcze kilka tych nieruszonych. — Westchnęła i sięgnęła po pokaźny plik listów z pudełka. Garrett przytaknął.

- Dobry plan - powiedział i zerknął na zegarek. - Ostatni pospieszny autobus do Gig Harbor już odjechał. Może cię podwiozę? Nie masz chyba ochoty tłuc się przez całe miasto z workiem listów?

Sophie bardzo nie chciała być z Garrettem sam na sam w samochodzie. Ostatnim razem, kiedy wsiadła do jego auta, oznajmił jej, że odwołuje ślub. Ale teraz miał rację - taszczenie całej tej poczty do autobusu i godzinna jazda byłyby wątpliwą przyjemnością. A jeśli przyjechałaby do domu wystarczająco wcześniej, miałyby jeszcze czas odezwać się do Evi, spytać, jak się miewa.

- Niech będzie - zgodziła się bez entuzjazmu. - Ale tylko dlatego, że tak będzie rzeczywiście wygodniej.

Garrett uśmiechnął się szeroko.

- Świetnie.

Sophie odwróciła się i zaczęła zbierać do torebki swoje rzeczy.

- Och, przestań już popisywać się tymi swoimi uroczymi dołączkami - wymamrotała cichutko pod nosem.

Kiedy byli już w drodze, Sophie wyciągnęła komórkę i wybrała numer Evi. Nie rozmawiała ze swoją przybraną siostrą, odkąd ta poprzedniego wieczoru wybiegła ze sklepu. Nie dzwoniła wcześniej, bo chciała dać Evi czas na przetrwanie tego, czego dowiedziała się z listu więźniarki — cokolwiek to było.

- Cześć, Sophie. - Evi odebrała niemal natychmiast. - Zastanawiałam się właśnie, kiedy się odezwiesz.

- Wszystko w porządku? Głos masz dobry. Chwila milczenia.

- Właściwie to... tak. Wszystko jest bardziej niż w porządku.

- Więc to... to ten list? Co w nim było?

- Może przyjedziesz do nas? Dam ci go do przeczytania. Masz czas?
Sophie zwróciła się do Garretta.

- Mógłbyś zawieźć mnie do Evi? - poprosiła szeptem. Przytaknął bez słowa. - Jak najbardziej - powiedziała do słuchawki.

- Zaraz u was będę.

Piętnaście minut później Sophie siedziała już na kanapie w salonie Evi i Justina i czytała list napisany przez najlepszą przyjaciółkę matki Evi. Kiedy skończyła, otarła łzę, która spłynęła jej po policzku, i powiedziała:

- Cholera. Chyba będę musiała zaliczyć to do szczęśliwej setki.

Spoglądała teraz to na Evalynn, to na Justina.

- Evi... myślisz, że to... to znaczy... jak twoje uczucia związane z macierzyństwem?

Evalynn przygryzła wargę i spojrzała na Justina. Jedną ręką ścisnęła jego kolano, a drugą położyła sobie na brzuchu. Spojrzała Sophie w oczy i odpowiedziała:

- Ten list odpowiedział na wiele pytań, które przez lata nie dawały mi spokoju. - Zerknęła na Justina i uśmiechnęła się.

- Wydaje mi się, że wszystko będzie dobrze.

- Jestem pewna, że będziesz cudowną mamą - zapewniła ją Sophie. — Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

- Od dawna jej to przecież powtarzam - wtrącił Justin.

- Ale moją żonę przekonał dopiero list od kryminalistki. Taki już mój los. - Westchnął i mrugnął figlarnie do Evalynn. Po czym ponownie zwrócił się do Sophie: - Dobrze, moja droga, zanim wyślemy naszą ciężarną do łóżka, może potrzebujesz naszej pomocy z listami?

Sophie spoważniała.

- Nie, nie chcę wam przeszkadzać - odparła. - Prawdopodobnie i tak je wszystkie odrzucę, nie ma sensu, żebyście marnowali przeze mnie czas.

- Daj spokój — przerwał Justin. — Przecież to żaden kłopot. Po prostu wysłuchasz naszych opinii, zanim podejmiesz ostateczną decyzję. W ten sposób będziesz mogła przynajmniej powiedzieć Garrettowi, że radziłaś się konsultantów, a więc dałaś równe szanse wszystkim odpowiedziom.

Sophie rozważała przez chwilę tę propozycję. Z jednej strony ,nie chciała, żeby przyjaciele nadmiernie wpływali na jej ocenę, zwłaszcza że to nie oni byliby zmuszeni do pójścia na randkę z jej byłym narzeczonym, gdyby udało się zebrać sto „dobrych” odpowiedzi. Z drugiej strony, najzwyczajniej w świecie dobrze się czuła w ich towarzystwie, a myśl o spędzeniu *reszty* wieczoru na samotnym przeglądaniu listów od obcych ludzi nie napawała jej optymizmem.

- No dobrze - powiedziała w końcu. - Ale kończymy, kiedy tylko Evi zacznie ziewać.

Z tymi słowami Sophie zabrała się do lektury listów. Bez względu na długość po kolei czytała na głos każdy z nich, dawała Evi i Justinowi chwilę na wyrażenie opinii, a potem podejmowała ostateczną decyzję. Po liście od Carly Gibbs kolejny, który spełniał wszystkie subiektywne kryteria Sophie, pochodził od pewnego mężczyzny z Wichita w Kansas. Autor, popierając swoje stwierdzenie licznymi przykładami z własnego życia, utrzymywał, że prawdziwe szczęście jest „wynikiem ciągłego stawania przed wyborem między dobrem a złem i ostatecznego wybierania dobra”. Przez następne trzydzieści minut zaledwie kilka listów otrzymało akceptację Sophie. Tym samym zaczęła znowu nabierać pewności, że będzie mogła zupełnie szczerze powiedzieć Garrettowi, że nie udało jej się znaleźć wystarczającej liczby zadowolających odpowiedzi.

Było kilka minut przed dziesiątą, kiedy Sophie skończyła z „obietującymi” listami i zabrała się za stertę tych jeszcze nieotwieranych. Wzięła pierwszą kopertę z brzegu, która,

jak zauważyła, wysłana została z Bellevue, miasta leżącego jakieś pół godziny drogi na północny wschód od Tacomy. Ze wszystkich listów, które do tej pory czytała, ten był z pewnością najlżejszy: kiedy wzięła go do ręki, zastanawiała się nawet przez chwilę, czy ktoś nie przesłał jej przypadkiem pustej koperty. Po jej rozerwaniu okazało się jednak, że w środku coś jest. Zmarszczyła czoło i ostrożnie przechyliła kopertę. Jej zawartość sfrunęła na podłogę.

Sophie przez chwilę przyglądała się kawałkowi papieru, tyle że na jej twarzy malowało się teraz nie zaniepokojenie, ale strach. Nie miała najmniejszej wątpliwości, że ma przed sobą karteczkę z ciasteczkową wróżbą - w końcu miała z nimi styczność na co dzień. Była pewna, że nie pochodzi ona z *Chocolat* de Soph, ponieważ jej wróżby były pisane ręcznie, wiecznym piórem, a ta była wydrukowana. Widać też było na pierwszy rzut oka, że ma już swoje lata: papier był pomarszczony i przetarty, a litery nieco rozmazane.

Wiedziona dziwnym przeczuciem, Sophie podniosła paperek i przeczytała go w milczeniu. Aż się zachłysnęła na widok znajomych słów. Odwróciła wróżbę i zastygła w przerażeniu. Wpatrywała się w nią bez ruchu, tylko mała łza zaślśniła jej w oku i spłynęła szybko po policzku. Po chwili Sophie otarła mokry ślad z twarzy i zamknęła dłoń. Spojrzała na zaniepokojone twarze Justina i Evalynn.

— Sophie, co się dzieje?

— Muszę porozmawiać z Evi na osobności — poprosiła Justina ochryłym szeptem.

- Jasne - odpowiedział błyskawicznie. Położył dłoń na ramieniu żony.

— Będę w naszym pokoju, jeśli będziecie czegoś potrzebować.

- Evi, musisz przysiąc, że będziesz teraz wobec mnie absolutnie szczerą - zaczęła Sophie, kiedy Justin zniknął z pola widzenia. - Może to zabrzmieć dla ciebie nieco dziwnie, ale... czy wiesz, jak zginęli moi rodzice?

Evalynn patrzyła na nią zdezorientowana. .

- Oczywiście. W wypadku samochodowym.

- Tak, ale czy wiesz, co było jego przyczyną? Kolejne pytające spojrzenie.

- O ile pamiętam, zła pogoda. Dobrze mówię?

- Czy kiedykolwiek rozmawiałaś o tym z Ellen na osobności?

- Może. Prawdopodobnie tak.

-A czy przy okazji tych rozmów wspominała ci kiedykolwiek o czymś... albo o kimś, kto częściowo odpowiadał za ten wypadek?

- Nie. Sophie, do czego zmierzasz?

Sophie zerknęła na swoją zaciśniętą pięść. Przypomniała sobie inny moment w swoim życiu, kiedy w ten sam sposób trzymała ten papierek.

- Chcę ci o czymś powiedzieć, ale musisz przysiąc, że nikomu o tym nie powiesz.

-Przysięgam.

- Nawet swojemu mężowi.

Evalynn obejrzała się za siebie, po czym szepnęła:

- Uwierz mi, jest wiele rzeczy, o których Justin nie ma zielonego pojęcia.

Sophie wzięła głęboki oddech. Od lat chciała wyznać Evalynn swój sekret, lecz nigdy nie zebrała się na odwagę. Teraz jednak wiedziała, że będzie potrzebować pomocy przyjaciółki, żeby ustalić, w jaki sposób stara wróżba z ciasteczka znalazła się wśród jej poczty - a przede wszystkim, kto ją wysłał. Wiedziała, że nadszedł czas, aby wyznać prawdę. Przez kolejne dwadzieścia minut Sophie opowiedziała jej w najdrobniejszych, najstraszniejszych szczegółach wszystko, co zapamiętała z dnia swoich dziewiątych urodzin, który był jednocześnie dniem śmierci jej taty, mamy i babci.

Evalynn siedziała jak zahipnotyzowana. Momentami tylko wyglądała tak, jakby miała za chwilę wybuchnąć płaczem.

Kiedy Sophie skończyła swoją opowieść, natychmiast zatonięła w mocnym, opiekuńczym uścisku.

- Kochanie, nie możesz obwiniać się za to, co się stało. Nie bez powodu takie wydarzenia nazywa się wypadkami. Sophie, to nie była twoja wina. - Evi rozluźniła uścisk. - Ale skoro przez tyle lat nie pisałaś ani słowa, dlaczego mówisz mi o tym teraz?

Sophie zacisnęła usta.

- Ponieważ - odparła powoli. - Mimo że to był wypadek, naprawdę ponoszę za niego większość winy. - Z tymi słowami otworzyła dłoń. - I najwyraźniej ktoś o tym wie.

Evalynn wzięła do ręki karteczkę i przeczytała wydrukowaną wróżbę. *Szczęście to dar, który mieszka w tobie. Życzenie twojego serca wkrótce się spełni.* Podniosła wzrok na Sophie.

- Przecież to było dwadzieścia lat temu, jesteś pewna, że to to? Może po prostu tamta wróżba brzmiała podobnie. Poza tym, przecież drukuje się tego na tony. To pewnie zwykły przypadek.

Sophie wywróciła oczami.

- Przez przypadek ta wróżba trafiła z powrotem do mnie przez głupie ogłoszenie Garretta. Ale najbardziej przerażające w tym wszystkim jest to, że to *naprawdę* jest moja wróżba z tamtej nocy. Nie ta sama wiadomość - *to ten sam kawałek papieru*

Evalynn spojrzała na Sophie z powątpiewaniem.

- Skąd ta pewność?

. - Odwróć ją - poleciła Sophie, a w jej głosie słychać było strach.

Evalynn nieomal się zakrztusiła, kiedy zobaczyła napis na drugiej stronie karteczki. Wyblakłe, napisane ołówkiem litery układały się w słowa: *Sophia Maria Jones, 21 września 1989.*

- Nie! To musi być jakiś okrutny żart! Musi!

-Jeśli to żart, to nie do końca rozumiem takie poczucie humoru.

- I jedyną osobą, której o tym powiedziałaś, była Ellen?

-Tylko tyle pamiętam. No, może wiedział o tym psycholog, do którego chodziłam, kiedy byłam nastolatką, ale poza tym? Nikt.

- Myślisz, że Ellen miała z tym coś wspólnego? - spytała Evalynn. Sophie wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. To znaczy, mam nadzieję, że nie, ale z drugiej strony przecież to ona zdobyła dla ciebie list od Carly, więc kto wie? - Sophie wahała się przez chwilę. Próbowwała poukładać sobie wszystko w głowie. - Ale jednak... coś mi tutaj nie pasuje.

- Co takiego?

- Przecież ja ją wyrzuciłam! Zgniotłam wróżbę i rzuciłam ją na ulicę. Wpadła do ryszoka, Ellen siedziała obok mnie i patrzyła, jak odpływa.

- Dokładnie - odparła Evi. - Była tam. I jest jedyną osobą, która wiedziała o jej istnieniu. A do tego przesyłka trafiła do twojej skrytki pocztowej, a tylko kilka osób wie przecież, że odpowiedzi na ogłoszenie przychodzą właśnie do ciebie. Ona musi mieć z tym coś wspólnego. — Evalynn zerknęła na zegarek, po czym chwyciła Sophie za rękę i wstała energicznie. — Chodź, Sophie. Idziemy.

- Ale dokąd?

- Wydaje mi się, że dla twojego dobra powinniśmy złożyć Ellen małą wizytę.

- Przecież jest już po dziesiątej - zaprotestowała Sophie. - Zanim tam dojedziemy, będzie jedenasta, a Ellen wcześniej kładzie się spać.

Evalynn rzuciła jej spojrzenie, które oznaczać miało „nie dyskutuj ze mną”, i spytała ją, czy w ogóle będzie mogła dziś zasnąć, nie otrzymawszy wcześniej jakichkolwiek wyjaśnień.

Sophie westchnęła.

- Mało prawdopodobne.

- No właśnie. A skoro my nie możemy spać, to nasza szanowna przybrana mama też nie powinna.

ROZDZIAŁ 25

Szczęście omija cię z daleka. I słusznie.

Wszystko w porządku? - spytała Evalynn, kiedy wysiadły z samochodu pod budynkiem, w którym mieszkała Ellen, na wschodnim przedmieściu Seattle. Była za dziesięć jedenasta i chłodny wieczorny wiatr zaczął się już dawać we znaki. Sophie zapięła kurtkę pod samą szyję i kiwnęła głową. Nie odrywała wzroku od trzypiętrowego budynku, który tej nocy wyglądał na jeszcze bardziej zapuszczony niż zwykle. Ceglana fasada parteru i pierwszego piętra była brudna i podniszczona, a spomiędzy licznych szczelin wyrastały dzikie pnącza. Dwa wyższe piętra były już z betonu, pomalowanego na mdły, szarawy kolor. Farba łuszczyła się wielkimi płatami, szczególnie w rogu po lewej stronie, gdzie dawno temu pękła rynna - woda ściekała teraz po ścianach przez większość jesieni i zimy.

Sophie nieraz się zastanawiała, dlaczego jej przybrana mama nadal tam mieszka, mimo że przecież stać by ją było na coś przyjemniejszego, zwłaszcza od kiedy Sophie i Evalynn się wyprowadziły. Kiedy Sophie spytała ją o to kilka lat temu, Ellen wyjaśniła, że z tym mieszkaniem wiążą się jej wszystkie najlepsze wspomnienia.

- Może i moje pisklęta wyfrunęły z gniazda - dodała. - Ale to gniazdo nadal jest dla mnie w sam raz.

- Witaj w domu - wyszeptała teraz miękko Evalynn, kiedy ramię w ramię przekroczyły próg klatki schodowej.

Wnętrze nie było aż tak zniszczone, głównie dlatego, że lokatorzy sami dbali o jego czystość. Chociaż nikt — a w szczególności właściciel budynku — nie miał ochoty wydawać grubych pieniędzy na malowanie elewacji czy uzupełnienie cegieł, mieszkańcy od czasu do czasu robili zrzutkę na sprzątanie korytarzy.

Zarówno Sophie, jak i Evalynn miały klucze do mieszkania numer 309, ponieważ jednak zbliżała się już pora snu Ellen, postanowiły zadzwonić do drzwi. Odczekały chwilę, aż wreszcie dał się zza nich słyszeć słaby głos:

- Kto tam? Zapukaj raz, jeśli jesteś przyjacielem, dwa razy, jeśli wrogiem. - Był to zwyczajowy tekst Ellen, kiedy ktoś niezapowiedziany dzwonił lub pukał do jej drzwi. Sophie i Evalynn wiedziały, że w ten sposób po prostu gra na zwłokę: w tym czasie upewniała się, że ma broń w zasięgu ręki.

Sophie zapukała trzy razy.

- Evalynn? To ty? Czy to Sophie?

Dziewczyny wymieniły krótkie spojrzenia, nasłuchując szybkich kroków z kuchni, przez salon, aż do drzwi wejściowych. Po chwili zgrzytnął zamek, a drzwi otworzyły się szeroko.

- Obydwie moje sikoreczki, co za niespodzianka! - Ellen z radości nieomal wyskoczyła z policyjnych butów, których nie zdążyła jeszcze zdjąć po powrocie z przedłużonej zmiany Mocno przytuliła najpierw Sophie, a potem Evalynn, po czym wciągnęła obie do mieszkania.

- Co wy tu w ogóle robicie o tej porze? Zresztą, nieważne. Kiedy właściwie ostatnio byliśmy w tym domu razem, wszystkie trzy? Chyba z rok temu, albo i dłużej. Ależ niespodzianka! -Jeszcze raz uścisnęła Sophie. Nietrudno było jednak zauważyć, że jej przybrane córki nie są tak podekscytowane jak ona.

We trzy przeszły przez salon do kuchni i zajęły miejsca przy okrągłym stoliku. Ellen z wyczekiwaniem zerknęła to na Sophie, to na Evalynn. Zastanawiała się, co też mogło sprowadzić je tutaj

o tak późnej porze. Cokolwiek to było, ich ponure miny wskazywały, że nie jest to nic dobrego.

Sophie przesunęła dłonią po drewnianej powierzchni stołu. Wciąż czuła pod palcami wyryte litery i słowa z czasów, kiedy ona

i Evalynn odrabiały tu lekcje, zbyt mocno przyciskając długopisy. Dotykając palcem wskazującym konturów własnego imienia, Sophie podniosła wzrok, spojrzała na Ellen i przesłała jej wymuszony uśmiech. Nie powiedziała jednak ani słowa.

- Muszę przyznać, że świetnie się wczoraj bawiłam przy przeglądaniu tych wszystkich listów - powiedziała Ellen lekko, kiedy cisza między nimi zaczęła robić się niezręczna. - Znalazłyście już jakieś odpowiedzi warte uwagi?

- Tak, dwie - odpowiedziała Sophie.

Dalsze milczenie. Spojrzenie Sophie wędrowało po pomieszczeniu, w którym spędziła ogromną część swojego dzieciństwa. Teraz wydawało jej się o wiele mniejsze. Mimo że to salon był największy w mieszkaniu, to właśnie w kuchni toczyło się ich życie rodzinne. To tutaj jadły, rozmawiały, uczyły się i oglądały telewizję. A czasem próbowały robić wszystkie te rzeczy naraz. Sophie zastanawiała się, ile godzin swojego dzieciństwa spędziła dokładnie na tym samym krześle, na którym teraz siedziała.

Zawsze, kiedy odwiedzała tu Ellen, wracała myślami do dnia, w którym po raz pierwszy przekroczyła próg mieszkania poste-runkowej Monroe. Pamiętała, jak strasznie wtedy padało. Jeszcze bardziej niż tej nocy, kiedy poznała Ellen na krawężniku jezdni w Seattle. Deszcz zacinał pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Pracownica socjalna miała wprawdzie parasol, jednak nie uznała za stosowne podzielić się nim z Sophie. Zanim dziewczynka przeciągnęła swoją walizkę od samochodu do drzwi wejściowych budynku, była przemoczona od stóp do głów. Jej blond loki przykleiły się do czoła mokrymi pasmami. Sophie pamiętała, że z jawną niechęcią wносиła walizkę po schodach na drugie piętro.

pracownica socjalna trochę ją poganiała, ale Sophie to zignorowała. W końcu była to już jej czwarta przeprowadzka w ciągu pięciu miesięcy. Nie spieszyło jej się wcale do poznawania kolejnej rodziny zastępczej.

W pierwszym domu z założenia była krótko — ot, tydzień lub dwa, żeby dać czas opiece społecznej na znalezienie jej czegoś na dłużej, może nawet rodziny skłonnej ją zaadoptować. Kiedy to się nie udało, Sophie została przeniesiona do domu niejkiej Marion Mason, samotnej matki, która opiekę nad dziećmi traktowała jako sposób na zarobienie dodatkowych paru dolarów. Pracownicy opieki społecznej zorientowali się niebawem, że zarobione w ten sposób pieniądze kobieta wydaje na narkotyki. Tak oto, po siedmiu tygodniach pobytu, Sophie i drugie przybrane dziecko oraz biologiczna córka kobiety - malutka dziewczynka

O imieniu Evalynn - zostały odebrane Marion, wsadzone do białego minivana i porozwożone do nowych rodzin na północy stanu Waszyngton.

Sophie była ostatnia w kolejce - jej nowa rodzina zastępcza mieszkała aż w Everett. Było to przemile, bezdzietne małżeństwo, które od czasu do czasu przygarniało potrzebujące dzieci. Robili to po prostu z dobroci serca, bo wiedzieli, że jest zapotrzebowanie na takie domy. Niestety, serce pana Barda było dobre tylko w sensie metaforycznym: niecałe dwa miesiące po przyjeździe Sophie doznał on rozległego zawału. Sophie siedziała przerażona na kuchennym taborecie i patrzyła, jak ratownicy uruchamiają defibrylator na samym środku salonu i próbują przywrócić akcję serca, a potem jak układają mężczyznę na noszach i zabierają go z mieszkania. Pani Bard łkała histerycznie. Nikt nie powiedział Sophie wprost, co się stało z panem Bardem, podejrzewała więc najgorsze.

Tej samej nocy, w środku burzy, przyjechała kuratorka Sophie i kazała jej się pakować. Przez dłuższy czas jechały na południe

międzystanową, zjechały na trasę do Seattle, aż wreszcie zatrzymały się pod budynkiem, w którym mieszkała Ellen. Po krótkim spacerze w ulewnym deszczu i powolnej wspinaczce na drugie piętro przemoczona, zziębnięta Sophie po raz pierwszy zapukała do mieszkania numer 309.

- Zapukaj raz, jeśli jesteś przyjacielem, dwa razy, jeśli wrogiem! - zawołał ze środka przyjazny głos. Sophie rzuciła kura-torce zdziwione spojrzenie i wzruszyła ramionami. Kobieta poleciła jej puknąć raz. Chwilę później drzwi się uchyliły i, ku miłemu zaskoczeniu Sophie, ukazała się w nich znajoma twarz. Policjantka, która podeszła do niej po wypadku, ta sama, która była dla niej taka miła na pogrzebie rodziców, stała teraz w drzwiach, uśmiechnięta i promieniejąca szczęściem. Rozpostarła szeroko ramiona i już po chwili Sophie tonęła w jej ciepłym uścisku. Sophie po raz pierwszy od miesiący poczuła ciepło w sercu. Ellen przykucnęła naprzeciwko Sophie i spojrzała jej w oczy.

- Mam pewien sekret - oznajmiła. - Nie mów nikomu: rodzina puka trzy razy. Zapamiętasz? Od dzisiaj to jest twoja liczba.

Sophie przytaknęła, a Ellen przytuliła ją ponownie i wprowadziła do mieszkania.

Evalynn dołączyła do nich miesiąc później, tuż po tym, jak jej mama trafiła do więzienia za narkotyki i liczne oszustwa. Władze zwróciły się do Ellen o przyjęcie drugiej dziewczynki ze względu na to, że była w podobnym wieku co Sophie. Miało to być krótkoterminowe rozwiązanie, nie dłuższe niż pół roku, jednak matka Evalynn wpadała w coraz to nowe tarapaty. Ostatecznie Evi została u Ellen. Od tamtego czasu czarna kobieta i dwie dziewczynki: biała i pół-Latynoska, stanowiły rodzinę.

- Sophie? - głos z przeciwległej strony stołu wyrwał ją z zamyślenia. Przechyliła głowę na bok i spróbowała się uśmiechnąć.

-Hm?

Ellen uśmiechnęła się nerwowo.

- Wyglądasz, jakbyś miała jakieś zmartwienie. Chcesz ze mną o czymś porozmawiać?

Sophie przytaknęła, ale nadal nie powiedziała ani słowa. Ellen wierciła się nerwowo na swoim krześle.

- Dowiedziałaś się, tak?

- Czego? - spytały jednocześnie Evalynn i Sophie.

- Ze to ja zadzwoniłam do telewizji i powiedziałam im o ogłoszeniu.

- Ty?! - krzyknęła Sophie. - Co ci strzeliło do głowy?!

- Chciałam, żebyś spotkała się z Garrettem — odpowiedziała ostrożnie. - Cukiereczku, niech się dzieje, co chce, ale po prostu uważam, że powinnaś wysłuchać, co ma ci do powiedzenia. Gdyby to nie było coś ważnego, jestem pewna, że nie pojawiłby się u ciebie po roku milczenia. Znasz mnie - jestem wścibska, lubię się wtrącać. Jestem niezmiernie ciekawa, co Garrett ma ci do powiedzenia. Podesłałam więc dziennikarce materiał na reportaż. Liczyłam, że to przyspieszy sprawę. W życiu bym nie przypuszczała, że wywołam w ten sposób taką burzę. — Zawahała się. - Czy to dlatego do mnie przyszłyście?

Sophie przecząco pokręciła głową. Ellen wyglądała na zdezorientowaną.

- W takim razie o co chodzi? Sophie, wiesz, że możesz powiedzieć mi o wszystkim, prawda? - Zwróciła się teraz do Evalynn: -Czy to coś poważnego? Dotyczy was obu?

- Mnie nie. Ja jestem tylko kierowcą - odparła Evi, po czym zwróciła się do Sophie: — Musisz jej to pokazać.

Sophie kiwnęła głową, otworzyła torebkę i wyjęła kopertę z Bellevue.

- Ellen - zaczęła powoli. - Czy rozpoznajesz adres nadawcy? Ellen zmrużyła oczy, odczytując drobne pismo.

- To przecież adres twojej skrytki pocztowej, zgadza się?

- Chodzi mi o adres nadawcy. Kto mieszka w Bellevue, Ellen?
— dopytywała stanowczo Sophie. Czuła, że jest zbyt oschła dla kobiety, która przez lata tak dużo dla niej zrobiła. Nie mogła się jednak powstrzymać.

Twarz Ellen wyrażała szczere zdziwienie.

- Bellevue? Nie znam nikogo, kto mieszkałby w Bellevue. Czemu pytasz? Co jest w tej kopercie?

- Otwórz ją.

Ellen rozchyliła kopertę, z której wypadł kawałek papieru. Upadł tak, że najpierw zauważyła wypisane ręcznie słowa.

- A to co takiego? - wyszeptała z niedowierzaniem. Nie uległa wątpliwości, że wie doskonale, co to za data. W głowie zapaliło jej się nagle światełko i zorientowała się już, co trzyma w ręku. Odwróciła świstek i wydała z siebie lekki okrzyk.

- Sophie — zaczęła. — Przysięgam ci, że nie mam z tym nic wspólnego.

Nagle w Sophie coś pękło. Z całej siły rąbnęła pięścią w stół.

- A więc kto to zrobił? Kto?! Byłaś jedyną osobą na świecie, która wiedziała o tej wróżbie! Poza moimi rodzicami, ale jestem dziwnie pewna, że to nie oni mi ją wysłali!

-Ja nie... to znaczy... jestem tym równie zaskoczona jak ty...

— jąkała się Ellen, całkowicie zaskoczona tym nagłym wybuchem.

- Komu powiedziałaś? Tylko jednej osobie, czy może kilku? Czy o ogłoszeniu też mówiłaś różnym ludziom?

Ellen była do głębi urażona oskarżeniami Sophie. Jej oczy wypełniły się łzami, tak jak tamtej nocy, kiedy znalazła Sophie siedzącą samotnie na krawężniku.

- Sophie, *nigdy* nie wspominałam nikomu o tej wróżbie. Nie mam najmniejszego pojęcia, jakim cudem wylądowała ona w twojej skrytce pocztowej, i przysięgam ci, że nie miałam z tym nic wspólnego.

Zapadła chwilowa cisza. Evalynn uznała, że to najlepszy moment, żeby się odezwać. Chciała jak najszybciej zmienić tok

rozmowy - bała się, że Sophie za chwilę powie coś, czego później będzie gorzko żałowała.

- Dziękujemy, Ellen. Dobrze usłyszeć te słowa bezpośrednio od ciebie.

Sophie i Ellen milczały.

-Wiem, że w tym przypadku jestem tu niejako osobą z zewnątrz - ciągnęła Evi. - Biorąc pod uwagę fakt, że aż do dziś nie miałam o tym wszystkim pojęcia, wydaje mi się jednak, że powinniśmy...

- Powiedziałaś jej? — przerwała jej Ellen. Sophie przytaknęła.

- Musiałam komuś powiedzieć. I chciałam ustalić, czy na pewno nie powiedziałaś jej o tym wcześniej.

-To dobrze. Od dawna ci powtarzam, że jeśli dzielisz się swoimi problemami z innymi, sprawiasz, że stają się one lżejsze. Ale wiedz, że ja sama *nigdy* nikomu o tym nie powiedziałam. Słowo honoru.

Ponownie odezwała się Evalynn:

- Ja ci wierzę, Ellen. Sophie?

Sophie spoglądała to na Evalynn, to na Ellen. W końcu wyszeptała:

- Ja też.

- Świetnie - odetchnęła z ulgą Evi. - Skoro już do tego doszliśmy, wydaje mi się, że powinniśmy skoncentrować się na ustaleniu, kto wysłał Sophie tę wróżbę, no i skąd ją wytrzasnął. Prawdę mówiąc, po cichu miałam nadzieję, że Ellen miała z tym coś wspólnego. To by wiele wyjaśniało. A tak? Szczerze mówiąc, jest to nieco przerażające.

Ellen wzięła do ręki kopertę.

- Racja, Evi. Ale myślę, że mogę jednak pomóc. Poczekajcie chwilę, muszę podzwonić w kilka miejsc. - Wstała i wyszła z kuchni.

— Wszystko w porządku? — spytała Evalynn, kiedy znalazły się z Sophie sam na sam.

— W porządku — zaśmiała się Sophie. — Nie nawrzeszczałam tak na Ellen od czasu, kiedy ostro przesłuchała Toma Pottera przed szkolnym bale w drugiej klasie liceum.

Evalynn również wybuchła śmiechem.

— Biedny Tom. Podejrzewam, że po tym incydencie długo jeszcze nie zaprosił na randkę żadnej dziewczyny. - Po chwili dodała: - Jeśli o mnie chodzi, uważam, że byłaś całkiem opanowana, zważywszy na okoliczności.

— Dzięki. Nadal nie wiem, kto za tym wszystkim stoi, ale przynajmniej czuję ogromną ulgę, że Ellen nie ma z tym nic wspólnego. W końcu jest dla mnie jak matka. Czułam się zdruzgotana na samą myśl, że nie mogłabym jej więcej zaufać.

— Masz jakikolwiek pomysł, kto inny mógł wysłać ci tę wróżbę albo skąd mógł ją wziąć?

— Żadnego. Ale znasz Ellen. Skoro twierdzi, że może zdobyć dla nas jakieś informacje, jestem pewna, że tak właśnie będzie.

Kilka minut później, tak jak obiecała, Ellen dumnie wkroczyła do kuchni.

— Mam! - wykrzyknęła triumfalnie.

— Szybko ci poszło — ucieszyła się Sophie.

— E tam, bułka z masłem. Musiałam tylko zadzwonić do starego...

Ale Sophie nie miała teraz ochoty wdawać się w szczegóły dotyczące zdobywania danych. Od małego musiała wysłuchiwać przydługich opowieści Ellen o zawiłościach pracy śledczej, a teraz zdecydowanie nie miała na to ochoty.

— Ellen, proszę, do rzeczy. Kto to wysłał?

— No dobrze, już dobrze — odpowiedziała, nieco tylko zniechęcona. - Pod adresem zwrotnym zamieszkuje niejaki Jacob Barnes. Brzmi znajomo?

Evalynn i Sophie jednocześnie pokręciły głowami. Ellen uśmiechnęła się szeroko.

- A dla mnie tak. Jak tylko usłyszałam nazwisko, wiedziałam, kim jest. Ale chciałam się jeszcze upewnić. Zajrzałam więc do kopii starego policyjnego raportu, którą trzymam w szufladzie biurka. Zgadnijcie, czego dotyczy ten raport? - Zamilkła w oczekiwaniu na odpowiedzi, ale napotkała tylko puste spojrzenia. — Raport z wypadku, Sophie! Był jedną z osób, które odniosły obrażenia. Przewieziono go tamtej nocy do szpitala i wypuszczono nazajutrz rano.

-Jacob Barnes? - spytała Sophie. - Pamiętasz go z tamtej nocy?

- Cukiereczku - odpowiedziała Ellen, siadając obok Sophie. Objęła ją ramieniem i nagle zaczęła brzmieć bardziej jak mama, a mniej jak policjantka. - Z tamtej nocy pamiętam tylko, że poznałam ciebie. Cała reszta zlewa mi się w jedno, podobnie jak tysiące innych wypadków, które miałam nieszczęście widzieć w trakcie mojej dwudziesto trzyletniej służby.

- Jacob Barnes — powtórzyła Sophie, jakby próbowała oswoić się z nazwiskiem. — A więc skoro ten cały Jacob Barnes też tam był, musiał znaleźć moją wróżbę po tym, jak ją wyrzuciłam. Ale skąd mógł wiedzieć, że to właśnie *moja* wróżba?

-Trudno powiedzieć - odparła Ellen, kładąc ręce na kolanach. - Ale przynajmniej wiemy teraz, że tam był, co wyjaśnia, skąd w ogóle miał tę wróżbę.

- Wprawdzie żaden ze mnie detektyw - wtrąciła Evalynn. -Ale wydaje mi się, że możemy łatwo się dowiedzieć, skąd ten mężczyzna wiedział, że wróżba jest twoja, i dlaczego napisał z tyłu twoje imię. Przecież wiemy, gdzie mieszka, tak? Musimy Po prostu wybrać się na małą wycieczkę do Bellevue. Sophie, co ty na to?

Sophie kiwnęła głową.

-Ellen?

Ellen mrugnęła.

- Spakuję też moje dziewięć milimetrów. Na wypadek gdyby pan Barnes okazał się groźnym świrusem.

ROZDZIAŁ 26

Szczęściarze mają szczęście. Pechowcy mają pecha. A ty masz więcej szczęścia niż rozumu.

Evalynn i Sophie przyjechały po Ellen w sobotę, niedługo po lunchu. Był to pierwszy termin, który pasował całej trójce. Oznaczało to, że Sophie musiała poprosić Randyego, żeby zastąpił ją przez kilka godzin w Chocolat' de Soph, na co on zgodził się jednak bardzo chętnie. Na ostatnie urodziny Evalynn Justin kupił jej GPS, znalezienie domu Jacoba Barnes'a nie stanowiło więc problemu. Po dwudziestu pięciu minutach jazdy trasą międzystanową zostały delikatnym kobiecym głosem poinformowane przez urządzenie o konieczności zjechania na pomniejszą drogę, z której trafiły niebawem na 150. Aleję, na osiedle pięknych domów, ulokowanych na szczycie wzgórza, niedaleko Saddleback Park.

- O rany - wyrwało się Ellen. - Jacobowi Barnesowi musi się naprawdę dobrze powodzić.

-Skreć w... lewo... cel za... sto metrów - wydukał elektroniczny głos. Evalynn zwolniła, a po chwili zatrzymała się przy krawężniku.

- Jesteś pewna, że chcesz to zrobić, Sophie?

- Właśnie, kochanie - odezwała się Ellen z tylnego siedzenia. - Masz dziwne rumieńce.

Sophie uśmiechnęła się dzielnie. Ścisnęła w rękę kopertę, którą wysłano z domu po drugiej stronie ulicy.

- Nie byłam w ogóle zdenerwowana, aż do momentu kiedy zaparkowałyśmy. A teraz...

- Jestem przekonana, że nie masz się czym martwić - zapewniła ją Evalynn.

Sophie ponownie próbowała się uśmiechnąć. Odwróciła się w stronę Ellen, a potem znów w kierunku Evi.

- Wiem. To nie na myśl o spotkaniu Jacoba Barnes'a ściska mi się żołądek. Tu chodzi chyba raczej o zderzenie z przeszłością. To po prostu... dziwne. Po dwudziestu latach niespodziewanie dowiaduję się, że jakaś zupełnie obca mi osoba wiedziała dokładnie, że miałam swój udział w wypadku.

- Nie wiesz wcale, czy tak właśnie myśli.

- Wiem. Po prostu to czuję. Z jakiego innego powodu odsyłałby mi wróżbę? Musiał zobaczyć mnie w wiadomościach i jakoś skojarzył fakty.

Ellen pochyliła się i położyła dłoń na ramieniu Sophie.

- Odkąd skończyłaś dziewięć lat, powtarzałam ci nieustannie, że nie możesz obwiniać się o to, co się stało. Może spotkanie z panem Barnesem wreszcie w pełni cię o tym przekona.

- Może - odparła Sophie z powątpiewaniem. „A może on też będzie mnie winił za ten wypadek i moje najgorsze obawy tylko się potwierdzą” - pomyślała.

Wszystkie trzy wysiadły z samochodu i ruszyły na drugą stronę ulicy. Ellen dowodziła grupą. Sophie starała się nie zwracać uwagi na kobietę stojącą w oknie sąsiedniego domu, obserwującą je niczym jastrząb, kiedy szły chodnikiem prowadzącym do drzwi Barnes'a. Zauważyła też, że na podjeździe nie było żadnych samochodów, miała więc cichą nadzieję, że może nikogo nie będzie w domu.

Ellen bez chwili wahania podeszła do drzwi i nacisnęła dzwonek. Sophie i Evalynn zajęły pozycje kilka kroków za nią.

Kilka chwil później drzwi otworzył im korpulentny, niski mężczyzna o okrągłej *twarzy*. Miał oczy o migdałowym kształcie szeroki uśmiech od ucha do ucha.

- Witam - odezwał się ze śmiesznym akcentem. — Goście. Uwielbiam gości. Nie miewam ich niestety zbyt często. — Zamilkł na chwilę, po czym powtórzył: - Witam.

Żadnej z kobiet nie trzeba było wyjaśniać, że młody mężczyzna ma zespół Downa. Jego pogodne usposobienie sprawiło, że cała trójka momentalnie się rozluźniła.

- Cześć - powiedziała Ellen. - Szukamy Jacoba Barnes'a. Jest w domu? Mężczyzna podrapał się po gęstej blond czuprynie.

- Czy to naprawdę ważne? - spytał z uśmiechem. — To mój tata. Może ja mogę wam jakoś pomóc? Jestem Alex. - Rzucił okiem na koszulkę Evalynn i przeczytał na głos fioletowy napis:

- Washington State Dawgs. Evalynn się roześmiała.

- Zgadza się. Też jesteś ich fanem?

-Nie. Ale podoba mi się to słówko. Ale chyba jest niepoprawnie napisane.

Sophie przyglądała mu się uważnie. Wydawał jej się dziwnie znajomy.

- Alex, czy my się przypadkiem nie znamy? - spytała. Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Robisz czasem zakupy w supermarkecie Albertsons? Pracuję tam. Bardzo dużo ludzi przychodzi tam na zakupy. Kupują rzeczy do jedzenia. Albo jedzenie dla psów - dodał, wskazując na rysunek sportowej maskotki na koszulce Evi. - Albo gazety z Britney Spears i Oprah Winfrey na okładce.

Sophie się uśmiechnęła.

— Może masz rację.

Ellen również uśmiechnęła się szeroko, kiedy pokazała chłopakowi swoją policyjną odznakę, przyczepioną do paska na biodrze. Nawet kiedy nie była w mundurze, miała przy sobie odznakę, tak na wszelki wypadek. Nieraz udało jej się w ten sposób uniknąć mandatu za przekroczenie prędkości.

-Alex, nazywam się Ellen Monroe, jestem policjantką z komendy w Seattle.

Alex wydawał się zafascynowany błyszczącą odznaką - wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej opuszkami palców.

- Glina. Ale super.

- Moja znajoma - ciągnęła Ellen, wskazawszy na Sophie - dostała w tym tygodniu kopertę z czymś, co przez długi czas było w posiadaniu twojego taty.

: Alex wpatrywał się w Sophie z żywym zainteresowaniem.

- Więc to *ty* szukasz szczęścia przez ogłoszenie? Super.

- Chcesz powiedzieć, że wiesz, o czym mówimy? — spytała Sophie i uniosła kopertę. Spojrzał na nią przelotnie.

- Mhm - potwierdził. Sophie odetchnęła głęboko.

- Chciałabym porozmawiać o tym z twoim tatą. Czy jest w domu?

- Niestety nie.

- A wróci niedługo?

Pogodny uśmiech Alexa lekko przygasł.

- Niestety nie.

Do tej pory Evalynn niewiele się odzywała, teraz jednak uznała, że czas wkroczyć do akcji.

-A wiesz może, gdzie teraz jest? Jeśli to gdzieś niedaleko, może mogłybyśmy go odwiedzić?

Alex podrapał się w głowę.

- Wiem, gdzie on jest. Nie znam adresu, ale mogę tam z wami pojechać.

Evalynn i Ellen spojrzały wyczekująco na Sophie, niepewne, co będzie chciała zrobić.

Wzięła w końcu pół dnia wolnego po to, żeby spotkać się z Jacobem Barnesem, i chciała teraz dobrze wykorzystać ten czas. Nie była jednak pewna, czy chce wciągać w to jego syna. Zanim podjęła decyzję, przed domem pojawiła się jeszcze jedna osoba.

- Czy mogę paniom jakoś pomóc? - spytała kobieta. - Jestem Meredith Sloan, mieszkam obok.

„To ten jastrząb z okna” - pomyślała Sophie. , Ellen się uśmiechnęła.

- Nie, wszystko w porządku. Przyjechałyśmy tylko w odwiedziny do pana Barnes’a.

Zachowanie Meredith gwałtownie się zmieniło.

- Przepraszam, ale muszą panie wiedzieć, że jestem nie tylko sąsiadką Alexa. Dostaję również wynagrodzenie za opiekę nad nim i pomoc w szczególnych wypadkach. Jeśli więc jest coś konkretnego, z czym panie tutaj przyjechały, jestem odpowiednią osobą, żeby o tym porozmawiać.

Zanim Sophie, Ellen albo Evalynn zdołały powiedzieć choć słowo, odezwał się Alex:

- W porządku, Meredith. Ta pani jest policjantką. Meredith wyprostowała się zdenerwowana.

- Ojej... cokolwiek się wydarzyło, jestem pewna, że Alex nie miał z tym nic wspólnego. To dobry dzieciak.

-Ależ nie, tu nie chodzi o nic złego - zapewniła ją Ellen. -Nie jestem tutaj służbowo. Składam raczej małą, nieoficjalną wizytę.

Wreszcie Sophie postanowiła się odezwać.

- Kiedy byłam małą dziewczynką, brałam udział w wypadku samochodowym. Jacob Barnes również.

- Ach. Mówi pani pewnie o tym wypadku, w którym stracił palce.

Przed oczami Sophie mignął jej obraz mężczyzny leżącego na ziemi, wpatrującego się w swoją zakrwawioną dłoń. Pamiętała ratownika, który próbował zatamować krwawienie.

- Tak - odpowiedziała cicho. - Właśnie o tym mówię. Jesteśmy tutaj, bo chcemy zdobyć więcej informacji o wypadku, a Alex powiedział...

- One chcą odwiedzić tatę - przerwał jej Alex. - Mogę je do niego zabrać?

Meredith wyglądała na zupełnie zagubioną.

- Chcecie odwiedzić Jacoba? Wszystkie trzy przytaknęły.

- O ile, oczywiście, nie będzie to zbyt duży kłopot — dodała Sophie. - Alex powiedział, że wie, jak tam dojechać.

- Tak, wie doskonale. Jeździ tam tak często, jak tylko może. - Meredith popatrzyła na Alexa, a potem na twarze niespodziewanych gości. — Ale nie wiem doprawdy, dlaczego chcecie szukać na cmentarzu informacji o wypadku, który wydarzył się lata temu.

- Cmentarzu? - wykrztusiła Sophie, rzucając Ellen zmartwione spojrzenie. - Dlaczego miałybyśmy jechać na... - zamilkła. Zdezorientowana wpatrywała się w Meredith. - Chce pani powiedzieć, że Jacob Barnes... *nie żyje*?

Teraz to Meredith wyglądała na zaskoczoną.

- Nie wiedziałyście? - spytała. - Zmarł kilka miesięcy temu, po zacieklej walce. Białaczka.

- Nie wiedziałyśmy... ja... dostałam pocztą list i wydawało mi się... - Sophie zwróciła się teraz w stronę Alexa. Nagle coś sobie przypomniała. - Zaraz... o którym cmentarzu mówimy? - spytała.

Alex nie wiedział, lecz Meredith pospieszyła z pomocą.

- Cmentarz Evergreen - powiedziała. - To jest na...

- Aurora Avenue! - wykrzyknęła Sophie. - To tam cię widziałam. Jakiś miesiąc temu, w dniu moich urodzin. Miałaś okulary przeciwsłoneczne, prawda?

- Tak, chodzę tam w okularach przeciwsłonecznych — przyznał Alex.
- Nie chce, żeby ktoś widział, że płacze - wyjaśniła szeptem Meredith.
Sophie przypomniała sobie to krótkie, dziwaczne spotkanie tuż przed przyjściem Evi. Nagle ogarnął ją niepokój.

- Alex, czy ty mnie śledziłeś? - spytała. Schował ręce do kieszeni.

- O ile pamiętam, to ja byłem tam pierwszy. Więc chyba nie mogłem cię śledzić, skoro byłaś druga.

„Racja” - pomyślała Sophie. Poprawiła opadający na twarz kosmyk włosów, po czym zrobiła kilka kroków naprzód, tak że stanęła twarzą w twarz z Alexem, wciąż tkwiącym w drzwiach wejściowych swojego domu. Miała poważny wyraz twarzy, ale jej głos był delikatny i łagodny.

- Alex, kiedy widziałam cię na cmentarzu tamtego dnia, nie odwiedzałeś grobu swojego ojca. Wpatrywałeś się w nagrobek *moich rodziców*. Co tam robiłeś?

Wszyscy zamarli w oczekiwaniu na odpowiedź Alexa.

- Czytałem - odparł równie spokojnym tonem. — *Mąż i Ojciec. Zona i Matka. Kochali swoją córkę i siebie nawzajem. Miłością głęboką i wieczną*. Bardzo ładne. Nauczyłem się tego na pamięć. Tata pokazywał mi ten nagrobek zawsze, kiedy jeździliśmy na cmentarz. Mówił mi, że poznał kiedyś ich córkę. -Popatrzył na wszystkich wokół, w końcu jego wzrok zatrzymał się na Sophie. Na jego twarzy wciąż malowała się niewinna radość. -To ty, prawda? Sophia Maria Jones.

ROZDZIAŁ 27

Nie dziwi, że dochodzisz do złych wniosków, skoro męczy cię chodzenie.

Na werandzie domu Barnesów zapadła niezręczna cisza, którą po chwili przerwał Alex.

- Czy nadal chcecie odwiedzić mojego tatę? — spytał. -Czy może wolicie wejść do środka. W środku jest cieplej niż na zewnątrz, a ja wolę ciepło.

- To doskonały pomysł, Alex - podchwyciła Meredith i zrobiła mały krok w stronę drzwi. - Może wejdziemy wszyscy do środka i usiądziemy na chwilę, żeby porozmawiać. Napiją się panie czegoś?

Evalynn i Ellen ponownie spojrzały na Sophie w oczekiwaniu na jej decyzję.

- Byłoby nam bardzo miło - odpowiedziała uprzejmie. - Dziękujemy.

W środku dom wyglądał jeszcze lepiej niż z zewnątrz: wysokie sklepienia, otwarta przestrzeń, salon połączony z kuchnią. Wszystko to dawało poczucie przestronności. W salonie niemal każdy centymetr ścian pokrywały wiśniowe regały, w ogromnej większości wypełnione książkami. Cały pokój wyglądał jak niewielka biblioteka. Jedyne szafka w głębi była wypełniona tylko do połowy.

- O rany — Sophie była pod dużym wrażeniem. - Widać, że ktoś tu lubi czytać.

- Ja! - zakrzyknął Alex z dumą. - Przeczytałem każdą książkę w tym pokoju. Niektóre nawet więcej niż raz.

- Prawie nie masz tu już wolnych półek - zauważyła Evalynn. - Co zrobisz, jak zapełnisz je wszystkie?

Alex rzucił jej rozbawione spojrzenie, jakby nie był pewien, czy jej pytanie było żartem.

- Zamontuję więcej półek - odpowiedział w końcu bez cienia ironii w głosie.

Sophie i Ellen jednocześnie wybuchły śmiechem. Sama Sophie odczuwała ogromną ulgę: wcześniej przerażała ją myśl o spotkaniu z Jacobem Barnesem, głównie dlatego, że zupełnie nie miała pojęcia, jaka będzie jego reakcja. Czy przez ostatnie dwadzieścia lat żywił do niej nienawiść? Czy jego życie legło w gruzach przez jej dziecięcy upór? Zamiast zręczliwego starszego pana miała teraz przed sobą Alexa, którego pogodne usposobienie, niewinność i otwartość były równie groźne jak mruczące kociątko.

Meredith poszła do kuchni przygotować kawę, podczas gdy pozostali usiedli w salonie. Sophie i Evalynn zajęły skórzaną sofę, Ellen usiadła na niewielkiej kanapie, a Alex opadł swobodnie na fotel z podnóżkiem, pokryty grubym zamszem.

Pierwsza odezwała się Sophie:

- Alex, chciałam na początku powiedzieć, że bardzo, bardzo mi przykro, że twój tata zmarł. Wydaje mi się, że bym go polubiła, tak samo, jak polubiłam ciebie.

Alex nerwowo przebierał palcami, ale nie przestawał się uśmiechać.

- Masz zamiar zadawać mi dużo pytań na jego temat?

- Chciałabym zapytać o kilka rzeczy, jeśli oczywiście się zgodzisz. Uniósł brwi i w zastanowieniu podrapał się w ucho. Po chwili

Wstał bez słowa i podszedł do niewielkiej komody stojącej w przedpokoju. Wyjął z górnej szuflady okulary przeciwsłoneczne, założył je, po czym wrócił na fotel.

- Już — oznajmił.

Sophie uśmiechnęła się ciepło.

- Mówiłeś, że twój tata zabierał cię na cmentarz na grób moich rodziców. Jak często tam jeździliście?

- Co roku. Dzień po moich urodzinach.

- Ach tak? A kiedy masz urodziny?

- Dwudziestego września. Sophie spojrzała na Ellen.

-To... to dzień przed moimi urodzinami. Chcesz powiedzieć, że chodziłeś na cmentarz co roku dwudziestego pierwszego września?

Alex lekko pochylił się w jej stronę i kiwnął twierdząco głową.

- W moje urodziny tata zawsze organizował wielkie przyjęcie. Mówił, że dzień, w którym się urodziłem, był naj, naj, najważniejszym dniem jego życia. A następny dzień był najważniejszy. Tylko jedno „naj”. Były też inne ważne dni, ale nie pamiętam wszystkich. Pamiętam Gwiazdkę. I Wielkanoc. I walentynki. Te pamiętam.

Evalynn się uśmiechnęła.

- A czy kiedykolwiek rozmawiał z tobą o wypadku? - pytała dalej Sophie.

Meredith pojawiła się w salonie chwilę później. Niosła na tacy pięć kubków i pudełka najróżniejszych herbat.

- Zapomniałam, że nie mamy tutaj kawy. Alex jej nie pija, źle ją toleruje. Może być herbata? Jeśli nie, mogę pójść do mojego domu i nastawić ekspres.

-Ależ nie, nie ma potrzeby, herbata będzie w sam raz -pospieszyła z zapewnieniem Ellen.

Meredith postawiła wszystko na stoliku.

- Proszę się częstować.

- O co pytałaś? - podjął Alex, kiedy Meredith wreszcie usiadła.

— O wypadek, w którym oboje braliśmy udział. Często o nim mówił? Może wtedy, kiedy jeździliście na cmentarz?

Pokręcił przecząco głową.

- Nie. Tata powtarzał tylko, że był to dzień, którego nigdy nie zapomni. Chodziliśmy tam głównie po to, żeby zostawiać kamyki.

Sophie aż się wyprostowała. Oczywiście, pamiętała o pięknych kamieniach, które znajdowała co roku na nagrobku swoich rodziców. Kątem oka spostrzegła, że również Evalynn była pod wrażeniem słów Alexa.

- Kamienie na nagrobku były od ciebie i twojego taty?

- Mhm.

- To dlatego spotkałam cię tam dwa tygodnie temu? Podrzucałeś kolejny kamień.

— Tak. Zanim... tata odszedł, powiedział mi, że miło by było, gdybym podtrzymał naszą tradycję. Teraz zostawiam jeden dla Thomasa i Cecylii, a jeden dla Jacoba i Katherine. Ale nie tego samego dnia - wyjaśnił Alex i poprawił okulary, żeby się upewnić, czy nadal szczelnie zasłaniają jego oczy. - Kilka lat temu odkryliśmy, że jeżeli będziemy przychodzić odpowiednio późno, będzie tam na nas czekać czekoladka. Tata zawsze powtarzał, że czekoladka jest dla mnie, za zostawienie kamyka.

Ellen przerwała mieszanie swojej herbaty.

— Kim jest Katherine? - spytała. Alex nie odpowiedział. .

— Może ja wyjaśnię - zaproponowała Meredith. — Skoro wasza rodzina była tak ważna dla Jacoba, wydaje mi się, że powinnam opowiedzieć wam trochę o Barnesach. Nie wiem zbyt wiele o wypadku, o którym wspominałyście, ale poza tym wiem o tej rodzinie chyba wszystko.

Meredith zaczęła snuć swoją opowieść, a Evalynn i Sophie zrobiły sobie po filiżance herbaty pomarańczowej. Alex siedział bez ruchu, schowany bezpiecznie za swoimi ciemnymi okularami.

- Zarówno Jacob, jak i Katherine byli prawnikami - podjęła Meredith. — Byli partnerami w dużej firmie. Kiedy Katherine zaszła w ciążę, zaczęli szukać pełnoetatowej niani, która pomagałaby przy dziecku. - Meredith uśmiechnęła się i wzięła niewielki łyk herbaty. - Wybrali mnie na tydzień przed tym, jak mały się urodził. Niestety — ciągnęła, zerkając na Alexa, jakby w oczekiwaniu na przyzwolenie — był to bardzo ciężki poród. Pojawiły się... komplikacje. Katherine nie przeżyła.

W pokoju panowała teraz kompletna cisza.

— Wobec tego moja rola stała się znacznie poważniejsza - westchnęła Meredith. - Przez pierwsze kilka lat, dopóki Alex nie zaczął chodzić do szkoły. Kiedy był malutki, robiłam przy nim niemal wszystko.

— I zostałam przez te wszystkie lata? — spytała Ellen.

Meredith kiwnęła głową.

- Miałam różne obowiązki, w zależności od potrzeb Alexa i aktualnego planu dnia Jacoba. Ale przebywanie w towarzystwie Alexa było zawsze taką przyjemnością. Nie mogłabym wymarzyć sobie lepszej pracy. W końcu wzięłam ślub i sama założyłam rodzinę. Mam dwóch nastoletnich synów, którzy, jak znam życie, kłócą się właśnie o grę na Wii. Mimo to zawsze byłam w stanie zachować równowagę między swoim życiem osobistym a potrzebami Barnesów. Kiedy u Jacoba wykryto białaczkę, kupił dla nas dom obok swojego, żebyśmy była bliżej, ale mogła być z rodziną. Nie chciał, żeby Alex po jego śmierci musiał się przeprowadzać do domu opieki. Teoretycznie wciąż jestem pracownikiem, otrzymuję pensję ze specjalnego funduszu, ale zupełnie się tak nie czuję. Alex jest dla mnie jak rodzina i to się nigdy nie zmieni. Cała moja rodzina za nim przepada. — Przerwała na chwilę i popatrzyła na Alexa, uśmiechając się z dumą.

-Wszyscy go uwielbiają.

Alex wsunął palce pod szkła okularów i gwałtownie potarł oczy

Sophie wpatrywała się w torebkę herbaty, której nie wyjęła jeszcze ze swojego kubka. Myślała o starej wróżbie, będącej przecież powodem, dla którego przyjechała tutaj porozmawiać z Jacobem. Po chwili podniosła wzrok i popatrzyła na Alexa. Myślała o tym, jak wiele musiał w życiu przejść - śmierć matki, lata zmagania z własną niepełnosprawnością, śmiertelna choroba ojca. Poczowała w sercu bolesne ukłucie. Zalała ją fala zupełnie nowego poczucia winy na myśl o dodatkowej krzywdzie, jaka przez nią dotknęła tę rodzinę.

Bez zastanowienia Sophie odstawiła swoją filiżankę i wzięła długi, głęboki oddech. Rozejrzała się po zebranych.

— Wprawdzie nie po to tu przyjechałam, ale skoro już tu jestem, myślę, że powinniście wiedzieć prawdę. Ja... ja jestem po części winna temu wypadkowi sprzed dwudziestu lat, w którym Jacob stracił palce.

Dorzuciła jeszcze kilka szczegółów o tym, jak rozpraszała swojego ojca, kiedy wracali samochodem w deszczu, po czym wyciągnęła z torebki kopertę z wróżbą.

— To była wróżba na moje dziewiąte urodziny. Wyrzuciłam ją tej samej nocy, tuż po tym, jak powiedziałam policjantce, Ellen, że wypadek to była moja wina. - Sophie wzięła kolejny głęboki oddech, podczas gdy Meredith wczytywała się w treść małej karteczki. - Mogę tylko przypuszczać, że Jacob usłyszał to, co mówiłam Ellen, i zachował wróżbę przez te wszystkie lata, żeby nie zapomnieć, przez kogo został trwale okaleczony. Ja... ja wiem, że powinnam była przeprosić go, kiedy jeszcze... był z nami. Ale aż do dzisiaj, do momentu, w którym was poznałam, po prostu nie miałam odwagi. I... ja... po prostu bardzo mi przykro.

Wszyscy siedzieli przez chwilę w milczeniu, nikt nie miał odwagi się odezwać. Wreszcie przemówiła Meredith:

— Pani Jones, dziękujemy za te słowa. Ale, szczerze mówiąc, Jestem pewna, że Jacob nie winił pani za to, co stało się z jego

ręką. - Tu wyrwał jej się krótki chichot: — Wie pani, Jacob był dobrym i uczciwym człowiekiem, ale, cóż, był również prawnikiem. Jeśli byłby przekonany, że ktoś jest odpowiedzialny za ten wypadek, proszę mi wierzyć, nie obyłoby się bez pozwu.

- Dlaczego w takim razie przez te wszystkie lata zachował karteczkę z wróżbą? I zapisał moje imię i nazwisko na jej odwrocie? -Kolejne pytanie skierowane było bezpośrednio do Alexa: - A tak na marginesie: kto wysłał to w zeszłym tygodniu?

Alex uniósł rękę i pozwolił okularom zjechać na sam czubek nosa, tak żeby wszyscy widzieli jego oczy.

- Ja. Zobaczyłem filmik na YouTube, Meredith mi go podesłała. Chciałem pomóc. Tata zawsze mi powtarzał, że szczęście jest darem, pomyślałem więc, że ta karteczka może pomóc komuś

— teraz wiem już, że tobie — w odnalezieniu swojego szczęścia. Przepraszam.

- Och nie, nie przepraszaj - zaprotestowała natychmiast Sophie. - Chciałam po prostu poukładać sobie to wszystko. -Uśmiechnęła się do niego ciepło. - Właściwie to bardzo się cieszę, że mi ją wysłałeś. Ze wszystkich rzeczy, które mi przysłano, ta jest moją ulubioną. A wiesz dlaczego? Bo dzięki niej poznałam ciebie.

Alex udał, że poprawia okulary, ale nic nie mogło ukryć gigantycznego uśmiechu, który pojawił się na jego twarzy.

- A co do pytania, dlaczego przez tyle czasu trzymał tę wróżbę
- wtrąciła Meredith. - Wydaje mi się, że nie musisz się o to martwić. Może po prostu podobało mu się przesłanie, które zawiera? Może dawała mu nadzieję, podnosiła na duchu? W każdym razie mogę cię zapewnić, Sophio, że nie żywił on wobec ciebie żadnych wrogich uczuć.

- Czy mogę o coś spytać? - odezwała się nagle Evalynn. -Ciągłe jeszcze zastanawiają mnie te kamienie, które kładliście na grobach. To jakiś religijny zwyczaj?

Meredith parsknęła śmiechem.

- Nie sądzę, aby ktokolwiek określił Jacoba mianem religijnego. Ale wierzył w to, że kiedyś jeszcze spotka Katherine, że ona nie zniknęła ot tak. Nieraz pytałam go o te kamienie, a on za każdym razem odpowiadał inaczej. „To tylko do dekoracji”. „Przecież kwiaty zaraz by zwiędły”. „Po prostu lubię ładne kamienie”. Ale któregoś razu powiedział mi coś, co wydaje mi się najbliższe prawdy: „Kamienie i wspomnienia trwają wiecznie”. Wydaje mi się, że była to jego forma upamiętnienia kobiety, którą kochał.

Evalynn kiwnęła ze zrozumieniem głową, ale Sophie wyglądała na zdezorientowaną.

- Ale dlaczego w takim razie kładł kamienie także na grobie moich rodziców?

Meredith tylko wzruszyła ramionami.

- Z szacunku dla nich? Nie mam pojęcia. Alex, co o tym myślisz?

Alex pokręcił głową.

- Też nie wiem. Po prostu przywoziliśmy je na cmentarz, kładliśmy na nagrobkach, a potem opowiadał mi o Sophii Marii Jones. To wszystko. - Alex w skupieniu patrzył na Sophie. - Czasem mówił mi jeszcze, że chciałby, żebyśmy się poznali, i... — jego głos zamarł w pół zdania, a na twarzy widać było olbrzymie skupienie.

- Alex? Wszystko w porządku? - spytała Meredith.

Kilka sekund później Alex gwałtownym ruchem zdjął okulary. Był czymś wyraźnie podekscytowany.

- Zaraz wracam! - krzyknął, poderwał się z fotela i pobiegł korytarzem do dalszej części mieszkania. Kilka minut później wrócił, a na jego twarzy malowało się rozczarowanie.

- Nie mogę go znaleźć — oznajmił ze smutkiem.

- A czego szukałeś? - chciała wiedzieć Meredith. Alex usiadł z powrotem.

- Przypomniałem sobie. Kiedy tata był już chory, powiedział mi, że pisze list do Sophii Marii Jones. Powiedział, że schowa go w moim ulubionym miejscu, i polecił, żebym, kiedy, no wiecie...

- Umrze - powiedziała łagodnie Meredith.

- Mhm - przytaknął smutno Alex. - Ze po tym, jeśli znajdę ten list, powinienem go do niej wysłać, a wtedy może któregoś dnia Sophia zapuka do moich drzwi.

Sophie odczekała chwilę, niepewna, czy Alex powie coś jeszcze, po czym zauważyła:

- Wygląda na to, że pojawiłam się trochę za wcześnie. , Meredith zapytała Alexa, gdzie szukał listu.

-W moim pokoju - odparł. - Moim ulubionym miejscem jest moja sypialnia. Bardzo lubię spać, więc szukałem pod łóżkiem, pod materacem, pod prześcieradłami. Nawet pod poduszką, chociaż nie sądziłem, że tam będzie. Tak mi przykro — powiedział, zwracając się do Sophie. — Nie wiem, gdzie mógł go schować. Ale będę szukać, obiecuję.

- Dziękuję, Alex, to bardzo miło z twojej strony. Dam ci może mój numer telefonu, żebyś zadzwonił do mnie, jeśli go znajdziesz?

Aż zaświeciły mu się oczy.

-Tak! Bardzo lubię rozmawiać przez telefon. Będę mógł do ciebie dzwonić?

- Oczywiście — odpowiedziała z życzliwym śmiechem. -Kiedy tylko będziesz miał ochotę na pogawędkę.

Sophie zapisała numer swojej komórki i wręczyła go Alexowi, który wyszczerzywszy zęby w szerokim uśmiechu, oznajmił z dumą Meredith:

-Teraz twoi synowie nie będą się już ze mnie śmiać, że nie gadam z dziewczynami.

Wszyscy roześmiali się głośno. Wszyscy, z wyjątkiem zaczerwienionego Alexa, który tylko się uśmiechał, zawstydzony.

Rozmowa toczyła się jeszcze kilka minut, aż wreszcie Ellen oznajmiła, że czas wracać. Sophie co chwila spoglądała na Alexa, urzeczona jego autentycznym optymizmem. „Nic dziwnego” - pomyślała - „że zdecydował się odpowiedzieć na ogłoszenie o szczęściu. Mieszka samotnie, stracił oboje rodziców, a mimo to z jego twarzy nie schodzi uśmiech”.

ROZDZIAŁ 28

Musisz ostudzić swój gorący temperament, zanim ktoś się sparzy.

Evalynn przekręciła kluczyk w stacyjce i odpaliła silnik. - Dokąd teraz, szanowna pani? - spytała siedzącej na przednim siedzeniu Sophie, która nawijała na palec pasmo włosów.

Ale Sophie nie odwzajemniała jej spojrzenia. Patrzyła wciąż w kierunku domu Jacoba - i Alexa - Barnesów. Alex stał w drzwiach i machał im na pożegnanie. Sophie uśmiechnęła się i odmachwała mu energicznie.

Nie doczekawszy się odpowiedzi na pytanie Evalynn, Ellen odezwała się z tylnego siedzenia:

— Wiesz co, cukiereczku? Myślę sobie, że zrobiłaś dziś dużo dobrego.

-Ach tak? - spytała Sophie z przekąsem, po czym odwróciła się, żeby lepiej widzieć swoją przybraną mamę. - A co w tym wszystkim było dobrego? To, że własnoręcznie odrąbałam Jacobowi palce dzień po tym, jak umarła mu żona? Czy może wiadomość, że on sam też już nie żyje?

-Własnoręcznie - parsknęła Evi. - Fakt, to rzeczywiście okropne.

Ellen przewróciła oczami.

- Chodziło mi raczej o tę część rozmowy, w której Meredith powiedziała, że Jacob nie winił cię za wypadek.

— Phi. To były tylko i wyłącznie jej spekulacje.

— Sophie - Ellen odezwała się teraz swoim łagodnym, matczynym tonem. - Kiedy wreszcie dotrze do ciebie, że to nie była twoja wina? To był po prostu nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

Sophie uniosła brwi.

- Proszę cię, bądź sprawiedliwa. Przyznaj, że przez lata radziłam sobie z tym całkiem nieźle, jeśli nie liczyć złego humoru w urodziny. Gdybym nie dostała tej wróżby pocztą, ta rozmowa w ogóle nie miałaby miejsca.

Ellen uśmiechnęła się do niej ze współczuciem.

- Masz rację, jesteś bardzo dzielna. A to, że wróżba do ciebie wróciła, jest naprawdę niezwykle. Można by nawet zaryzykować stwierdzenie, że to była...

- Zaczyna się — wymamrotała Sophie. Evi parsknęła śmiechem.

— Ręka boska - dokończyła Ellen, ignorując je obie.

— No tak, z pewnością — odpowiedziała Sophie sarkastycznie. - Bóg kazał Alexowi obejrzeć filmik na YouTube, a potem zmusił go do odpowiedzi na ogłoszenie. Wydaje mi się jednak, że Wszechmogący ma ważniejsze sprawy na głowie niż grzebanie w mojej przeszłości. - Zaśmiała się na głos z własnego komentarza. Od zawsze bawiło ją niezbite przekonanie Ellen, że drobne zbiegi okoliczności są dowodem na obecność Boga w codziennym życiu.

Evi znowu zachichotała.

- Śmiecie się, śmiecie — powiedziała tylko Ellen. — A ja wam mówię, że to ręka boska.

Sophie i Evalynn wymieniły porozumiewawcze spojrzenia, ale nie ciągnęły tematu. Ponieważ Alex nadal tkwił na werandzie i machał, Evalynn uznała, że najwyższy czas jechać. Wrzuciła bieg i wycofała samochód na ulicę. Dom znajdował się przy ślepej uliczce, więc trzydzieści sekund później ponownie przejeżdżały

koło Alexa, który wciąż stał i machał im na pożegnanie. Wszystkie trzy odmachwały mu z zapalem.

Kiedy wyjechały wreszcie z osiedla na szeroką drogę, Evalynn poprawiła lusterko, by lepiej widzieć twarz Ellen.

- Czy ktoś mógłby mi teraz powiedzieć, dokąd mam właściwie jechać?

Ellen zbyła ją spojrzeniem, które zdawało się mówić: „A że bym to ja wiedziała”. Evalynn zwróciła się więc do drugiej towarzyszki.

- Sophie?

Po chwili milczenia Sophie oznajmiła:

- Ellen, chcę zobaczyć policyjny raport, o którym mówiłaś. Ciągłe masz go u siebie, prawda? - spytała, nie odwracając się w jej stronę.

- Tak - odparła. - Ale wiecie o tym tylko wy, dobrze? Teoretycznie nie powinnam kopiować tego typu dokumentów i zabierać ich do domu. Chcesz go przejrzeć?

Sophie kiwnęła twierdząco głową.

- A mogę spytać, po co?

Sophie się odwróciła. Na jej twarzy malowały się spokój i zdecydowanie, jakby wszystko nagle stało się jasne.

- Ponieważ miałaś rację. Dzisiejsze spotkanie dobrze mi zrobiło. Powinnam zdecydować się na nie już dawno temu.

W tym momencie zadzwoniła komórka Sophie. Spojrzała na numer, który jednak nic jej nie mówił. Po piątym sygnale zaintrygowana podniosła klapkę telefonu.

- Halo?

Głos po drugiej stronie był na tyle donośny, że nawet Evalynn i Ellen słyszały go bez najmniejszego problemu. Sophie musiała nawet odsunąć telefon od ucha.

- Halo! Czy to Sophia Jones?!

-Alex?

- Tak! To ja. Dzwonię. Cześć!

- Alex, czy mógłbyś mówić trochę ciszej? Uszy mnie bołą.

- Przepraszam, Sophie. Niezbyt często rozmawiam przez telefon. Tak lepiej? Wiem, że jesteś w samochodzie. Słyszysz mnie?

Sophie przyłożyła słuchawkę do ucha i uśmiechnęła się. Zdążyła polubić jego melodyjny głos.

- Tak, Alex. Tak jest o wiele lepiej. Słyszę cię bardzo dobrze. Wszystko u ciebie w porządku?

- Tak, jak najbardziej. Po prostu, jak wyszłaś, przypomniałem sobie parę rzeczy.

Sophie uniosła jedną brew i rzuciła spojrzenie Evalynn. Miała nadzieję, że za chwilę dowie się kolejnych szczegółów na temat wypadku albo Jacoba Barnes'a.

- Naprawdę? I opowiesz mi o nich?

- Pewnie! Przypomniałem sobie, że jest bardzo dużo powodów do szczęścia, i chciałem ci o nich powiedzieć, żebyś nie musiała więcej zamieszczać ogłoszeń w gazecie.

Sophie uśmiechnęła się bezwiednie.

- Rozumiem. To bardzo miłe z twojej strony. Czy mogę przełączyć cię na zestaw głośnomówiący, tak żeby Evalynn i Ellen też mogły cię słyszeć?

Nastąpiła chwila milczenia, po której Alex powiedział tylko:.

- Okej.

Sophie wcisnęła kilka guzików na swoim telefonie, a Evalynn wykorzystała tę chwilę, żeby zapytać szeptem:

- Dokąd właściwie jedziemy?

- Do mieszkania Ellen - odszepnęła Sophie, po czym powiedziała Alexowi, że wszystko gotowe.

- Sophie? - Tak?

- Nigdy wcześniej nie mówiłem przez zestaw głośnomówiący.

- Rozumiem — odpowiedziała kojącym tonem. — Stresuje cię to? Jeśli chcesz, mogę go wyłączyć.

Alex zastanawiał się przez kilka sekund.

- Nie - powiedział w końcu. — Będę po prostu udawał, że mówię przez mikrofon w supermarkecie. Czasem pozwalają mi to robić. A czasami wołają mnie przez mikrofon i wszyscy słyszą: „Alex do działu obsługi klienta!”. Zestaw głośnomówiący jest w porządku.

-To świetnie. Słuchamy cię! - zachęciła Sophie, szczerze ubawiona.

Przez następne dwie minuty Alex nieprzerwanym ciągiem wymieniał rzeczy, które według niego dają szczęście. Trzy kobiety siedziały w samochodzie i słuchały go w milczeniu, chłonąc jego myśli i spostrzeżenia. Kiedy później próbowały przypomnieć sobie wszystko, co mówił — nie potrafiły. Lista była o wiele za długa. Mówił im na przykład, że szczęściem jest patrzenie na promienie słońca przebijające się przez chmury albo obserwowanie wschodu słońca.

- Gdyby jutro nie wzeszło słońce, myślę, że byłoby mi smutno z tego powodu. Poza tym — dodał - wszędzie byłoby okropnie ciemno.

Wyjaśnił też, że szczęściem jest jedzenie obiadu wspólnie z rodziną - nawet z nastoletnimi chłopakami, którzy lubią dokuczać — i opowiadanie sobie nawzajem, co wydarzyło się w ciągu dnia. Szczęściem jest dawać z siebie wszystko w pracy, nawet jeśli nie zawsze się ją lubi — ważne jest poczucie, że robisz co tylko w twojej mocy. Na liście Alexa było też rozmawianie oraz czytanie książki na głos. Potem wymienił jeszcze budzenie się rano.

- Budzenie się rano? - spytała Sophie, nie do końca pewna, czy dobrze usłyszała.

- Oczywiście. Czy kiedykolwiek *nie* obudziłaś się rano? Roześmiała się.

- Nie, nigdy.

- No widzisz. Gdybyś się nie obudziła, nie wydaje mi się, żebyś była z tego powodu szczęśliwa.

Wnętrze samochodu wypełnił donośny śmiech. Alex nie do końca rozumiał, co je tak rozbawiło, więc po chwili kontynuował:

- Szczęściem jest też pomaganie ludziom, kiedy potrzebują naszej pomocy. I uśmiechanie się do ludzi, nawet jeśli nie odwzajemniają naszego uśmiechu. - Po krótkiej pauzie dodał: - Nawet jeśli się z ciebie śmieją. Szczęściem jest patrzeć na zdjęcia swoich bliskich... i wspomnianie. - Zamilkł po raz kolejny. Sophie wydawało się, że słyszy, jak Alex odkłada na chwilę telefon, po czym podnosi go z powrotem do ucha. - To potrafi czasem zasmucić. Ale głównie jednak uszczęśliwić.

- Alex, czy przed chwilą założyłeś okulary przeciwsłoneczne? — spytała Sophie.

- Tak. Skąd wiedziałaś?

- Takie miałam przeczucie.

Kiedy wreszcie skończył, usłyszał gorące podziękowania za to, że zadzwonił i podzielił się swoimi myślami. Sophie po raz kolejny zapewniła go, że może do niej dzwonić, kiedy tylko będzie chciał.

- Zadzwonię, jeśli przypomną mi się jeszcze jakieś miłe rzeczy obiecał.

- Nie mogę się doczekać.

- Albo jak znajdę list.

- Będę ci za to bardzo wdzięczna.

- Albo... jeśli po prostu będę miał ochotę pogadać.

- Będzie mi bardzo miło.

- Cześć, Sophia Jones! Sophie się uśmiechnęła.

- Do widzenia, Alex.

Evalynn zdjęła prawą rękę z kierownicy i wymierzyła Sophie delikatnego kuksańca.

- Ktoś tu ma nowego chłopaka - zażartowała.

- Tak - odpowiedziała Sophie z dumą. — Wydaje mi się, że masz rację.

- Powiesz nam teraz, dlaczego chcesz zobaczyć policyjny raport? - spytała Ellen.

Sophie rozluźniła nieco pas bezpieczeństwa, odwróciła się w kierunku swojej przybranej mamy i uśmiechnęła się do niej ciepło.

- W spotkaniu z Alexem i Meredith najwspanialsze było to, co ja im powiedziałam, a nie to, co oni mi powiedzieli. Przyznanie się do tego, jaki był mój udział w tym wypadku, i przeproszenie ich za to przyniosło mi... ulgę. — Po czym dodała tonem twardego postanowienia: - Chcę zamknąć tę sprawę raz na zawsze. Za długo ciągnęło się to za mną jak burzowa chmura. Mam dość deszczu. I dlatego chcę wiedzieć, czy w tym raporcie znajdę nazwiska jeszcze innych ludzi, którym winna jestem taką wizytę.

Ellen kiwnęła ze zrozumieniem głową.

- Raport leży w szufladzie mojego biurka.

Piętnaście minut później zatrzymały się przed podniszczonym budynkiem i ruszyły wszystkie razem do mieszkania na długim piętrze. Sophie i Evalynn usiadły w kuchni, a Ellen poszła przeszukać biurko.

Sophie spędziła dobre dwadzieścia minut na lekturze raportu. Uważnie, w milczeniu, przeglądała poszarzałe kartki, oswajała się z nazwiskami osób w pozostałych samochodach, czytała zeznania naocznych świadków, którzy oglądali wypadek z bezpiecznej odległości. Była to swoista wyprawa w przeszłość. Tylko że tym razem ta przeszłość wydawała jej się lekko zakrzywiona — jej własna perspektywa była perspektywą wystraszonej dziewięciolatki. Teraz miała możliwość zobaczyć tę samą scenę oczami dorosłych, którzy nie mieli pojęcia, że ten śmiertelny wypadek spowodowała pewna mała rozwydrzona dziewczynka w volvo.

Kiedy Sophie skończyła czytać, zamknęła teczkę z raportem i przesunęła ją po blacie stołu w kierunku Ellen.

- Błagam, nie mów mi tylko, że masz zamiar skontaktować się ze wszystkimi, który uczestniczyli w tym wypadku — odezwała się Ellen.

Sophie pokręciła głową. -Nie...

- Oj, chyba słyszę w twoim głosie jakieś „ale” — stwierdziła Evi. Sophie uśmiechnęła się blado.

- Ale... jedna rodzina na pewno zasługuje na moją wizytę. Ellen spoważniała.

- Rodzina tamtego mężczyzny, który zginął?

Sophie przytaknęła. »

- Tim McDonald. Był kurierem UPS, prowadził furgonetkę. Zmarł w wyniku obrażeń kilka dni po wypadku. Po prostu... przeczytanie tego raportu dobrze mi zrobiło. Jeśli nie miałabyś nic przeciwko, myślę, że i oni zasługują na swoją kopię. Zawiozę im ją, a przy okazji wyjaśnię parę szczegółów, których w tym raporcie nie ma. Chcę, żeby wiedzieli. To dla mnie ważne.

Ellen westchnęła, po czym wstała, odsuwając krzesło.

- Cukiereczku, obawiam się, że nie możemy zrobić dla nich oddzielnej kopii, ale jeśli będziecie wystarczająco dyskretni, możesz zawieźć im tę wersję, żeby przeczytali ją przy tobie. -Pokręciła z niezadowoleniem głową, jakby przeczuwała, że cała ta sprawa źle się skończy. — Podzwonię po kolegach, spróbuję namierzyć tę rodzinę - z tymi słowami wzięła do ręki raport i wyszła z kuchni. Wróciła dziesięć minut później, z żółtą karteczką samoprzylepną w rękę.

- Najbliższa żyjąca krewna Tima to jego matka. Kobieta nazywa się Lucy McDonald. Mieszka na drugim końcu stanu, przy granicy z Idaho, w Millwood niedaleko Spokane. Tu masz adres.

- Millwood - powtórzyła Sophie. - Ile godzin zajęłoby nam podróż samochodem?

— Myślę, że jakieś osiem godzin w dwie strony - odpowiedziała Ellen.

Sophie uśmiechnęła się szeroko.

-Więc wygląda na to, że będę miała okazję podszlifować swoje umiejętności jako kierowca.

— Nie możesz jechać tak daleko zupełnie sama. Zabierz ze sobą Evi. Ja też mogę pojechać, jeśli będziesz chciała, ale na pewno nie możesz spędzić całej trasy za kółkiem. Poza tym przecież nie masz nawet samochodu.

Sophie stuknęła palcami w stół. Zastanawiała się, co zrobić. Kiedy skończyła szesnaście lat, Ellen zmusiła ją, żeby zrobiła prawo jazdy, ale Sophie nie znośiła prowadzić - głównie z obawy przed spowodowaniem wypadku. Dlatego, mimo że miała prawo jazdy, zawsze wybierała komunikację miejską albo prosiła znajomych o podwiezienie.

— Masz rację. Najwyższy czas, żebym kupiła sobie samochód. -Ale pozwolisz mi pojechać z tobą? - spytała Evalynn, chociaż

ton jej głosu sugerował, że zrobi to, czy się to Sophie podoba, czy nie.

-To zależy od ciebie. Ale jeśli zdecydujesz się pojechać, będziesz musiała pomóc mi przekopać się przez te wszystkie durne listy. Jestem pewna, że jeszcze ich przybyło. Jedna z nas będzie prowadzić, a druga czytać je na głos.

Evi wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

— Super... to będzie fascynująca podróż. Ja będę czytać listy, ty będziesz je dyskwalifikować, a potem razem wyrzucimy je wszystkie przez okno.

Sophie się roześmiała.

— Dokładnie tak! Wszystko, byleby tylko uniknąć randki z same-wiecie-kim.

ROZDZIAŁ 29

Twoja przewlekła melancholia jest nierozzerwalnie połączona, z twoim nastawieniem do życia.

Przez następny tydzień Garrett wydzwaniał niemal codziennie, żeby sprawdzić postępy w przeglądaniu korespondencji. Mimo że Sophie postanowiła zrobić sobie krótką przerwę, żeby odpocząć od stert listów zalewających jej zaplecze, obiecała mu uroczyście, że poświęci im całą swoją uwagę podczas niedzielnej wycieczki.

— O, wybierasz się na wycieczkę? Dokąd? — spytał.

— Nie twój interes.

— A z kim jedziesz? — naciskał.

— Z kimś znajomym - odpowiedziała krótko.

— Ale nie z jakimś chłopakiem, prawda?

Zachciało jej się śmiać, ale nie dała tego po sobie poznać.

— A czy ma to jakieś znaczenie?

— No... nie... — zaciął się. — Po prostu... A mogę wiedzieć, jaki jest cel tej podróży?

Sophie czerpała niemałą przyjemność z faktu, że może się z nim trochę podroczyć.

— Powiem tylko tyle, że jadę poznać czyichś rodziców. Garrett milczał przez dłuższą chwilę.

— Rozumiem - odparł wreszcie. — To w takim razie pozostaje mi chyba życzyć ci dobrej zabawy.

Rozłączył się.

Kiedy nadszedł piątek, Sophie wybiegła pędem z 'Chocolat' de Soph, jak tylko pojawił się Randy. Ku swojemu zaskoczeniu niemal bez cienia wahania wsiadła do autobusu, wysiadła trzy przystanki dalej przy lombardzie w Tacomie. Tam zrobiła wreszcie to, nad czym zastanawiała się od miesięcy: pozbyła się pierścionka zaręczynowego, który dał jej Garrett. Po dokonaniu transakcji opuściła lombard z pokaźną ilością gotówki, którą niebawem dwie przecznice dalej, w komisie samochodowym, wydała na siedmioletniego forda explorera. Nie było to najpiękniejsze auto na świecie, ale miało niewielki przebieg jak na swoje lata, cena była rozsądna, a przede wszystkim Sophie czuła się w nim bezpiecznie. Bardzo powoli wyjechała nim z parkingu i przez całą drogę do domu ani na chwilę nie przekroczyła przepisowej prędkości. „Bezpieczeństwo przede wszystkim” — powtarzała sobie, kiedy inni kierowcy trąbili na nią z irytacją.

W sobotę po pracy kilka godzin spędziła na jeździe po okolicznych szosach, żeby poczuć się za kierownicą wystarczająco pewnie. Im więcej jeździła, tym swobodniej się czuła, jednak niezmiennie jeździła irytująco powoli.

- Jeździsz jak stara baba - skomentowała Evalynn następnego ranka, tuż po tym, jak rozpoczęła się ich długa podróż do Millwood.

- Bez seksistowskich tekstów proszę - odparowała Sophie.

- I na dodatek dyskryminujących ludzi starszych! Przykro mi, ale taka jest prawda. Jeśli nie przyspieszysz, zajdziemy tam najwcześniej pod koniec przyszłego tygodnia.

Zacisnąwszy palce na kierownicy, Sophie trochę mocniej wcisnęła pedał gazu, ale nadal pozostawała daleko w tyle za resztą samochodów na jezdni.

Po godzinie jazdy Evalynn zażądała, aby Sophie natychmiast zatrzymała się gdzieś na poboczu, żeby mogły zamienić się miejscami. Sophie przystała na to z wielką chęcią i z wyraźną ulgą

zabrała się do listów z odpowiedziami na ogłoszenie, ulokowana wygodnie i bezpiecznie na miejscu pasażera.

Były mniej więcej w połowie drogi, kiedy zadzwoniła komórka Sophie. Podniosła ją i zobaczyła na wyświetlaczu zdjęcie Garretta.

- Myślisz, że powinnam odebrać? - zapytała.

- Jak chcesz.

- Nie powinnam.

- W porządku.

- Ale z drugiej strony, pewnie będzie dzwonił i dzwonił, aż odbiorę.

Evalynn się roześmiała.

- No dalej, odbierz. Przecież widzę wyraźnie, że chcesz. Sophie zrobiła oburzoną minę i oznajmiła niemal bezgłośnie:

- Wcale że nie! - jednocześnie odbierając telefon. - Halo?

Garrett siedział w salonie w swoim mieszkaniu.

- Cześć, Sophie! Tu Garrett.

- Wiem, że to ty. Czego chcesz? — spytała znudzonym głosem.

- Chciałem tylko sprawdzić, jak przebiega wasza podróż. Bo to dzisiaj, prawda? Mówiłaś, że z kim jedziesz?

- Nie mówiłam ci, z kim jadę - odparła stanowczo.

- No tak, racja — odpowiedział, rozbawiony nieco jej niechęcią do udzielania informacji. - A jak z listami? Zbliżamy się powoli do naszej randki?

- Przeglądam właśnie część z nich - wyjaśniła. - Ale muszę przyznać, że nie wygląda to zbyt dobrze.

- Nie da się ukryć, że świat pełen jest wariatów — zażartował - którzy nie potrafiliby rozpoznać szczęścia, nawet gdyby właśnie rozmawiali z nim przez telefon.

- Hę? A co to ma właściwie znaczyć?

- Tak sobie tylko żartuję. Ale teraz poważnie, ile listów nazbierałaś? Siedemdziesiąt? Osiemdziesiąt?

- Dwanaście - oznajmiła radośnie, wyraźnie z siebie zadowolona. - Ale obecnie mam na kolanach jakieś dwieście kopert, więc może pod wieczór uda nam się dobić do trzynastu.

Garrett znowu się roześmiał. Już-już miał dowcipnie zriposto-wać, kiedy odezwała się Sophie:

- Poczekaj chwileczkę, Garrett. Mam drugi telefon -to powiedziawszy, zawiesiła połączenie. Wróciła po trzydziestu sekundach. - Jesteś jeszcze?

- Tak jest. Telemarketerzy?

- Chciałbyś wiedzieć, co?

- A i owszem.

, - Przykro mi, ale muszę odebrać tamten telefon. Mój rozmówca nie może za długo czekać.

Garrett zacisnął pięść.

— Rozmówca? Jakiś facet? Kto to? !..

— Ma na imię Alex.

W słuchawce zapadło długie milczenie.

— A od jak dawna się znacie?

- Nasze drogi skrzyżowały się zupełnie niedawno, ale od razu między nami zaiskrzyło. To najśłodszy facet na świecie.

Garrett poczuł, że robi mu się gorąco.

- Naprawdę? Ty... spotykasz się z nim? Tak po prostu?

- Co to znaczy „tak po prostu”?

- Sam nie wiem. Wydawało mi się, że zarzekałaś się na wszystkie świętości, że skończyłaś z facetami.

- Przepraszam, Garrett, muszę kończyć. Cześć. I Sophie się rozłączyła.

Lucy McDonald mieszkała na samym końcu piaszczystej drogi, na półhektarowej działce na samych obrzeżach miasteczka. Uroczy domek przywoływał na myśl staromodne wiejskie farmy jeśli jednak kiedykolwiek pracowali tu farmerzy, było to bardzo

dawno temu. Teren wokół budynku porośnięty był dawno nie-koszoną trawą i chwastami. Wzdłuż płotu rosły zaś klony, które potraciły już liście przed zimą. Po czterech godzinach jazdy Evalynn wjechała na podjazd McDonalldów. Kiedy się zatrzymały, Sophie rzuciła okiem na frontowe okna, próbując dostrzec, czy ktoś jest w domu. Serce podskoczyło jej w piersi - w dwóch oknach paliły się światła.

- Chcesz wejść ze mną? - spytała.

- Serio? Jesteś pewna, że jestem ci tam potrzebna? Sophie wzięła głęboki oddech, żeby uspokoić nerwy.

- Szczerze mówiąc, chyba przyda mi się wsparcie. Obydwie wysiadły z samochodu i ruszyły w stronę dużej,

zadaszonej werandy, która okalała budynek z trzech stron. Sophie zadzwoniła do drzwi, chwilę później uchyliły się powoli. Stała w nich niewysoka, lekko zgarbiona staruszka. Uśmiechała się do nich przyjaźnie.

- Dzień dobry, a panie do mnie? - spytała.

- Chyba tak - odparła Sophie. - Czy pani Lucy McDonald?

- Kiedy sprawdzałam ostatnim razem, tak właśnie było - odpowiedziała i mrugnęła łobuzersko. Wypowiadała słowa powoli, ale starannie i wyraźnie. - Czy my się przypadkiem nie znamy?

- Nie, proszę pani.

- Jest pani pewna? Mogłabym przysiąc, że gdzieś już panią widziałam.

- Pomachała kościstym palcem. - Mam doskonałą pamięć do twarzy. Za nic nie jestem w stanie zapamiętać nazwisk, ale twarze... - zamilkła w pół zdania. Oglądała uważnie Sophie: jej włosy, oczy, usta i podbródek, a na koniec wróciła spojrzeniem do jej oczu.

Sophie starała się nie zwracać uwagi na poczynania staruszki.

- Przepraszam za najście, pani McDonald. Mam na imię Sophie. Chciałabym porozmawiać o pani synu, Timie. Czy może mi pani poświęcić kilka minut?

- Tim? Mój Boże... mój kochany Tim. Wie pani, że on nie żyje, prawda?

Sophie się skrzywiła.

- Tak. O tym w pewnym sensie chciałam z panią porozmawiać.

- W takim razie nie stójmy tak na zimnie - zwróciła uwagę starszka. - Wchodźcie, wchodźcie.

Lucy poprowadziła je do przestronnego pokoju, będącego połączeniem salonu i jadalni. W niewielkim kominku trzaskał ogień, dzięki czemu w pokoju było ciepło i przytulnie.

Lucy usiadła ostrożnie w wysokim fotelu, a Evalynn i Sophie razem kawalek dalej, na bordowej sofie w stylu wiktoriańskim, której kolor pokrywał się niemal idealnie z barwą ciemnoczerwonej tapety na ścianach.

- Czy znała pani Timmyego osobiście? - spytała starszka, ale zreflektowała się niemal natychmiast. - Nie, jesteś na to zdecydowanie za młoda.

- Ma pani rację. Nie znam go. Ale widziałam go raz. W dniu wypadku.

Do tej pory z twarzy pani McDonald nie schodził życzliwy uśmiech. Teraz jednak spoważniała i westchnęła ciężko.

- Rozumiem - powiedziała cicho, bardziej do siebie samej niż do Sophie. — W dniu wypadku czy na miejscu wypadku?

Sophie chrząknęła.

- Na miejscu wypadku. Zanim zabrano go do szpitala. Lucy pokiwała w zamyśleniu głową, po czym zwróciła się do Evalynn:

-Ty też? Też tam byłaś i widziałaś mojego Timmyego po wypadku?

Evalynn bez słowa pokręciła przecząco głową.

Lucy przeniosła spojrzenie z powrotem na Sophie i powiedziała:

-Tim był dobrym chłopcem. Miał swoje problemy, jak każdy. Ale był dobrym chłopcem. - Nie przestawała wpatrywać

się w Sophie, ale widać było, że myślami zaczyna błądzić gdzieś w przeszłości. - Do końca życia nie zapomnę dnia, w którym dowiedziałam się, że nie żyje. Dla każdej matki śmierć dziecka jest najstraszniejszą tragedią. Przysięgam, kiedy zadzwonili do mnie ze szpitala z tą wiadomością, sama chciałam umrzeć. - Jej twarz wykrzywił grymas. - Był w szpitalu całe trzy dni, ale nikt się nie pofatygował, żeby zawiadomić mnie wcześniej - wyszeptała, kręcąc z niedowierzaniem głową. - Dlaczego nikt mi nie powiedział? Nic nie wiedziałam o wypadku, dowiedziałam się dopiero po jego śmierci. Odwiedziłabym go przecież. Nie dostałam takiej możliwości. — Lucy otrząsnęła się, zamrugła nerwowo i z powrotem przeniosła swoją uwagę na Sophie.

- Kiedy i gdzie dokładnie go widziałaś? Byłaś świadkiem tego wypadku?

Sophie się skrzywiła.

- Widziałam go z bardzo bliska. Byłam w jednym z samochodów. Po kraksie patrzyłam, jak ratownicy próbują pomóc pani synowi... Wiem, że od tamtego wypadku minęło bardzo dużo czasu, jednak chciałam powiedzieć pani, jak bardzo jest mi przykro, że straciła pani syna, pani McDonald.

Lucy, owszem, była staruszką, jednak niezwykle bystrą staruszką.

- Nie chce mi się wierzyć, że odnalazłaś mnie i jechałaś taki szmat drogi tylko dlatego, że widziałaś mojego syna niedługo przed śmiercią.

- Przekrzywiła głowę lekko na bok i pochyliła się w stronę Sophie. - Nie jestem z tych, co lubią owijanie w bawełnę. Co tak naprawdę chodzi ci po głowie, moja panno?

Sophie spróbowała się uśmiechnąć, ale nie mogła. Wręczyła starszej kobiecie policyjny raport od Ellen.

- Natrafiłam na ten dokument niedawno. To raport z tamtego zdarzenia. Pomyślałam, że chciałaby pani przeczytać oficjalne sprawozdanie z wydarzeń tamtej nocy.

-To bardzo miłe z twojej strony, kochanie. Ale naprawdę nie musiałaś' zadawać sobie tyle trudu. - Wzięła do ręki raport i przejrzała go pobieżnie. Skoncentrowała się na fragmentach poświęconych jej synowi, po czym podniosła wzrok i stwierdziła: - Na moje oko nie ma tu nic więcej poza tym, co wiedziałam już od dawna. Naprawdę przyjechałaś tu tylko po to, żebym mogła zobaczyć ten dokument?

-Tak...

-I to tyle?

— No... niezupełnie. Lucy, nie wiem, jak to pani powiedzieć. Chyba muszę zacząć od tego, że różne są rodzaje wypadków samochodowych. Czasem powodują je uszkodzenia pojazdów, a czasem zła pogoda, jak napisano w tym raporcie. Chodzi mi o to, że okoliczności różnych wypadków nie są nigdy takie same.

Lucy odchyliła się w swoim fotelu.

— Moja droga, przecież mówiłam ci o owijaniu w bawełnę, tak? Skończ z tym, bardzo proszę. Do rzeczy. Kawa na ławę.

Sophie rzuciła Evalynn krótkie spojrzenie. Zaciśnięte wargi i spojrzenie przyjaciółki przekonały ją, by przejść wreszcie do sedna.

— No dobrze. Kawa na ławę. Mimo że wszyscy uznali, że zawiniły złe warunki atmosferyczne, ja wiem, że nie jest to do końca prawda. I chcę opowiedzieć pani, co się rzeczywiście wydarzyło. Tamtej nocy, zanim samochody zderzyły się w ulewnym deszczu, jedna osoba popełniła katastrofalny w skutkach błąd.

Lucy przechyliła głowę na bok.

— Ojej - westchnęła ciężko. — Zawsze zastanawiałam się, czy to nie on był winny tego wypadku. To o tym chciałaś mi powiedzieć?

— Co takiego? Nie, nie, zupełnie nie o to chodzi. Winny był— kto inny. Ktoś, kto do tej pory bardzo żałuje tego, co się stało.

Pani McDonald zmrużyła, oczy i uważnie przyjrzała się Sophie. Domyśliła się, do czego zmierza jej rozmówczyni.

- Proszę, nie mów mi, że uważasz, że to ty jesteś za to odpowiedzialna - powiedziała lekceważąco.

- A-ale - wyjąkała Sophie. - Taka jest prawda.

- Doprawdy? Czy to ty prowadziłaś samochód tamtej nocy?

- Nie, ale...

- Żadnych „ale”. Byłaś wtedy małą dziewczynką. Ile miałaś lat? Sześć? Siedem?

- Dziewięć.

- No więc właśnie. Dziewięciolatka, która nie prowadziła samochodu, nie spowodowała wypadku, koniec kropka. - Uniosła palec wskazujący i pogroziła nim Sophie. - Takie są fakty, więc nawet nie próbuj się ze mną sprzeczać.

-Ale...

- Cisza! Żadnego „ale”! - Opuściła rękę i uśmiechnęła się. - Sophie, oczywiście, że tęsknię za swoim synem. Kochałam go bardzo, tak jak każda matka kocha swoje dziecko. Ale nie możesz dźwigać tego brzemienia przez całe życie. A ja nie winię za to, co się wydarzyło, ani ciebie, ani kogokolwiek innego. To był wypadek, padał deszcz, było ślisko. Koniec dyskusji.

-Ale ja...

- Już cicho — powtórzyła z uśmiechem.

Evalynn zachichotała. Sophie próbowała zachować poważną minę, ale słabo jej to wychodziło.

- Powiem ci teraz - ciągnęła Lucy — że wciąż nie mogę pozbyć się wrażenia, że gdzieś cię już widziałam. Jesteś pewna, że nie spotkałyśmy się wcześniej? — Ponownie uważnie przyjrzała się twarzy Sophie. Ta zaczęła po raz kolejny tłumaczyć, że nigdy wcześniej nie była w Millwood, ani nawet w Spokane, kiedy nagle staruszce zaświeciły się oczy.

- Dobry Boże! Mówiłaś, że jak się nazywasz?

- Sophie.

- Tak, Sophie, a jak masz na nazwisko? Jonas?

- Jones. Sophie Jones.

- Sophie czy Sophia?

Sophie zaczęła nerwowo spoglądać na starszą panią.

- Sophia - odparła powoli. - Ale skąd pani o tym wie?

- Dobry Boże! - powtórzyła Lucy, wyraźnie podekscytowana. - Oczywiście, że cię kiedyś widziałam. Oczywiście! Miałam rację! — to mówiąc, wyciągnęła rękę w kierunku Sophie. - Pomóż mi wstać, kochana, muszę ci coś pokazać.

Sophie i Evalynn równocześnie zerwały się z miejsc, a Sophie delikatnie wzięła Lucy pod ramię. Tak szybko, jak tylko pozwalały jej na to nogi, Lucy poprowadziła je do kuchni. Oparła się o kuchenny blat i wskazała na lodówkę.

- Patrzcie tam.

Sophie i Evalynn przyjrzały się bliżej niezliczonym karteczkom i fotografiom poprzyczepianymi do lodówki magnesikami. Sophie zamarła, kiedy dostrzegła szarozieloną kopertę, ulokowaną na samym środku. Powoli podeszła bliżej.

- Co u diabła... — wyszeptała Evi, kiedy tylko dostrzegła, co przyciągnęło uwagę przyjaciółki.

Sophie odczepiła magnes, który przytrzymał kopertę. Delikatnie musnęła palcami pieczęć z tyłu, z wytłoczonymi gołębicami. Wiedziała doskonale, co zawiera koperta, mimo to otworzyła ją i wyjęła kartkę, na której widniało zdjęcie jej i Garretta, zrobione ponad rok wcześniej. Ich zaproszenie ślubne.

- Kto to pani wysłał? — spytała Sophie urywanym głosem, przetrząsając w pamięci listę gości.

- Cóż, zakładam, że albo ty, albo Garrett - odparła Lucy z iską w oku.

- Ale... dlaczego? Zna pani Garretta? Skąd?

- Sophie, skarbie, ja nie tylko go znam. Jestem jego babcią! Tim McDonald był jego ojcem. Strasznie jest zresztą do niego podobny.

Przerażona Sophie zasłoniła usta dłonią.

- Nie rozmawiamy zbyt często — ciągnęła Lucy. — Ale co roku wysyłam mu kartkę z życzeniami na urodziny, a od czasu do czasu ja również dostaję od niego jakiś list. Informacje o odebraniu dyplomu, o zmianie adresu, tego typu rzeczy. Muszę powiedzieć, że ucieszyłam się jak dziecko, kiedy otrzymałam wasze zaproszenie. Od ładnych paru lat nie miałam od Garretta żadnych wiadomości. Cieszyłam się na myśl o tym, że zobaczę go na ślubie. Potem, gdzieś na tydzień przed ceremonią, zadzwonił i wyjaśnił, że wszystko odwołane. Nie słyszeliśmy się od tamtego czasu.

Sophie miała mętlik w głowie. Garrett bardzo rzadko wspominał o swoim ojcu. Kiedy któregoś razu zapytała o niego, wyjaśnił, że nie było zbyt wiele do opowiadania, ponieważ nigdy nie odgrywał on zbyt znaczącej roli w jego życiu. Nigdy nie rozmawiali też o tym, dlaczego przejął panińskie nazwisko matki zamiast nazwiska ojca. Wracała teraz pamięcią do tych wszystkich chwil, w których Garrett wypytywał ją o wypadek. Pamiętała doskonale konsternację na jego twarzy, kiedy dowiedział się, że jej rodzice zmarli 21 września 1989 roku. To samo zmartwione spojrzenie pojawiło się w jego oczach, kiedy pokazywała mu, gdzie dokładnie miał miejsce wypadek.

Jej twarz była teraz kredowo biała.

- O mój Boże - wyszeptała, kiedy elementy układanki ułożyły się w jej głowie w jedną całość. — On wiedział. Przez cały ten czas.

- Sophie, nie wiesz tego na pewno - wtrąciła Evalynn. Sophie popatrzyła na Lucy, a potem na Ewalynn.

- Wiem. Wiem to na pewno.

Na jej twarzy pojawił się grymas. Poczowała wzbierające mdłości. Wbiła świdrujące spojrzenie w oczy Lucy i wyszeptała:

— Pani McDonald, niech pani mu o tym nie mówi. Proszę mi obiecać, że nie powie pani Garrettowi, że *tu* byłam. Jeśli uznam, że powinien to wiedzieć, chciałabym, żeby dowiedział się ode mnie.

ROZDZIAŁ 30

Im bardziej będziesz się starał działać powoli, tym szybciej dopadnie cię klęska.

Sophie z trudem panowała nad emocjami, kiedy po czterogodzinnej jeździe dotarła wreszcie do mieszkania Ellen i zadzwoniła do drzwi.

— Zapukaj raz, jeśli jesteś przyjacielem, dwa razy, jeśli wrogiem.

Sophie spojrzała z ukosa na Evalynn, zanim trzykrotnie załomotała. Zawahała się, po czym zaczęła walić pięścią w drzwi, aż wreszcie Ellen powoli je uchyliła. Nie zdjęła łańcucha.

- Sophie? Evi? Co wy tu robicie? — zdjęła łańcuch i otworzyła szerzej. - Myślałam, że dziś spędzacie dzień w okolicach Spokane.

- Już wróciliśmy - odpowiedziała Sophie szorstko.

— Ta kobieta, Lucy McDonald, była w domu?

- Och, jak najbardziej - warknęła Sophie. - I miała dla nas małą niespodziankę.

Ellen wyczuła napięcie w głosie przybranej córki.

— Chodź, cukiereczku, siądziemy i porozmawiamy — zaproponowała i wskazała kanapę w salonie. - Powiedz, co cię tak zdenerwowało?

Evalynn nie spodobała się groźna cisza, jaka zapadła po tym Pytaniu, wiedziała jednak, że to rozmowa między Sophie a Ellen, której ona miała być tylko milczącym świadkiem. Patrzyła więc bez słowa i czekała, co powie Sophie.

Jej reakcja była niczym eksplozja.

- jak mogłaś mi nie powiedzieć?! Po tylu latach, po tym wszystkim, zataiłaś przede mną taką informację! Przysięgam, że robi mi się niedobrze. Nie wiem, co powiedzieć, Ellen. To po prostu straszne.

Ellen zrobiła pół kroku w tył.

- Sophie, skarbie, nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Och, proszę cię, daj już sobie spokój. Nie udawaj, że nie wiesz, kim naprawdę jest Lucy McDonald.

- A kim jest? - spytała Ellen.

- Wiedziałaś przedtem, nim Garrett odwołał ślub, czy dowiedziałas się dopiero potem?

- Co takiego?

Zaróżowiona twarz Sophie nagle stała się czerwona.

- O mój Boże! - krzyknęła olśniona. - Pewnie wiedziałaś o tym od samego początku! Zanim jeszcze poszłam z nim na pierwszą randkę! Od zawsze wiedziałam, że uwielbiasz wtrącać się w nasze sprawy, ale tego już naprawdę za wiele!

- Przestań! - wrzasnęła Ellen. - Przestań w tej chwili! Nie mam zupełnie pojęcia, o czym mówisz. I nie pozwolę się tak traktować, dopóki nie wyjaśnisz mi, co takiego straszego twoim zdaniem zrobiłam.

Sophie zacisnęła pięści.

- Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie. I przysięgam, jeśli mnie okłamiesz, nie zobaczysz mnie już nigdy w życiu. Kiedy dowiedziałas się, że Garrett jest synem Tima McDonalda?

Ellen gwałtownie zasłoniła dłonią usta.

- Kierowca furgonetki UPS? To był ojciec Garretta? Sophie i Evalynn wymieniły zdziwione spojrzenia.

- Jak to? To ty nic nie wiedziałaś? - spytała podejrzliwie Sophie.

- Przysięgam na wszystko, nie miałam o tym pojęcia. To znaczy pamiętam, że ktoś wspomniał dawno temu, że kurier UPS

miął syna, ale to wszystko, co wiedziałam o tym mężczyźnie. To starszy sierżant i detektywi zajmowali się tego typu szczegółami. I to oni poinformowali panią McDonald o wypadku. Przysięgam, Sophie, Bóg mi świadkiem, nie miałam pojęcia, że istnieje jakiegokolwiek powiązanie między nim a Garrettem.

Sophie usiadła ciężko na kanapie, po chwili opadła na poduszki, trzymając się za brzuch. Ponownie dopadły ją nudności.

- Ale za to Garrett wszystko wiedział - jęknęła. Ellen usiadła obok niej.

- Jak to?

- Wydaje mi się, że zaczął coś podejrzewać, kiedy zabrałam go na cmentarz i zobaczył na nagrobku datę śmierci moich rodziców. Potem, gdzieś na tydzień przed tym, jak zerwał zaręczyny, pokazałam mu miejsce, w którym doszło do wypadku. Wskazałam nawet dokładnie miejsce, w którym widziałam ratowników klęczących przy kierowcy UPS! Po prostu nie mógł *nie* wiedzieć. Tim zginął, kiedy Garrett miał dwanaście lat, więc z pewnością wiedział przynajmniej, czym zajmował się jego tata i jak i kiedy zmarł. — Zamilkła na chwilę. - Kiedy odkrył, że nasi rodzice zginęli w tym samym wypadku, musiał być w szoku.

Nagle Ellen wydała lekki okrzyk i ponownie zasłoniła usta. Wymamrotała coś niewyraźnie.

- Co mówisz? - spytała Sophie.

Ellen opuściła rękę i powtórzyła to, co powiedziała chwilę wcześniej.

- Garrett przeczytał raport.

Sophie wyprostowała się gwałtownie.

- Co takiego? Kiedy?

- Gdzieś na tydzień przed... Sophie, tak bardzo mi przykro, powinnam powiedzieć ci o tym wcześniej. Którejś nocy przyszedł do mnie i oznajmił, że chciałby go przeczytać, żeby lepiej zrozumieć to, przez co przeszłaś. Wydawało mi się, że to uroczę z jego

strony. Kiedy odwołał ślub, zupełnie nie skojarzyłam tych dwóch faktów. A ja... ja nie chciałam wspominać przy tobie o tym raporcie, dopóki sama nie przyjdiesz do mnie z pytaniami na temat wypadku. Nie chciałam bez wyraźnego powodu rozdrapywać starych ran.

Słowa Ellen zawisły w powietrzu.

Sophie opadła z powrotem na poduszki.

- On wie - zawodziła. - To pewnie dlatego odwołał ślub. W raporcie jest wyraźnie napisane, że najpierw zderzyły się dwa samochody, volvo i furgonetka UPS. Wie, że moja rodzina zabiła jego ojca - jęknęła głośno. - Wie, czyj samochód uderzył pierwszy, deszcz deszczem, wypadek wypadkiem. — Przerwała na chwilę i zgięła się wpół, w obawie, że będzie wymiotować. - Nic dziwnego, że mnie zostawił. Ja na jego miejscu zrobiłabym pewnie to samo.

Ellen delikatnie położyła rękę na jej kolanie.

- Nie, nie zrobiłabyś tego. Porozmawiałbyś z nim o tym. I jakoś byście sobie to wszystko poukładali.

Sophie zaśmiała się gorzko.

-Wątpię. Pomyśl tylko, w jakiej sytuacji się znalazł. Chciałabyś wziąć ślub z kimś, kogo rodzina jest odpowiedzialna za śmierć twojego ojca? I jak w ogóle zacząć o czymś takim rozmowę?

Ellen miała minę, jakby roztrząsała w myślach słowa Sophie. Kiedy się wreszcie odezwała, mówiła swoim łagodnym, matczynym tonem i uśmiechała się ciepło.

- Czy pamiętasz, co powiedziałam po tym, jak Garrett odszedł?

-Tak.

-CO?

-Jakieś bzdury o Bogu, który steruje statkiem, i o tym, że wszystko ma swój cel.

- Dokładnie! Być może to właśnie rozgrywa się w tej chwili na naszych oczach. Jakie jest prawdopodobieństwo zakochania

się w dorosłym życiu w osobie, którą w dzieciństwie dotknęła dokładnie ta sama tragedia?

— Pewnie niewielkie.

— Niewielkie? Jest mikroskopijne. - Po chwili milczenia dodała: - To opatrność zadziałała, skarbie. Ręka boska.

Sophie roześmiała się na tę uwagę. Wiedziała, że Ellen wypowie te słowa prędzej czy później. Zawsze tak mówiła. Ale Sophie nigdy nie wierzyła w jej zapewnienia.

- Musisz z nim porozmawiać - dodała Ellen.

Sophie czuła, że powinna zrobić dokładnie tak, jak sugerowała Ellen, i po prostu porozmawiać o wszystkim z Garrettem. Jakaś część niej chciała to zrobić, wyznać prawdę, tak żeby zamknąć ten etap swojego beznadziejnego, tragicznego życia i zapomnieć o Garrecie. Ale przecież to nie był kolejny nieznamy, z którym miała się zmierzyć, jak Jacob Barnes czy Lucy McDonald. To był chłopiec, który dwadzieścia lat wcześniej stracił ojca. Chłopiec, który wyrósł na mężczyznę, który skradł jej serce. To był *Garrett*.

- Wiem — powiedziała. Czuła, jak po policzkach płyną jej łzy. - Ale nie jestem pewna, czy potrafię.

ROZDZIAŁ 31

Ten, kogo kochasz, jest bliżej, niż myślisz. Nie bądź głupi, lepiej zacznij uciekać.

Przez ponad godzinę Sophie nerwowo chodziła po swoim salonie, co i rusz spoglądając na telefon. Od czasu do czasu podnosiła go, wpatrywała się w niego przez chwilę, po czym odkładała pospiesznie. Uświadomiła sobie nagle, że być może doświadcza właśnie tych samych uczuć, które męczyły Garretta i powstrzymywały go od zadzwonienia przez tyle długich miesięcy. „Czasem życie w kłamstwie jest łatwiejsze niż stawienie czoła prawdzie” - pomyślała. Wreszcie postanowiła: teraz albo nigdy. Chwyciła telefon jednym płynnym ruchem, wcisnęła zieloną słuchawkę i przyłożyła komórkę do ucha. Wysłuchana w kolejne sygnały, starała się zapanować nad oddechem.

A telefon dzwonił. I dzwonił. I nikt nie odbierał. W końcu włączyła się poczta głosowa.

Sophie trzasnęła klapką telefonu, sfrustrowana. „Przecież on zawsze odbiera! Tyle czasu zbieram się na odwagę, a on teraz nie odbiera?”

Ponownie wybrała jego numer. Tym razem odezwał się po czwartym sygnale.

— Sophie?

- Garrett! Przed chwilą próbowałam się dodzwonić. Nie zareagował od razu.

- Ja... nie spodziewałem się twojego telefonu. Czy mogę oddzwonić później? Jestem teraz trochę zajęty.

-Aha... a czym zajęty? Bo chciałam porozmawiać z tobą o czymś dość ważnym. Kolejna pauza.

- Mam kogoś na drugiej linii - powiedział w końcu. Teraz to Sophie potrzebowała chwili, zanim odpowiedziała z pozorną lekkością:

- Ach tak? Sprawy zawodowe?

- Nie, Sophie. Słuchaj, czy mogę oddzwonić do ciebie za jakiś czas? Rozmawiam z nią już od dłuższego czasu, myślę, że powinniśmy skończyć za jakieś dziesięć minut, może kwadrans.

- Z nią? - powtórzyła Sophie, wyraźnie speszona. Garrett po raz kolejny nie mówił nic przez dłuższą chwilę.

- Sophie, oddzwonię. Nie uciekaj nigdzie - to powiedziawszy, rozłączył się.

Sophie spojrzała na cyferki na wyświetlaczu swojego telefonu. „Minuta i trzy sekundy. Tyle czekania i zbierania się w sobie, a on poświęca mi minutę i trzy sekundy?”

Ale to nie ilość czasu martwiła ją najbardziej. Wiedziała, że nie ma do niego żadnego prawa, jednak myśl, że Garrett spędza czas z inną kobietą, nieprzyjemnie ją uwierała. Jak mógł się tak zachować, skoro sprawy między nimi wciąż nie zostały do końca wyjaśnione? Przecież najpierw trzeba zamknąć jeden etap w życiu, żeby wkroczyć w następny. Jak to możliwe, że jeszcze miesiąc temu pojawił się w jej sklepie i zapewniał ją o swojej dozgonnej miłości, a teraz zakochał się już w kimś innym?

Była zła na siebie za to poczucie, że utraciła coś bardzo ważnego, mimo że, teoretycznie, straciła to przecież ponad rok wcześniej.

Sophie zamknęła komórkę i cisnęła ją na kanapę, po czym usiadła obok.

Niemal dokładnie dziesięć minut później telefon zadzwonił. Odebrała natychmiast.

— Musimy porozmawiać - oznajmiła Sophie szorstko, nie tracąc czasu na powitania. Nie chciała wcale zabrzmieć nieprzyjemnie, ale na samą myśl o tym, że właśnie skończył rozmawiać, ba, może nawet flirtować z inną kobietą, nie mogła się powstrzymać.

— Tak zakładam - odpowiedział ze śmiechem. - Po co miałabyś dzwonić, gdybyś nie chciała porozmawiać?

— Śmieszne. Ale chodzi mi o to, że... *musimy porozmawiać*. To znaczy zgadzam się na spotkanie, na które tyle czasu nalegałeś. Doszłam do wniosku, że nie ma sensu dłużej czekać. Chcę usłyszeć wszystko, co masz mi do powiedzenia.

Garrett odezwał się łagodnym głosem.

— Masz na myśli rozmowę w trakcie randki? -Tak.

Zaśmiał się ponownie, tym razem głośniejsze.

— O rany, czyżbym wyczuwał u ciebie nutkę zazdrości? Dopiero co powiedziałem, że rozmawiam z inną kobietą, a ty już postanawiasz zgodzić się na spotkanie?

-To nie ma z tym nic wspólnego - odparła stanowczo. - Ja... po prostu musimy porozmawiać. Zapomnij o naszym układzie. Jest nieważny. Zresztą to był głupi pomysł. Po prostu spotkajmy się gdzieś, gdzie będziemy mogli usiąść i pogadać. To wcale nie musi być randka. Jeśli o mnie chodzi, możesz nawet przyjechać tutaj, do mnie. Po prostu... musimy porozmawiać. Twarzą w twarz.

— Hmm - mruknął w zamyśleniu. - Nie wiem, czy kobieta, z którą rozmawiałem, byłaby zachwycona tym pomysłem. Może mógłbym przyprowadzić ją ze sobą?

Czy on z rozmysłem próbuje ją zdenerwować?

— Absolutnie nie!

— W takim razie sam już nie wiem, Sophie, sam nie wiem-Nie jestem pewien, czy powinniśmy.

Sophie nie mogła uwierzyć w to, co słyszy.

— Ale przecież jeszcze miesiąc temu błagałeś mnie, żebyśmy się spotkali i porozmawiali.

— Wiem — odpowiedział spokojnie. - I nadal chętnie tak zrobię. Ale jeszcze nie teraz. Wiesz, w końcu zawarliśmy pewien układ, zamieściliśmy ogłoszenie. Trzymajmy się pierwotnego planu, spotkamy się, kiedy tylko uda ci się zebrać sto satysfakcjonujących cię odpowiedzi.

— Czy ty mówisz serio?

— Oczywiście. A dlaczego miałbym żartować? - Zamilkł na chwilę. - Wiesz, masz w końcu tysiące listów, na pewno z nich coś wybierzesz. A ja chciałbym tylko, żebyś przyznała wreszcie, że prawdziwe szczęście istnieje. Pogadamy więc, kiedy pokażesz mi sto listów o szczęściu.

Sophie poczuła rumieniec buchający jej na twarz. Nie tak wyobrażała sobie tę rozmowę. Czy to przez tę kobietę wydawał się nagle mniej zainteresowany spotkaniem z Sophie? Była zła na siebie, że w ogóle się tym przejmowała. I jeszcze ta jego stanowczość: „Przyznaj, że szczęście istnieje”. A ona chciała tylko ostatecznie zamknąć ich relację i wyznać, że rozumie, dlaczego od niej odszedł.

To było dla niej zbyt wiele. Zganiła samą siebie za to, że posłuchała Ellen.

— Jak chcesz. Zapomnij o tym, co powiedziałam. Nie musimy rozmawiać. Chciałam zrobić ci przysługę, ale już nieważne.

— Dobrze się czujesz, Sophie? Masz dziwny głos.

— Czuję się świetnie - skłamała. — Do widzenia, Garrett. Sophie zatrzasnęła kłapkę telefonu i po raz drugi rzuciła

go na kanapę, po czym sama zaległa obok niego i dała upust swoim emocjom. Po raz pierwszy od dnia, w którym Garrett odwołał ślub, jej płacz nie miał nic wspólnego ze złością, urazą ani żalem o to, co jej zrobił. Były to raczej łzy wywołane nagłym

poczuciem straty: w życiu Garretta była już inna kobieta. I Sophie nic z tym nie mogła zrobić.

Garrett siedział sam w swoim mieszkaniu w Tacomie. Był sfrustrowany, że jego rozmowa z Sophie nie przebiegła tak, jakby tego chciał. Z całej siły cisnął swój telefon w stronę kamiennego kominka. Aparat roztrzaskał się na kawałki.

Nic go to jednak nie obchodziło.

ROZDZIAŁ 32

Jakakolwiek by była twoja przeszłość, przyszłość maluje się w ciemnych barwach.

Sophie przez całą noc przewracała się z boku na bok. Jej sny wypełniała wizja Garretta gruchającego przez telefon z armią anonimowych kobiet. Co pewien czas budziła się zlna zimnym potem. Za trzecim razem doszła do wniosku, że nie ma sensu kłaść się z powrotem spać. Wygrzebała się więc z łóżka i poszła szykować się do pracy.

Kiedy godzinę później pojawiła się w Chocolat' de Soph i rozpoczęła codzienne czynności, ze zdziwieniem odkryła, że przygotowywanie wróżb do ciasteczek idzie jej o wiele łatwiej niż zwykle. Mniej zaskoczył ją fakt, że w większości dotyczyły dziś one problemów sercowych. Jej ostatnia wiadomość przeznaczona była specjalnie dla Garretta:

- „Jasne, w morzu pełno jest innych atrakcyjnych ryb” - przeczytała na głos, żeby upewnić się, że udało jej się uchwycić swoje obecne uczucia. — „Niestety, pływasz w płytkim stawie... pełnym piranii”.

Z krzywym uśmiechem wsunęła wróżbę do pustego ciasteczka. „A żeby go zjadła żywcem”.

Niedługo po otwarciu sklepu, ale jeszcze zanim pojawili się pierwsi klienci, zadzwonił sklepowy telefon Sophie.

- Chocolat' de Soph, w czym mogę pomóc?

- Sophie? - zapytał znajomo brzmiący głos. - To ty czy to ktoś inny?
- Alex? Dlaczego nie dzwonisz do mnie na komórkę?
- Bo jesteś w pracy i pomyślałem, że może nie odbierzesz w pracy. U nas na przykład szef nie pozwala nam rozmawiać przez komórki w czasie pracy i pomyślałem, że może twój szef też ci nie pozwala.

Na sam dźwięk jego głosu Sophie uspokoiła się i złagodniała. Uśmiechnęła się bezwiednie.

- Na szczęście tutaj ja jestem szefem. Ale doceniam twoją troskę. Jak się miewasz? Nie powinieneś być teraz w pracy?

- Mam przerwę. Jak mam przerwę, mogę dzwonić, do kogo chcę. Więc wyszukałem numer telefonu twojego sklepu w książce telefonicznej. ,

- Rozumiem. A w jakiej sprawie dzwonisz?

Usłyszała, jak Alex stuka w słuchawkę, próbując przypomnieć sobie, dlaczego zadzwonił.

- A, tak, już pamiętam. Znalazłem coś.

- A co takiego?

- List.

Sophie przez chwilę w milczeniu zbierała myśli.

- Od twojego taty?

- Mhm. Do ciebie. Kolejna pauza.

- Sophie? Odkasznęła krótko.

- Jesteś pewien, że jest przeznaczony dla mnie?

- Mhm. Jest na nim twoje imię i nazwisko. Sophia Jones. I twój adres. A na wierzchu jest jeszcze wiadomość dla mnie, że jeśli znajdę ten list, mam go do ciebie wysłać. Ta wiadomość jest na takiej żółtej karteczce, którą się przylepia. I na liście są już nawet znaczki.

- A gdzie go znalazłeś?

- *Zabić drozda.*

- W książce?

- Mhm. Mogłem wcześniej na to wpaść. Moim ulubionym pokojem jest moja sypialnia, ale moim ulubionym miejscem jest właśnie ta książka. Bardzo lubię jej szczęśliwe zakończenie. I bardzo, bardzo podoba mi się przezwisko Boo. Czytam tę książkę przynajmniej raz do roku. Tata o tym wiedział. To dlatego włożył do niej list.

- O rany... przeczytałeś ten list?

- Nie. Koperta jest zamknięta. Chcesz, żebym ci go przesłał? - Zamilkł na chwilę. - Albo może... sama po niego przyjedziesz?

Sophie rozważała przez chwilę obie możliwości. Z jednej strony chciała zobaczyć się z Alexem, z drugiej nie była pewna, kiedy uda jej się znaleźć czas, żeby do niego pojechać. Poczta byłoby pewnie szybciej. Poza tym miała na głowie dużo innych spraw, którymi musiała się zająć.

- Sophie?

- Przepraszam, Alex - odpowiedziała. - Obawiam się, że w tym tygodniu nie uda mi się do ciebie przyjechać. Możesz wysłać mi ten list pocztą?

- W porządku - powiedział. Sophie wyraźnie słyszała rozczarowanie w jego głosie.

- Ale obiecuję, że cię niedługo odwiedzę - dodała szybko. - I jak tylko trochę się u mnie uspokoi.

— Sophie? — odezwał się Alex po kilku sekundach. — Czy udało ci się odnaleźć szczęście?

- Niestety, nie — westchnęła ciężko.

- A dużo przyszło listów z ogłoszenia?

- Mnóstwo. Ale nie ma takich, które wydawałyby mi się naprawdę szczęśliwe.

- Tak myślałem. Mimo że nie widzę twojej twarzy, słyszę, że twój głos jest mniej radosny niż ostatnio.

- Jesteś bardzo spostrzegawczy, Alex. Ale nawet jeśli nie brzmię zbyt radośnie, możesz mi wierzyć, że w głębi serca uśmiecham się szeroko, kiedy z tobą rozmawiam.

Po długiej chwili milczenia odezwał się Alex.

- Sophie?

- Tak?

- Moja przerwa już się skończyła, Sophie. Pożegnał się, a potem rozłączył.

ROZDZIAŁ 33

Granica między sukcesem i porażką jest bardzo cienka. . Ty, zdaje się, właśnie ją przekroczyłeś.

Sophie nerwowo zerknęła na zegar na ścianie, a jednocześnie podała klientowi jabłko na patyku, zanurzone w smakowitej mieszance białej i mlecznej czekolady, karmelu, posiekanych orzechów i pokruszonych ciasteczek.

- Przepiękne - wyszeptał pełen podziwu i z niecierpliwością przełknął ślinę.

Sophie spojrzała jeszcze na zegarek na ręku, żeby upewnić się, że ten naścienny chodzi prawidłowo. Według obydwu źródeł było pięć minut przed piątą, co z kolei oznaczało, że listonosz spóźniał się już ewidentnie. Zazwyczaj nie miało to dla niej znaczenia — poczta oznaczała tylko kolejne rachunki do zapłacenia, jednak tym razem minęły już trzy dni od jej ostatniej rozmowy z Alexem. Z każdą chwilą Sophie była coraz bardziej zaciekawiona - i zdenerwowana - na myśl o tym, co też zawiera list od Jacoba Barnesesa.

Jacob był jedyną osobą uczestniczącą w wypadku, która mogłaby mieć jakiegokolwiek pojęcie o udziale Sophie w tej tragedii. Oczywiście było również, że ich krótka rozmowa na krawężniku odcisnęła na nim jakieś piętno, skoro przez tyle lat ją pamiętał - pamiętał ją aż do swojej śmierci. Mimo że opiekunka Alexa zapewniała, że Jacob nie żywił wobec Sophie żadnych

złych uczuć, ta zamartwiała się wciąż myślą, że może Meredith nie miała wcale racji. Z jakiego innego powodu pisałby do niej list? Musiał ją za coś winić lub o coś oskarżać - ta myśl dręczyła ją bez przerwy.

- Radziłabym nie zjadać całego od razu - powiedziała Sophie do klienta, który wychodził właśnie ze swoim jabłkiem w ręku. - Chyba że z kimś się pan podzieli.

- Żartuje pani? — odparował z szerokim uśmiechem. — Przecież to jabłko. Praktycznie zdrowa żywność. Nie, nie, to cudenka jest całe moje i tylko moje - z tymi słowami podniósł jabłko do ust i ugryzł pierwszy kęs. Opuścił sklepik z wyrazem głębokiego zadowolenia na twarzy.

Dziesięć minut później pod sklepem pojawił się wreszcie listonosz i wrzucił pocztę do skrzynki na drzwiach. Sophie najchętniej pobiegłaby od razu sprawdzić, czy jest tam list od Jacoba, niestety, musiała uporać się wcześniej z rodziną z piątką dzieci, która domagała się degustacji każdej możliwej czekoladki przed podjęciem ostatecznej decyzji. Zanim cała siódemka dokonała wyboru, trzech kolejnych klientów czekało już w kolejce. Sophie westchnęła ciężko. Nawet jeśli w skrzynce leżał list od Jacoba, musiał na nią poczekać.

Niedługo później w sklepie pojawił się Randy i wyciągnął ze skrzynki całą pocztę, w trakcie gdy Sophie zajęta była rozmową z osiemdziesięcioletnią staruszką, która nie przestawała trajkotać o tym, jak zachwycone będą jej prawnuczki, kiedy na Boże Narodzenie znajdą miętowe trufle w skarpetach z prezentami.

-Ale święta są przecież... dopiero za dwa miesiące - zauważyła Sophie. — Lepiej chyba wrócić po trochę świeższe, tuż przed świętami?

Staruszka zadarła nos do góry i machnęła lekceważąco ręką.

- Bzdury, moja droga. Teraz są najlepsze przeceny, przed bożonarodzeniowym szaleństwem. Po prostu włożę trufle do zamrażarki. Dzieciaki się przecież nie zorientują.

Sophie uznała, że nie warto wyjaśniać staruszce, że trufle nie były wcale przecenione.

- W takim razie... wesołych świąt!

Kobieta uśmiechnęła się do niej radośnie i pomachała na do widzenia.

- Randy? - zawołała Sophie, kiedy sklep opustoszał. - Gdzie położyłeś pocztę? - spytała, a jednocześnie wyjrzała przez okno na zatłoczoną ulicę. Nagle zauważyła, że pod sklep podjeżdża znajomy mercedes.

- Jasny gwint — mruknęła. Błyskawicznie schowała się na zapleczu, zdjęła fartuch i rzuciła go na brudny blat kuchenny.

- Randy, wychodzę dziś wcześniej. Gdzie jest poczta? Randy spojrzał na nią znad kadzi z masą ciągutkową.

- Na twoim biurku, tak jak mówiłem. - Przechylił głowę i spojrzał na nią uważnie. - Wszystko w porządku?

- Jasne - skłamała. - Ale jeśli *pewna osoba* pojawi się tu w ciągu najbliższych trzydziestu sekund, będziesz musiał grać na zwłokę i zagadać ją, żebym miała czas ulotnić się tylnym wyjściem.

Garrett zaprzętał jej głowę, odkąd dowiedziała się, że widywał się - a w każdym razie *rozmawiał*— z jakąś kobietą. Jak on śmiał? Najpierw męczył ją o spotkanie, a potem, kiedy zadzwoniła do niego i chciała dać mu szansę, on ją odrzucił! Nie, z pewnością nic nie było tu w porządku. Sophie była sfrustrowana, poirytowana, może i trochę zazdrosna. Ale już zupełnie nie potrafiła znaleźć słów na to, co czuła, kiedy dowiedziała się prawdy o jego ojcu! Zarówno w sercu, jak i w głowie miała taki mętlik, że ostatnią rzeczą na świecie, na jaką miała ochotę, była rozmowa z Garrettem twarzą w twarz.

Randy kiwnął w odpowiedzi głową, a potem udał się w stronę kasy. Sophie popędziła do biura, narzuciła płaszcz i zaczęła przeglądać pocztę, kiedy usłyszała dzwoneczek u frontowych drzwi.

- Cześć, Randy - dał się słyszeć głos Garretta.

— Siema, stary.

- Jest może Sophie?

Sophie zamarła bez ruchu i zaczęła nasłuchiwać. Po długiej pauzie Randy odpowiedział:

— Yyy... może? To znaczy była, ale teraz... nie jestem pewien. To znaczy... tak, niby tutaj jest, ale... jest właśnie w ubikacji... czy coś takiego.

- Aha - skomentował Garrett dyplomatycznie. - W takim razie poczekam.

Sophie uśmiechnęła się, zadowolona, że dał się nabrać na niezdarne kłamstewko Randyego. Starając się robić jak najmniej hałasu, przejrzała resztę listów. Ten od Jacoba Barnes'a był przedostatni. Odłożyła pozostałe koperty na biurko, chwyciła torebkę i parasol, po czym po cichu, na palcach, wyszła przez tylne drzwi. Mimo że w dalszym ciągu najczęściej wybierała autobus, uznała, że posiadanie samochodu i jeżdżenie nim do pracy ma swoje zalety - na przykład możliwość pospania nieco dłużej. Właśnie tego ranka potrzebowała paru chwil dłużej, żeby się dobudzić, dlatego trasę z Gig Harbor do Tacoma pokonała swoim wysłużonym explorerem, którego zostawiła potem na parkingu dwie przecznice od Chocolat' de Soph.

Otworzyła parasol i ruszyła szybkim krokiem w tamtym kierunku. Zanim tam dotarła, znalazła wreszcie swój samochód, zaparkowany na czwartym poziomie, i zapłaciła za całonocny postój, upłynęło tyle czasu, że uznała, iż Garrett dawno już opuścił jej sklep. Jeśli nie, musiał się już poważnie martwić o jej stan w związku z przedłużającą się wizytą w łazience.

Wyjechała na ulicę i wzięła ostry zakręt w prawo, a potem, na następnych światłach, w lewo. Już po kilku minutach znajdowała się na drodze szybkiego ruchu, prowadzącej w stronę domu. W deszczowe dni takie jak ten starała się nie przekraczać siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Jak zwykle

mnóstwo kierowców irytowało jej powolne tempo. Niektórzy trąbili jak opętani, inni, mniej uprzejmi, pokazywali jej środkowy palec. Ignorowała ich wszystkich. Sophie była tuż przed mostem, kiedy jeden z samochodów na sąsiednim pasie zwolnił dokładnie na jej wysokości, najwyraźniej tak, żeby kierowca mógł dojrzeć, kto siedzi za kierownicą ślimaczącego się explorera.

W przeciwieństwie do pozostałych samochodów, ten nie minął jej po chwili. Utrzymał to samo tempo co ona. Sophie była pewna, że kierowca się na nią gapi, ale postanowiła nie odwracać głowy w jego stronę - bała się spuścić wzrok z mokrej drogi. Jechała więc dalej.

Kilka chwil później rozdzwoniła się jej komórka. Samochód wypełniła melodia nowego dzwonka przypisanego Garrettowi: „Doñt break my heart, my achy breaky heart...”. Najwyraźniej zorientował się wreszcie, że Sophie nie była wcale w łazience. Jednak nawet gdyby akurat nie prowadziła, Sophie i tak nie miałyby zamiaru odbierać tego telefonu. Nie miała Garrettowi nic do powiedzenia.

Po chwili telefon odezwał się ponownie. Sophie zastanawiała się, ile jeszcze razy Garrett będzie dzwonił, zanim wreszcie pojmie aluzję. Żałowała, że nie może zdjąć rąk z kierownicy, żeby wygrzebać komórkę z torebki i wyciszyć dźwięk. Kiedy melodyjka zamilkła po raz drugi, kierowca jadącego obok niej samochodu zaczął gwałtownie trąbić. Nie przestawał przez całe piętnaście sekund. "Wreszcie dźwięk stał się tak irytujący, że Sophie zerknęła na niego kątem oka.

Na widok twarzy Garretta natychmiast wpadła w panikę. Wydała z siebie lekki okrzyk zaskoczenia, a jednocześnie odruchowo nacisnęła pedał gazu, tak że samochód nagle przyspieszył. To dodatkowo ją wystraszyło, i instynktownie wcisnęła teraz hamulec.

I od tego momentu wszystko potoczyło się nie tak.

Jadący za Sophie mężczyzna, który od trzech kilometrów włókł się za nią, bo nikt nie chciał go przepuścić, również przyspieszył, kiedy tylko nacisnęła pedał gazu. Tylko że kiedy ona gwałtownie zahamowała, on przyspieszał nadal.

Sophie poczuła, że jej samochód szarpnął nienaturalnie, kiedy została uderzona w tył. Po chwili ślizgała się po drodze bez żadnej kontroli nad pojazdem. Opony piszczały, serce Sophie waliło jak oszalałe, a z gardła wydobywał się wrzask przerażenia. Jej explorer w poślizgu wpadł na pas Garretta, ale to nie miało znaczenia: on, ponieważ widział już wcześniej, co się dzieje, również gwałtownie nacisnął hamulec, co spowodowało kolejną kolizję, z samochodem jadącym za nim. Osiem innych pojazdów, które jechały w pobliżu, zaczęło wpadać na siebie. Doszło do jednego wielkiego karambolu.

ROZDZIAŁ 34

Nie otwieraj przed innymi serca, nawet odrobinę — będzie boleć.

Kiedy Garrettowi udało się wreszcie zatrzymać samochód, myślał tylko o Sophie. Jej samochód zatrzymał się trzydzieści metrów dalej, tuż przed wjazdem na most, zaklinowany między innym samochodem a barierką. Garrett rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy uda mu się bezpiecznie wysiąść, po czym z rozmachem otworzył drzwi i co sił pobiegł w kierunku Sophie.

Drzwi pasażera były odblokowane. Otworzył je. Sophie siedziała skulona za kierownicą, oparta o sflaczałą poduszkę powietrzną. Twarz schowała w dłoniach.

Garrett odetchnął z ulgą. Nie była poważnie ranna, przynajmniej nic na to nie wskazywało.

- Sophie, wszystko w porządku?

Nie podniosła głowy. Nie chciała, żeby widział jej łzy. Silnik pojazdu wciąż pracował, Garrett wsiadł więc do samochodu i przekręcił kluczyk. Sophie nie przestawała płakać. Nie zwracała na niego najmniejszej uwagi.

- Sophie?

Nie wiedział, co innego zrobić, i delikatnie położył rękę na jej plecach. Wzdrygnęła się nerwowo, po czym odsłoniła twarz i usiadła wyprostowana. Otarła łzy wierzchem dłoni.

- Wszystko w porządku, nic mi nie jest - powiedziała wreszcie.

- Na pewno?

Przytaknęła. ? Garrett odwrócił się i wyjrzał przez okno.

-Słuchaj, powinienem sprawdzić, czy nikomu nic się nie stało. Poczekasz tutaj na mnie przez chwilę?

- Nie... pójdę z tobą. Muszę... zobaczyć, co się przeze mnie stało.

Garrett pomógł jej wysiąść i razem zaczęli pospiesznie krążyć od samochodu do samochodu w poszukiwaniu rannych. Jednak większość ludzi zebrała się już na poboczu i próbowała ustalić, co się właściwie wydarzyło. Jeden mężczyzna, około pięćdziesiątki, narzekał na niewielki ból pleców, z kolei jakaś kobieta w garsonce miała na czole wielkiego guza od uderzenia głową w kierownicę. Pozostali wydawali się cali i zdrowi. Kiedy upewnili się, że nikt nie wymaga natychmiastowej *pomocy* lekarskiej, Sophie i Garrett wrócili do explorera, żeby schować się przed deszczem.

- Przynajmniej nikomu nic się nie stało - zauważył Garrett, kiedy już siedzieli w środku.

Sophie bez słowa patrzyła przed siebie. Wydawało się, że jej wzrok skupiony jest na punkcie po drugiej stronie rzeki, tam, gdzie kiedyś zaprowadziła Garretta po wizycie na cmentarzu. W żaden sposób nie zareagowała na jego słowa.

- Sophie? Wszystko w porządku? — spytał i delikatnie dotknął jej ramienia.

Kiedy wreszcie zdecydowała się mówić, jej ton był płaczliwy, a zdania urywane.

- Dlaczego... mi... nie powiedziałaś?

- Czego ci nie powiedziałem?

Sophie była na granicy wytrzymałości. Przez cały rok musiała radzić sobie z ich rozstaniem, nie wiedząc nawet, z jakiego powodu Garrett ją porzucił. Wcześniej przez dziewiętnaście lat

przygniatała ją myśl o stracie rodziny, myśl, która niezmiennie tłumiała wszelkie jej nadzieje na to, że kiedykolwiek będzie szczęśliwa. A co najgorsze, teraz się okazało, że dwie największe tragedie jej życia były ze sobą ściśle powiązane. Dodatkowy stres związany z wypadkiem, który właśnie spowodowała, sprawił, że w Sophie coś pękło. Emocje wybuchły ze zdwojoną siłą.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - powtórzyła, tym razem donośniej. Zaczęła rozpaczliwie szlochać i walić go w nogę otwartą dłonią. - Wiedziałaś! Nie miałaś prawa trzymać tych informacji dla siebie. Powinieneś mi powiedzieć! Nie zasłużyłam na takie traktowanie.

Jego mina dobitnie świadczyła o tym, że nie takie słowa spodziewał się usłyszeć tuż po wypadku z udziałem dziesięciu samochodów. Chwycił Sophie za rękę, żeby powstrzymać jej kolejne uderzenia. Delikatnie splótł ich palce i przyciągnął do siebie jej dłoń.

- Sophie - wyszeptał miękko. - Co powinienem ci powiedzieć? Powiem ci, co tylko chcesz.

Niespodziewanie za szybą od strony Sophie pojawił się mężczyzna z telefonem komórkowym przy uchu.

- Jesteście cali? - zawołał.

Garrett przytaknął. Mężczyzna uniósł kciuk w geście zadowolenia.

- Super! - jego głos był na tyle donośny, że bez problemu słyhać go było przez zamknięte drzwi. — Wygląda na to, że samochody jechały tak wolno, że nikt nie ma żadnych poważniejszych obrażeń. Mieliście wszyscy szczęście! - to powiedziawszy, pomachał im na do widzenia, po czym ruszył w stronę samochodu Garretta, żeby pomóc rozładować tworzący się tam korek i odpowiednio przekierowywać ruch.

- Szczęście - wymamrotała Sophie. Pociągnęła nosem. - Tak, rzeczywiście, wielkie szczęście.

Z oddali zaczął już dobiegać dźwięk syren, ale Garrett to zignorował. Delikatnie ścisnął jej dłoń.

- Sophie, porozmawiaj ze mną. O czym wiedziałem? Co powinienem ci powiedzieć?

Sophie rzuciła mu złowrogie spojrzenie i zaśmiała się krótko, po czym wyswobodziła rękę z jego uścisku i nerwowo zatknęła za ucho pasmo włosów.

- Och, nie wiem, doprawdy - odparła sarkastycznym tonem.

- Może przesadzam. Może niepotrzebnie wyolbrzymiam sprawę i to ty miałaś rację, że nigdy mi o tym nie wspomniałeś. — Z oczu ponownie trysnęły jej łzy, a emocje wezbrały w niej z nową siłą.

- A może po prostu - warknęła - nie wiedziałeś, jak mi powiedzieć, że napawa cię obrzydzeniem fakt, że moja rodzina zabiła twojego ojca!

Garrett zbladł jak ściana, a jego dolna warga zadrżała.

- Skąd o tym wiesz?

- A więc to prawda! — wrzasnęła, jednocześnie zła, smutna i zawstydzona. - A wiesz co? Nawet nie znasz całej prawdy! Moi rodzice i moja babcia byli takimi samymi ofiarami jak twój ojciec, Garrett. To *ja* spowodowałam wypadek! Więc jeśli chcesz kogoś obwiniać, winna siedzi właśnie obok ciebie.

- Co takiego? To nieprawda.

- Tak. — Sophie mówiła teraz głuchym szeptem, chowając twarz w dłoniach. - Niestety, to prawda. Bez względu na to, co wszyscy mówią, bez względu na to, ile razy będą mi powtarzać, że to nie moja wina i że mi wybaczą, fakty pozostają faktami. Byłam wystarczająco duża, powinnam być rozsądniejsza. A ja myślałam tylko o tym, czego chciałam. Gdyby nie ja, moi rodzice wciąż by żyli. Podobnie jak twój tata.

W głosie Garretta słychać było wzburzenie.

- Sophie... jak to? Naprawdę przez te wszystkie lata myślałaś, że ten wypadek wydarzył się z twojej winy?

- Tak było - naciskała.

- Nie! Wcale nie! I gdybym chociaż przez chwilę przypuszczał, że obarczysz się winą za tamte wydarzenia, od razu powiedziałbym ci, że wiem o wypadku. Nawet gdybyś myślała, że to twoi rodzice zawinili, zrobiłbym wszystko, żeby wyprowadzić cię z błędu.

- Nie ma żadnego błędu, Garrett. Byłam tam. Wiem, co się wydarzyło! I wierz mi, pewnych rzeczy nie wyczytasz z policyjnego raportu!

Siedział bez słowa, niespokojny.

- To samo mógłbym powiedzieć tobie - powiedział wreszcie. Sophie rzuciła mu pytające spojrzenie. Na miejsce wypadku przyjechały już pierwsze samochody policyjne.

- O czym ty mówisz? — spytała, ale jej słowa utonęły w donośnych dźwiękach syren.

Garrett spojrział przez ramię i zobaczył, że policja zatrzymuje się na jezdni między jego mercedesem a samochodem Sophie. Wiedział, że zaraz zostaną zasypani pytaniami. Jedna z policjantek zdążyła już wysiąść i zaglądała teraz przez szybę do wnętrza jego samochodu.

-Wszystko ci wyjaśnię, kiedy tylko uporamy się... z tym zamieszaniem — obiecał, wskazując na szereg pojazdów za nimi. — Muszę iść znaleźć moje dokumenty ubezpieczeniowe.

Czy to ze względu na deszcz, zimno, czy też kilkukilometrowy 'korek' tworzący się w nadchodzących godzinach szczytu, dość, - że wszyscy nadzwyczaj sprawnie i szybko starali się usunąć wszelkie utrudnienia. Pojazdy holownicze pojawiły się w ciągu dziesięciu minut i zaczęły odprowadzać uszkodzone samochody na pobocze. Potężna policjantka przez niecałe dwie minuty wypytywała Garretta o to, co w ogóle spowodowało karambol. Zdążył tylko pokrótce opowiedzieć jej, co widział, kiedy przerwała mu:

- Dobrze, do rzeczy. Czy pana zdaniem któryś z kierowców wykazał się nieostrożnością?

- Nieostrożnością? Nie. Raczej nadmierną ostrożnością — odpowiedział, tłumiąc chichot na myśl o Sophie ściskającej nerwowo kierownicę przy prędkości siedemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Kiedy tylko policjantka skończyła z nim rozmowę, nadjechała pomoc drogowa i odholowała jego samochód. Kobieta ruszyła teraz w stronę Sophie, która stała obok swojego samochodu, schowana pod parasolem. Garrett podążył za nią i przysłuchiwał się, jak Sophie odpowiada na te same pytania, które on przed chwilą usłyszał. Musiał ugryźć się w język, żeby nic nie powiedzieć, kiedy jego uszu dobiegły słowa Sophie:

- To wszystko moja wina, proszę pani. Jak zwykle.

Policjantka rzuciła jej rozbawione spojrzenie.

- Ale przecież prowadziła pani z dozwoloną prędkością, zgadza się?

-Tak.

- I została pani uderzona od tyłu, tak? Sophie przytaknęła.

- W związku z tym, zgodnie z prawem, nie jest to pani wina. -Ale...

- Żadnych „ale” - przerwała jej, zanim Sophie zdążyła zaprotestować.

- Proszę pani, jest za zimno, żeby wdawać się teraz w jakieś dyskusje. Jeśli ma pani w samochodzie coś wartościowego, proszę to teraz zabrać. Czy ktoś po panią przyjedzie?

Sophie zaczęła kręcić głową, ale wtedy wtrącił się Garrett, który również usłyszał to pytanie.

- Ja cię zawiozę - zaproponował. - Samochód z ubezpieczalni jest już w drodze.

Kiwnęła tylko głową.

Policjantka oddaliła się w kierunku następnego samochodu, a Garrett schował się pod parasolem Sophie. Stali w milczeniu

na poboczu i obserwowali, jak pracownicy pomocy drogowej zaczepiają hak holowniczy i powoli unoszą samochód Sophie. Zaczęli już odjeżdżać, kiedy nagle Sophie uświadomiła sobie, że zostawiła tam coś ważnego.

- List! - krzyknęła, wcisnęła Garrettowi parasol i ruszyła biegiem w kierunku holownika. - Stać!

Kierowca nie usłyszał jej wprawdzie, ale w porę zauważył jej sylwetkę w bocznym lusterku i zahamował, zanim na dobre się rozpedził. Ze względów bezpieczeństwa nie pozwolił jej wsiąść do odholowywanego samochodu, ale kiedy zobaczył, jak jest zdesperowana, sam wysiadł i odzyskał list. Podziękowała mu serdecznie i truchtem wróciła do Garretta.

- O co tam chodziło? - spytał. Wahala się przez chwilę, ale doszła do wniosku, że nie będzie mu na razie niczego wyjaśniać. Przynajmniej dopóki nie skończą swojej rozmowy sprzed dwudziestu minut.

- Nic takiego — odpowiedziała. — Jak myślisz, ile potrwa, zanim przyjedzie twój samochód zastępczy.

- Nie mam pojęcia. Piętnaście minut? Może i dłużej, biorąc pod uwagę korki.

Sophie ściągnęła usta i stwierdziła:

-To świetnie. Mamy mnóstwo czasu, żeby skończyć naszą wcześniejszą rozmowę. O czym to mówiłeś? Jego twarz wykrzywił grymas.

- Wierz mi, bardzo chcę ci wszystko opowiedzieć. Ale zanim to zrobię, czy mogę zadać ci jedno pytanie?

- Być może - odpowiedziała, przechylając głowę na bok. -W jaki sposób dowiedziałas się, że mój ojciec brał udział w tamtym wypadku?

Po raz pierwszy, odkąd wyszła ze sklepu, Sophie poczuła, że jej usta wykrzywają się w coś na kształt delikatnego uśmiechu.

- Och, wpadłam na to w niedzielę, kiedy poznałam babcię McDonald.

Garrett aż otworzył usta.

— Chcesz powiedzieć, że to *do niej* jechałaś? Ale... jak ją znalazłaś?

— Cóż, wszystko zaczęło się od naszego głupiego ogłoszenia. - Przerwała na chwilę. Zastanawiała się, jak wpleść do rozmowy osobę Alexa, ale jednocześnie nie zdradzać na jego temat zbyt wielu szczegółów. — Pewien mężczyzna przesłał coś, co... wyjątkowo chwyciło mnie za serce. Okazało się, że mieszka on całkiem niedaleko. Zdecydowałam, że chcę poznać go osobiście.

— I tak po prostu pojawiłaś się u niego w domu?

-Tak, razem z Ellen i Evi. I szybko się okazało, że mamy ze sobą bardzo dużo wspólnego. To długa historia. Mówiąc w dużym skrócie, to, co mi przesłał, wywołało u mnie wstrząs. Więc pojechałam do niego, żeby go poznać.

— I to jest właśnie...

— Alex? Tak. - Sophie obserwowała uważnie jego twarz i z zadowoleniem dostrzegła na niej cień zawodu. - W każdym razie momentalnie przypadliśmy sobie do gustu i on w pewien sposób... powiedzmy, że zmotywował mnie do tego, żeby stawić czoła przeszłości i raz na zawsze zostawić ją za sobą. Stwierdziłam, że najlepiej będzie, jeśli porozmawiam osobiście z rodziną, która również straciła tamtej nocy kogoś bliskiego. — Znowu przerwała. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. - Nie kojarzyłam zupełnie, że twoja mama wychowywała cię pod swoim panińskim nazwiskiem, ale stało się dla mnie oczywiste, że twój ojciec nie miał na nazwisko Black, kiedy Lucy McDonald oznajmiła, że jest twoją babcią.

Garrett przeczesał palcami swoje ciemne włosy i westchnął ciężko.

— Straszny ze mnie idiota. Gdybym... gdybym tylko mógł cofnąć czas, opowiedziałbym ci o wszystkim tej nocy, kiedy zerwałem nasze zaręczyny. Wtedy nie wiedziałem po prostu, jak

to powiedzieć. I wmówiłem sobie, że gdybyś poznała prawdę, byłoby ci jeszcze ciężiej, niż gdybyś miała mnie stracić. — Wzruszył ramionami. — Poza tym byłem przekonany, że tak czy inaczej bym cię stracił. Wybrałem więc opcję, w której nie musiałem ci niczego wyjaśniać. W której nie musiałaś poznawać bolesnej i prawdy.

- Garrett - przerwała mu delikatnie. - Pozwól, że powtórzę za twoją babcią: kawa na ławę.

Garrett powoli wypuścił powietrze z płuc.

- Prawda jest taka, Sophio Mario Jones, że to nie ty spowodowałaś wypadek tamtej nocy. Tylko ja.

Sophie impulsywnie walnęła go w ramię.

- Jak możesz być taki okrutny! Co ty wyprawiasz? Kpisz sobie ze mnie?

- Mówię śmiertelnie poważnie, Sophie. Nie wiedziałem, jak ci to wcześniej powiedzieć. Miałem świadomość, jak ogromny wpływ na twoje życie miał tamten wypadek. Robiło mi się niedobrze na myśl, że to ja przysporzyłem ci tyle bólu. Wiedziałem, że jeśli wyznam prawdę, złamię ci serce. Wiedziałem też, że nie będę w stanie ukrywać tego przed tobą przez resztę naszego wspólnego życia. Dlatego... odszedłem.

- Kompletnie ci odbiło. Przecież nawet cię tam nie było. Westchnął ponownie.

- To prawda. Ale byłem niedaleko.

Sophie spojrzała na niego spode łba i nerwowo zaplotła dłonie na piersi.

- Wyjaśnij.

- Mój ojciec zawsze wyraźnie powtarzał, żeby nie zawracać mu głowy, kiedy jest w pracy - zaczął Garrett, nie spuszczać Sophie z oczu. - Chyba że byłoby to coś bardzo pilnego. Wtedy mogłem zadzwonić do dyspozytorki UPS, która mogła połączyć się z nim przez radio, jeśli rzeczywiście wymagała tego

sytuacja. — Zamilkł na chwilę i opuścił wzrok. - Moje telefony tak naprawdę nigdy nie były pilne. Tej nocy, kiedy wydarzył się wypadek, okropnie pokłóciłem się z mamą. Powiedziałem jej mnóstwo przykrych rzeczy, których później żałowałem. Między innymi wykrzychałem jej, że chcę się od niej wyprowadzić i zamieszkać z tatą. On nigdy nie był jakoś superważny w moim życiu, ale zaczynałem właśnie dorastać i rozpaczliwie potrzebowałem męskiego wsparcia i poczucia, że mam ojca. Zadzwoiłem więc do dyspozytorki i poprosiłem, żeby mnie z nim połączyła. Kończył właśnie zmianę, jednak ja uznałem, że ta sprawa nie może czekać ani chwili dłużej. Chciałem porozmawiać z nim zaraz, natychmiast. Dyspozytorka kazała mi czekać, a po minucie oznajmiła, że nie może mnie połączyć. Więc powiedziałem jej, że to bardzo pilne. Wtedy wydawało mi się, że tak właśnie jest. Poprosiłem, żeby spróbowała jeszcze raz, że muszę się z nim natychmiast skontaktować. - Zamilkł i spojrzał na Sophie wyczekująco.

— No i? — spytała, a jednocześnie zastanawiała się, czy może umknął jej jakiś szczegół tej historii. — W jaki sposób czyni cię to odpowiedzialnym za wypadek?

— Powiedziałaś przecież, że czytałaś raport.

— Bo czytałam - odparowała. - I wiem również, że ty też go czytałeś, i to na tydzień przed tym, jak mnie rzuciłeś.

— To w takim razie nie przeczytałaś go wystarczająco uważnie.

— Co masz na myśli?

Garrett westchnął, a po jego twarzy przemknął cień rozpacz. Sophie, zanim powiem ci, co jest w raporcie, musisz wiedzieć o czymś jeszcze. Sophie poczuła znajomy ścisk w żołądku.

-Jak Boga kocham, jeśli oznajmisz mi zaraz, że, nie wiem, jesteśmy... jakoś spokrewnieni, albo coś równie pokręconego, to przysięgam, zwymiotuję ci na buty.

Przez ułamek sekundy na jego twarzy pojawił się uśmiech, jednak zniknął niemal natychmiast.

- Nic z tych rzeczy. Ale myślę, że i tak ci się to nie spodoba.

- Nie wydaje mi się, żeby coś mogło pogorszyć naszą sytuację - odpowiedziała trzeźwo. - Jazda, mów, o co chodzi.

Westchnął ciężko.

- Mimo że nigdy nie byłem mocno związany z ojcem, jego strata nie była dla mnie łatwa. Wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, jak to jest. Moja mama zachowała wszystkie wycinki prasowe dotyczące wypadku i za każdym razem, kiedy zaczynałem się nad sobą rozczulać, powtarzała mi: „Tak, wiem, straciłeś ojca. Wiem, że musi być to dla ciebie trudne. Ale przeczytaj to i potem powiedz mi w twarz, że nie jesteś wdzięczny za to, co masz”. Dawała mi te wycinki, w których... - Garrett z trudem powstrzymywał teraz łzy. - W których pisano o małej dziewczynce, niewiele młodszej ode mnie, która tamtej nocy straciła wszystko. „Sophia Maria Jones straciła całą rodzinę” — powtarzała moja mama. - „W porównaniu z nią jesteś szczęściarzem, Garrett. Wciąż masz matkę, która kocha cię nad życie”.

Sophie też płakała, ale Garrett mówił dalej.

- Często rozmyślałem o tej małej dziewczynce. O tym, co stało się z nią po wypadku, jak ułożyło jej się życie. Więc kiedy półtora roku temu moja mama została przeniesiona na komendę, gdzie pracowała również Ellen, z którą szybko się zaprzyjaźniła... cóż, dość szybko zrozumiała, że Ellen to ta policjantka, która przygarnęła małą Sophie po wypadku. Oczywiście, Ellen nie miała żadnego powodu, żeby doszukiwać się jakichkolwiek powiązań między moim ojcem a matką, ta nosiła już nazwisko swojego drugiego męża. Kiedy pewnego dnia zgadały się, że mają dorosłe dzieci w podobnym wieku, uznały, że fajnie byłoby umówić nas na randkę w ciemno.

W Sophie ponownie wezbrały emocje.

- A więc od początku wiedziałeś! - ryknęła. - Nawet zanim się jeszcze poznaliśmy, wiedziałeś, że nasi rodzice zginęli w tym samym wypadku!

Garrett ledwie zauważalnie kiwnął głową.

- To w ogóle dlaczego właściwie zgodziłeś się na tę randkę? To miał być jakiś gest miłosierdzia z twojej strony? „Biedna dziewczyna, straciła rodziców, spróbuję poprawić jej humor”?

- Nie, Sophie, nic z tych rzeczy.

- Więc dlaczego? Wzruszył ramionami.

- Od zawsze cię podziwiałem. Dawałaś mi nadzieję w trudnych chwilach. Mimo że nigdy się nie spotkaliśmy, często sobie powtarzałem: „Jeśli tej dziewczynie udało się przetrwać, ja też dam sobie radę”. Poza tym myślę, że zwyczajnie byłem ciekawy. Chciałem poznać dorosłą wersję dziewczynki, o której czytałem w gazetach. Ale przysięgam, nigdy... - jego głos zamarł w połowie zdania. Sophie przyglądała mu się uważnie. Miał minę zbitego psa i choć była na niego zła, jakaś jej część żałowała go. Ba, nawet go rozumiała.

- Nigdy co? - nalegała.

Jego odpowiedź była ledwo słyszalna, ale Sophie odczytała ją z ruchu warg.

- Nigdy nie przypuszczałem, że się zakocham. - Kiedy Sophie nic nie odpowiedziała, Garrett podniósł wzrok. Odkaszlnął i ciągnął dalej: - Chciałem cię po prostu poznać. Zobaczyć na własne oczy, jak wygląda feniks powstały z popiołów. Ale kiedy się spotkaliśmy... to było obezwładniające. Po naszej pierwszej randce jakaś część mnie chciała wyznać ci prawdę, ale głównie chciałem zostawić przeszłość za sobą. Dla mnie samego ta przeszłość, którą dzieliliśmy jako dzieci, była po prostu przeszłością. A kiedy doszedłem do wniosku, że chcę spędzić z tobą resztę życia, nie chciałem, żeby cokolwiek stanęło

nam na przeszkodzie, a już na pewno nie wypadek sprzed dwudziestu lat.

Sophie stała jak skamieniała. W milczeniu chłonęła wszystko, co do tej pory usłyszała.

- Co się w takim razie zmieniło? - spytała w końcu. - Dlaczego nagle zdecydowałeś, że przeszłość ma jednak znaczenie?

- Przeczytałem policyjny raport - odparł cicho. - Żałuję teraz, że to zrobiłem. Kiedy zobaczyłem, jak bardzo byłaś poruszona po naszej wizycie na miejscu wypadku, naprawdę chciałem dowiedzieć się o nim jak najwięcej. Musiałem dowiedzieć się, przez co przeszłaś, żeby w ten sposób być dla ciebie jak największym wsparciem. Dlatego pojechałem do Ellen, a ona dała mi do przeczytania kopię raportu. I wtedy właśnie wszystko poszło nie tak.

- Nie rozumiem. Przecież w raporcie nie ma nic przełomowego.

- Nie? A przeczytałaś fragment o tym, że kiedy wyciągano z wraku kierowcę UPS, kurczowo trzymał w ręku CB radio?

- Tak, przeczytałam — odpowiedziała. Poczwała narastający niepokój.
- Ale to przecież nic nie znaczy.

- Może dla ciebie nie. Ale znaczy to dużo dla dzieciaka, który nalegał, żeby natychmiast porozmawiać ze swoim tatą. Po tym, jak przeczytałem o radiu w raporcie od Ellen, postanowiłem namierzyć tamtą dyspozytorkę. Wynająłem prywatnego detektywa, któremu zajęło to prawie tydzień, jednak wreszcie wręczył mi jej numer telefonu.

- I?

- I... powiedziała, że pamięta tamtą rozmowę, bo wyjątkowo dążyła się z nim połączyć, a kiedy już jej się udało, długo się sprzeczali. On był poirytowany i chciał koniecznie wiedzieć, co to za pilna sprawa, a ja oczywiście nic jej nie powiedziałem, bo doskonale wiedziałem, że wcale nie uzna tego za pilne. Ale ona sama była matką, więc zaczęła się z nim kłócić. A on

nagle przestał odpowiadać. Wtedy była przekonana, że po prostu ją zignorował, ale potem dowiedziała się o wypadku. Widzisz więc, że mam rację: to *ja* spowodowałem wypadek. Być może nie bezpośrednio, ale gdybym do niego nie zadzwonił, kto wie? Być może byłby bardziej skoncentrowany na drodze i wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej. Oczywiście Sophie były pełne łez.

- Nie wiem zupełnie, co powiedzieć - przyznała w końcu. -Ty... nie wymyśliłeś tej historii, prawda?

Kręcąc powoli głową, Garrett westchnął ciężko.

— Przykro mi, Sophie. Powinienem powiedzieć ci o tym rok temu, kiedy tylko sam się dowiedziałem. Ale nie miałem pojęcia, jak to zrobić.

Dokładnie w tym momencie zatrzymał się obok nich samochód. Kierowca opuścił szybę.

- Pan Garrett Black? Jestem z wypożyczalni samochodów Enterprise. Garrett pochylił się, żeby lepiej go zobaczyć.

— Tak, to ja. Dziękuję, że pan przyjechał. Mężczyzna się uśmiechnął.

- Może pan usiąść z przodu albo z tyłu, jak pan woli.

- Siądziemy z tyłu. Może pan podwieźć moją znajomą do Gig Harbor?

Kierowca zgodził się, oboje wdrapali się więc na tylne siedzenie. Mężczyzna gadał jak najęty - głównie wypytywał o wypadek - ale po kilku minutach uspokoił się na tyle, że Sophie miała możliwość szeptem zadać Garrettowi pytanie:

— Żeby mieć pełną jasność: kiedy rok temu postanowiłeś o niczym mi nie mówić, zrobiłeś to dlatego, że uważałeś, że mi będzie ciężko przyjąć tę wiadomość czy że tobie będzie ciężko ją oznajmić?

Zastanawiał się przez chwilę, ale nic nie odpowiedział.

- Więc twoim zdaniem złamanie serca ukochanej kobiecie jest lepszym wyjściem niż schowanie honoru do kieszeni? Naprawdę tak niewiele dla ciebie znaczyłam?

Zgarbił się, przygnębiony.

- Po dwudziestu latach dowiedziałem się właśnie, że jestem częściowo odpowiedzialny nie tylko za śmierć własnego ojca, ale również za największą tragedię twojego życia. Doszedłem do wniosku, że cokolwiek bym ci powiedział, i tak złamałbym ci serce. Potrzebowałaś dużo czasu, żeby otworzyć się przede mną, żeby mi zaufać. Obiecałem ci, że nigdy cię nie skrzywdzę, a to... to by cię zdruzgotało.

- Więc wybrałaś łatwiejsze wyjście - wypaliła z kamienną twarzą.

- Łatwiejsze? Przestań. Ale tak jak mówiłem, gdybym mógł cofnąć czas, rozegrałbym to wszystko zupełnie inaczej. A już z pewnością, gdybym wiedział wtedy to, co wiem teraz. Byłem po prostu głupi.

- Tak. To się zgadza. - Sophie odwróciła się od niego i wlepiła wzrok w krajobraz za oknem. Garrett milczał. Chciał dać jej czas do namysłu.

- Nie dałeś mi nawet szansy na zastanowienie się, jak *ja* się z tym wszystkim czuję. Sam zdecydowałaś, że *my* sobie z tym nie poradzimy.

Kiedy dotarli wreszcie do domu Sophie, Garrett odprowadził ją do drzwi.

- Sophie - odezwał się, zanim nacisnęła klamkę. - Powiedziałam ci już, że gdybym tylko mógł, cofnąłbym czas.

Sophie nic nie powiedziała, lecz spojrzała na niego w taki sposób, że wiedział, że uważnie go słucha.

- Gdybym mógł odkręcić to, co zrobiłem w zeszłym roku, nie wahałbym się ani przez sekundę. Nigdy nie wybaczę sobie tego, że nie byłem wtedy szczery wobec ciebie. Było to z mojej strony samolubne. Przepraszam.

Sophie przestąpiła z nogi na nogę.

- Zrozumiałam cię już za pierwszym razem - powiedziała. Wzruszyła bezradnie ramionami. - Naprawdę jesteśmy niesamowici. Oboje czujemy się winni z powodu tego samego wypadku. Wiesz pewnie, co by na ten temat miała do powiedzenia Ellen?

- „Ręka boska, cukiereczku, jak Boga Kocham” - odpowiedział, idealnie naśladując głos przybranej mamy Sophie.

Sophie parsknęła śmiechem.

- Dokładnie tak. Ale wtedy musiałabym jej uświadomić, że ręka boska przywiodłaby nas do siebie na trochę dłużej.

Garrett zmarmotniał.

- Co racja, to racja.

- I tyle po boskiej opatrności — wzruszyła ramionami Sophie. Odwróciła się, otworzyła drzwi i weszła do środka. Garrett stał bez ruchu i czekał, aż się odwróci.

- Więc... to koniec.

- Na to wygląda - odparła. Spojrzała mu prosto w oczy. Jej serce wypełniał ogromny żal za tym, co utracili. Żałowała, że nie wyznał jej prawdy wcześniej, mimo że doskonale rozumiała, dlaczego tego nie zrobił. A teraz nie miało to już znaczenia. On pogodził się z ich rozstaniem.

- Powodzenia z... jak ona ma na imię? Ta kobieta, z którą rozmawiałeś przez telefon?

Garrett zacisnął usta. -Jane.

- Jane - powtórzyła. - Cóż, życzę wam obojgu jak najlepiej. Cokolwiek się wydarzy, nic nie będzie w stanie przebić naszej historii, prawda?

Garrett odwrócił się na pięcie.

- Dobranoc, Sophie - powiedział cicho.

- Dobranoc, Garrett - odpowiedziała. Zatrzasnęła za sobą drzwi, po czym oparła się o nie ciężko. To był długi dzień i nie mogła się już doczekać, żeby się skończył.

ROZDZIAŁ 35

To, co brałaś za szczęście, okazało się złudzeniem. Czas zapomnieć i iść naprzód.

Godzinę później Sophie leżała w łóżku i rozpamiętywała wszystko, co wydarzyło się, odkąd wyszła z pracy. Ponieważ przez te wszystkie lata żyła w przekonaniu, że to ona, rozpraszając swojego tatę, spowodowała wypadek, mogła zrozumieć, dlaczego teraz Garrett obwinia siebie. Bolało ją jednak to, że nie ufał jej w takim stopniu, by powiedzieć jej prawdę. Nie dał jej nawet szansy, żeby mu wybaczyła... A z drugiej strony, gdyby wiedziała, że w wypadku zginął również ojciec Garretta, czy potrafiłaby przyznać się przed nim, że to ona była winna? I czy spodziewałaby się że *on wybaczy jej*? Czy może zachowałaby się jak on?

Wypadek, w którym straciła rodziców, rozegrał się w ciągu niecałej minuty, lecz skutki tego krótkiego momentu przysporzyły jej cierpienia na całe życie. I nieważne, jak bardzo starała się iść naprzód, wydawało się, że wypadek przygniatał ją, utrudniając ruchy. Była niczym Andromeda, na zawsze przykuta łańcuchami do swojej przeszłości.

Kiedy tak powtarzała sobie w myślach to wszystko, co powiedział jej Garrett, Sophie przypomniała sobie nagle, że w dalszym ciągu nie przeczytała listu od Jacoba Barnes'a. Z niejakim ociąganiem poszła do kuchni i wygrzebała list z dna swojej torebki. Usiadła przy stole i otworzyła kopertę. Data w górnym rogu

pierwszej strony nie pozostawiała wątpliwości - Jacob napisał ten list zaledwie kilka dni przed śmiercią.

Z żołądkiem ściśniętym z nerwów Sophie zaczęła czytać. Kiedy skończyła, miała wrażenie, że pękły w niej wszystkie tamy kontrolujące emocje. Łzy nie przestawały płynąć jej po policzkach. Po raz pierwszy odkąd miała osiem lat, Sophia Maria Jones czuła, że opadły więzy z przeszłości, które krępowały ją przez tyle lat. Czuła też rozpacz na myśl o przyszłości - przyszłości, w której nie było Garretta Blacka, mimo że teraz wiedziała, że powinien tam być.

17 sierpnia 2009 r.

Droga Sophio!

Mam głęboką nadzieję, że wcale mnie nie pamiętasz. Ja jednak pamiętam Cię doskonale. Jakże mógłbym zapomnieć? To właśnie bolesne wspomnienie zmusza mnie teraz do napisania tego listu. Mimo że przychodzi mi to z trudem, wiem, że nie mogę odejść z tego świata, nie przelawszy na papier wszystkich moich myśli i uczuć związanych z naszym krótkim spotkaniem wiele lat temu.

Nazywam się Jacob Barnes. Możesz mi wierzyć lub nie, ale wymieniliśmy kilka zdań, kiedy siedzieliśmy obok siebie na krawężniku tuż po strasznym wypadku w dniu twoich dziewiątych urodzin. Tego dnia straciłem cztery palce, ale wiem, że ty straciłaś o wiele, wiele więcej. Wiedz, że bardzo mi z tego powodu przykro.

Chciałbym, żebyś wiedziała, że przez lata próbowałem Cię odnaleźć, albo chociaż do Ciebie napisać. Powinienem to zrobić dawno temu. Na początku powtarzałem sobie, że jesteś za mała, żeby to zrozumieć. W miarę jak dorastałaś, wmawiałem sobie, że minęło już tyle czasu, że nie ma sensu wracać do tamtej sprawy. Żadna z tych wymówek nie była prawdziwa. Byłem po prostu tchórzem.

Przez lata starałem się być na bieżąco z Twoim życiem, po prostu żeby mieć pewność, że u Ciebie wszystko w porządku. W zeszłym roku we wrześniu zauważyłem w gazecie ogłoszenie o Twoim ślubie z niejakim doktorem Garrettem Plackiem. Gratulacje! Mam nadzieję, że życie małżeńskie Ci służy. Moje serce podskoczyło z radości, kiedy zobaczyłem Wasze zdjęcie. Twój szeroki uśmiech dał mi nadzieję, że uporałaś się jakoś z ciężarem, którym zostałaś obarczona tej nocy, kiedy się poznaliśmy.

O jakim ciężarze mówię? O przygniatającym poczuciu winy, o przekonaniu, że to Ty spowodowałaś wypadek, który pozbawił życia całą Twoją rodzinę. Przyznaję teraz ze smutkiem, że to nie Ty powinnaś była dźwigać ten ciężar. Tylko pewien tchórz. Tym tchórzem jestem ja.

Mam nadzieję, że jeśli dopisze Ci szczęście, będziesz miała okazję poznać mojego syna, Alexa Barnes'a. Jeśli czytasz ten list, możesz być pewna, że to właśnie on Ci go wysłał. Alex jest największą radością mojego życia. Niestety, moje poczucie winy i mój wstyd są z nim nierozdzielnie powiązane.

Pozwól, że wyjaśnię...

Alex urodził się tuż przed północą 20 września roku 1989 — niecałe 24 godziny przed naszym wypadkiem. Zarówno jego matka, Katherine, jak i ja nie mogliśmy się już doczekać jego przyjścia na świat. Obydwoje byliśmy zabieganymi prawnikami, więc długo odkładaliśmy nasze plany o powiększeniu rodziny. Ja miałem wtedy niecałe czterdzieści pięć lat, a moja żona — czterdzieści trzy, kiedy zaszła w ciążę. Cała ciąża przebiegła bez komplikacji, aż do porodu. Byłem w samym środku rozprawy sądowej, kiedy otrzymałem informację, że Katherine zaczęła rodzić. Popędziłem do szpitala prosto z gmachu sądu. Potem zaczął się dramat. Katherine dostała strasznego krwotoku w trakcie porodu, ale dziecko było już tak daleko w kanale rodnym, że lekarze musieli najpierw je wyciągnąć, zanim mogli w jakikolwiek sposób pomóc mojej żonie. Starali się, jak mogli,

aby Alex urodził się jak najszybciej, a potem od razu zajęli się Katherine. Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą, kiedy udało im się wreszcie zatamować krwawienie i ustabilizować jej puls, który był już bardzo słaby.

Lekarze zabrali Alexa, żeby przeprowadzić różne badania. Byłem jednak zbyt zaabsorbowany zdrowiem Katherine, żeby zastanawiać się, dlaczego je robią. Przyjąłem, że to standardowa procedura. Przez następne kilka godzin siedziałem przy szpitalnym łóżku mojej żony. Była cały czas podłączona do maszyny, która dostarczała jej tlen, jednak jeśli nie liczyć maski na twarzy, Katherine wyglądała na zupełnie zdrową. Ale nagle, niespodziewanie spojrzała na mnie spanikowana. Łapczywie próbowała kilka razy złapać oddech, po chwili zamknęła oczy i... to był koniec. Umarła, tak po prostu. Nie zdążyliśmy się pożegnać ani po raz ostatni wyznać sobie miłość. Nie było jej nawet dane potrzymać w ramionach naszego syna. Później okazało się, że skrzep, powstały w wyniku wcześniejszego krwawienia, dostał się do jej mózgu i błyskawicznie zatrzymał pracę najważniejszych organów. Nie muszę chyba mówić, że byłem w ogromnym szoku. Trwałem w stuporze przez większość dnia, machinalnie wypełniając szpitalne papierki, a jednocześnie próbując oswoić się z myślą, że mojej żony już nie ma. Dopiero koło piątej czy szóstej miałem wreszcie chwilę, żeby usiąść i pomyśleć w ogóle o naszym synu. Kiedy o niego spytałem, cały zespół lekarzy pospieszył z wyjaśnieniami. Szef pediatrii oznajmił mi, że moje dziecko miało pewne „aberracje chromosomowe” i że wychowywanie go będzie niosło ze sobą pewne wyjątkowe wyzwania.

Kiedy usłyszałem hasło „zespół Downa”, spanikowałem. Lekarze próbowali mnie namówić, żebym go potrzymał, jednak odmówiłem. Miałem mętlik w głowie. Jak mogłem brać go na ręce, skoro nie było przy mnie mojej żony? Jak miałbym wychować takie dziecko samotnie? Od takich myśli już prosta droga do użalania się nad sobą. Dlaczego właśnie ja? Jak niesprawiedliwy i okrutny był los — nie dość,

że straciłem właśnie miłość mojego życia, to jeszcze będę musiał spędzić je z dzieckiem, które wymagało mojej specjalnej troski?

Nie jestem z tego dumny, jednak moje poczucie winy błędnie w porównaniu ze wstydem, który odczuwam w związku z tym, co zrobiłem potem.

Odszedłem.

Powiedziałem lekarzom, że nie jestem w stanie tego znieść, i tak po prostu wyszedłem ze szpitala prosto w ciemną noc. Byłem wściekły na wszystko i wszystkich: na lekarzy, którzy pozwolili mojej żonie umrzeć, na moją żonę — za to, że umarła, na cały świat — za doznane krzywdy, a także, niestety, na mojego nowo narodzonego syna — za jego wady genetyczne.

Szalejąc z wściekłości, wsiałem do samochodu i ruszyłem z piskiem opon. Nie miałem pojęcia, dokąd jadę, chciałem po prostu pędzić przed siebie, jak najszybciej. Tej nocy pogoda była nieznośna, ale to mnie nie powstrzymało. Byłem potwornie nieostrożny. Powinienem zwolnić już w momencie, kiedy mój samochód wpadł w poślizg po raz pierwszy, ale nie zrobiłem tego. Kiedy zobaczyłem na swoim pasie furgonetkę UPS, zirytowałem się. Dlaczego, zastanawiałem się, mam się wlec za jakąś cholerną ciężarówką, w takim momencie? I nagle byłem wściekły nawet na tę furgonetkę i na kierowcę, tylko dlatego, że przez nich musiałem zwolnić. Ponieważ nie mogłem go wyminąć z lewej strony ze względu na ruch z naprzeciwka, śmignąłem z prawej strony, po czym wjechałem tuż przed niego. Chciałem pokazać kierowcy furgonetki, kto tu rządzi, wcisnąłem więc hamulec. Tak, było to głupie z mojej strony, jednak do głowy mi wtedy nie przyszło, że mogłoby to spowodować wypadek. Kiedy dotknąłem hamulca, mój samochód ponownie wpadł w poślizg, więc zahamowałem jeszcze gwałtowniej. W obawie, że furgonetka UPS uderzy w tył mojego samochodu, zerknąłem szybko w boczne lusterko. Zobaczyłem, że zarzuciło go w lewą stronę. Kto wie, może wtedy on też już ślizgał się po powierzchni, bo wcisnął hamulec,

próbując uniknąć zderzenia ze mną. Tak czy inaczej, zjechał za bardzo na lewą stronę. Zderzył się z nadjeżdżającym z naprzeciwka samochodem. Waszym samochodem.

To okropne, wiem. Cały ten wypadek wydarzył się tylko i wyłącznie z mojej winy. Gdyby nie ja, Twoja rodzina nadal by żyła. Podobnie jak kierowca furgonetki.

Po tym jak zobaczyłem — i usłyszałem — pierwsze zderzenie, straciłem kompletnie kontrolę nad swoim autem. Przewróciło się na bok i przekoziółkowało chyba dwa razy.

Potem wszystko zlało mi się w jedną mglistą całość. Podobno straciłem palce przy dachowaniu, prawdopodobnie moja ręka znalazła się między jezdnią a samochodem, kiedy wysunęła się przez wybitą szybę. Kto wie. Zresztą, nie ma to teraz żadnego znaczenia. Cztery palce to i tak niewielka kara za moją nierozwagę... jeden palec za każdą osobę, która wtedy zmarła.

Nie pamiętam, jak to się stało, że zderzyły się z Wami kolejne samochody, ale pamiętam chwilę, w której mój samochód wreszcie się zatrzymał. Pamiętam, jak było mi niedobrze na myśl o tym, co zrobiłem. Nie mogłem otworzyć swoich drzwi, ale tylne okno było rozbite w drobny mak, więc wysliznąłem się przez nie z trudem. Popędziłem co sił w kierunku Waszego samochodu. Znalazłem tam małą dziewczynkę — Ciebie — zapłakaną, na tylnym siedzeniu. Tylko drzwi z Twojej strony dawały się w ogóle otworzyć. Nie wiedziałem, co robić, wiedziałem tylko, że powinienem zabrać Cię jak najdalej od tego, co zobaczyłem w środku tego volvo. Wyciągnąłem Cię z auta i zaniósłem na bezpieczną odległość od wypadku. Posadziłem Cię na krawężniku obok hydrantu. Potem zemdląłem.

jakiś czas później — nie wiem dokładnie, ile czasu minęło — ocknąłem się. Na początku spojrzenie miałem nieco rozmazane, nie wiedziałem do końca, gdzie jestem i co się dzieje. Ty siedziałaś ciągle w tym samym miejscu i płakałaś. Powtarzałaś, że ten wypadek to Twoja wina. Podczas gdy ratownicy zajmowali się moją ręką,

podśluchałem, że nazywasz się Sophia Maria Jones. Policjantka zabrała Cię do karetki, a kilka minut później mnie również posadzono z tyłu innego ambulansu. Wtedy właśnie zauważyłem, jak wyrzucasz swoją wróżbę. Popłynęła rynsztokiem prosto do miejsca, gdzie siedziałem. Była mokra i zwinięta w kulkę, ale podniosłem ją i przeczytałem. Zatrzymałem ją jako pamiątkę czyjegoś zrujnowanego życia.

Z początku protestowałem, kiedy ekipa z karetki próbowała zawieźć mnie z powrotem do szpitala, z którego uciekłem zaledwie godzinę wcześniej. Patrząc na to z perspektywy czasu, wydaje mi się, że to Opatrzność nade mną czuwała. Ręka boska przywiodła mnie z powrotem, żebym mógł stawić czoła swoim ojcowskim obowiązkom. W szpitalu moje myśli ciągle krążyły wokół Ciebie — takiej małej i zupełnie samotnej. Wyobrażałem sobie, jak będzie wyglądać Twoje życie bez rodziców, i doszedłem do wniosku, że nie mogę pozwolić na to, aby taki sam los spotkał mojego syna. Zadzwoiłem po lekarzy i kazałem im przynieść Alexa na izbę przyjęć, żebym mógł go potrzymać. Kiedy tylko znalazł się w moich ramionach, poczułem, że nigdy, przenigdy go nie opuszczę.

Dlaczego właściwie piszę do Ciebie ten list? Chciałbym przeprosić Cię za to, co zrobiłem. Nie tylko za to, że spowodowałem wypadek, ale i za to, że pozwoliłem Ci wierzyć, że to Ty byłaś winna, i że nie wyprowadziłem Cię z błędu, kiedy miałem taką możliwość. Nie powinnaś była dźwigać ciężaru winy przez te wszystkie lata. Poczucie głębokiego wstydu powstrzymało mnie przed wyjawieniem Ci prawdy. Nawet teraz, po tylu latach, nie miałbym odwagi spojrzeć Ci w twarz.

Przez te wszystkie lata pokochałem Alexa tak mocno, jak żaden jeszcze ojciec nie kochał swojego syna. Jest on moim wielkim skarbem. Zamiast ciężarem okazał się moją największą radością.

Za każdym razem, kiedy mówiłem sobie, że powinienem Cię przeprosić i powiedzieć Ci prawdę o tym, co się stało, coś mnie

powstrzymywało: byłbym zmuszony przyznać się do dwóch potwornych rzeczy. Po pierwsze, że kiedy Alex się urodził, porzuciłem go — i co z tego, że tylko na godzinę — bo uważałem, że jego niedoskonałości czynią go mniej wartościowym. Jak mogłem się tak strasznie pomylić. A po drugie? Musiałbym przyznać, że nigdy nie doświadczyłbym radości, jaką dało mi wychowywanie Alexa, gdyby nie wypadek, w którym straciłaś całą swoją rodzinę. Po prostu jechałbym dalej, nie oglądając się za siebie. To okrutne, prawda? Twoja potworna strata była moim błogosławieństwem.

Nigdy nie byłem przesadnie religijną osobą, to jednak nie powstrzymało mnie przed dziękowaniem Bogu, każdego dnia, za to, że ten wypadek przywiódł mnie z powrotem do mojego syna.

Ale w tych modlitwach zawsze było też miejsce na „życzenie mojego serca”: że pewnego dnia Bóg naprawi to, co pozwolił mi zepsuć w Twoim życiu.

Przepraszam za wszystko. Życzę Tobie i Twojemu mężowi wszystkiego, co najlepsze. Bądźcie zawsze razem i żyjcie tak, jakby każdy dzień miał być tym ostatnim. Któryś nim będzie. Później niż wcześniej, mam nadzieję, ale pamiętaj, dopóki żyjesz dobrze, nie ma znaczenia, jak długie jest Twoje życie.

Niech Cię Bóg błogosławi „ i Jacob P. Barnes

u PS. Jeśli kiedykolwiek poczujesz się smutna lub zniechęcona, musisz koniecznie poznać mojego syna Alexa. Zapewniam Cię, nikt nie podnosi na duchu tak jak on. Przekonasz się!

PS 2. Każdego roku, w dniu Twoich urodzin, Alex i ja umieszczaliśmy małe kamienie na grobie Twoich rodziców, a dzień wcześniej — na grobie mojej żony, Katherine. Mam nadzieję, że pozwolisz mi kontynuować naszą małą tradycję. Chciałbym móc Ci powiedzieć,

że mają one jakieś głębsze znaczenie, ale to nieprawda. Po prostu wydaje mi się, że na świecie za dużo jest rzeczy ulotnych, nietrwałych. Te kamienie mają stanowić przypomnienie, że nie wszystko odchodzi w niebyt równie szybko. Niektóre rzeczy trwają wiecznie. Tak jak moja miłość do żony i syna, a także, jestem tego pewien, Twoja miłość do rodziców. A także miłość do Twojego nowego męża.

Wszystkiego dobrego, Sophio Jones

ROZDZIAŁ 36

Pokonałeś w życiu wiele przeszkód, z wyjątkiem własnych słabości.

Sophie odłożyła list Jacoba na szafkę koło łóżka, otarła łzy rękawem i natychmiast zadzwoniła do Ellen.

- Nie uwierzysz, jaki miałam dziś zakręcony dzień - powiedziała, kiedy tylko jej przybrana mama podniosła słuchawkę.

- Jest wprawdzie dość późno, ale chętnie posłucham.

W ciągu następnej półgodziny Sophie opowiedziała jej ze szczegółami całą historię: o tym, jak Garrett pojawił się niespodziewanie w 'Chocolat' de Soph, o wypadku, o wyznaniu Garretta, że wiedział jeszcze przed ich pierwszą randką, kim jest Sophie. Potem wyjaśniła, że to on uważał siebie za winnego wypadku, w którym zginęli jej rodzice, a na koniec odczytała na głos cały list od Jacoba Barnes'a.

- Dobry Boże - powiedziała Ellen powoli, kiedy Sophie skończyła opowiadać. — Jeśli naprawdę nie widzisz, że cały ten ciąg wydarzeń to coś więcej niż głupi przypadek, to mogę tylko stwierdzić, że jesteś ślepa jak kret i bardzo mi ciebie żal.

- Ellen...

- Nie przerywaj mi. Mówiłam ci przecież od początku, że ten wypadek przyniesie coś dobrego. Dzięki niemu pan Barnes zobaczył swoje życie na nowo i pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że ty też. - Przerwała, licząc, że Sophie będzie chciała coś powiedzieć,

ale w słuchawce panowała cisza. Ciągnęła więc: - Kochanie, ty i Garrett jesteście sobie przeznaczeni. A wszystko zaczęło się całe dwadzieścia lat temu. Już czas, żebyś to sobie uświadomiła. Dlatego chcę, żebyś powiedziała mi teraz, czy masz zamiar siedzieć i dalej rozpamiętywać przeszłość, czy weźmiesz się w garść i zrobisz coś dla swojej przyszłości. Pamiętaj, Pan Bóg steruje twoją łodzią w kierunku brzegu, ty musisz wiosłować.

- Ale to nie takie proste, Ellen.

- Co nie jest proste?

- On ma dziewczynę. Jane.

Ellen się roześmiała.

- Są małżeństwem?

-Nie.

- Są zaręczeni?

- Nie sądzę.

- A czy ich wspólna historia sięga dwóch dekad wstecz?

- Pewnie nie - odpowiedziała Sophie słabo. Ellen zachichotała.

- W takim razie mam do ciebie już tylko jedno pytanie: Czy nadal go kochasz? Bo tak naprawdę tylko to ma jakiegokolwiek znaczenie.

Sophie zastanowiła się przez chwilę.

- Muszę odpowiedzieć ci w tej chwili?

- W ogóle nie musisz mi odpowiadać. Odpowiedz sobie. Sophie westchnęła ciężko.

- Dziękuję, że mnie wysłuchałaś, Ellen. I dziękuję za poradę. Zastanowię się nad tym, co powiedziałaś.

- A wiesz już, co zrobisz?

W tym momencie na wyświetlaczu komórki pojawiła się koperta SMS-a. Był od Garretta. Nagły przypływ nadziei wypełnił serce Sophie, a na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Ellen — powiedziała. — Muszę kończyć.

- A to czemu? Wybierasz się gdzieś o tej porze?

- Nie, ale... chcę spróbować zanurzyć swoje wiosła w wodzie i zobaczyć, co się stanie.

- Zuch dziewczynka! Kocham cię, cukierczku. Daj potem znać, jak wszystko poszło.

- Dobranoc, Ellen.

Sophie wcisnęła guzik i odczytała wiadomość od Garretta: *Po drodze do domu zajechałem do Twojego sklepu powiedzieć Randy emu ze wszystkim z Tob a OK.*

Sophie odpisała błyskawicznie: *Dzięki. Miło z Twojej strony.*

Powiedział, że przyszło dziś sporo nowych listów. Przejrzałem kilka. i???

100 listów, wszystkie od tego samego nadawcy.

Co ty mówisz? Poważnie?

Mhm. Wszystkie są od tego Twojego Alexa.

Co???

Tak. Nie martw się, przeczytałem tylko kilka. Bardzo... optymistyczny facet. Masz szczęście.

Na początku Sophie nie była pewna, jak powinna na to odpowiedzieć. Nie chciała dalej zwodzić go i udawać, że Alex jest kimś więcej niż tylko przyjacielem. W końcu to właśnie brak pełnej szczerości był tym, co w głównej mierze przyczyniło się do rozpadu ich związku. Wiedziała, że jeśli chce odzyskać Garretta, powinna być z nim szczerą. I wtedy właśnie wpadła na pewien pomysł.

Mogę do Ciebie zadzwonić?

Nie musiała. Jej telefon rozdzwonił się pięć sekund później.

- Co się stało? - spytał Garrett. - Kciuki już nie tak sprawne jak kiedyś?

- Nie - odpowiedziała Sophie dziwnie zdystansowanym tonem. - Po prostu chciałam powiedzieć ci coś osobiście.

-O-o.

- Nie, to nic strasznego.

- To dlaczego brzmisz tak śmiertelnie poważnie? Co się dzieje?
Wzięła głęboki oddech.

- Dobra, tylko obiecaj, że nie zaczniesz wariować. Ja... wychodzę za
mąż.

Zapadła długa cisza.

- Garrett? Jesteś tam?

- O rany, Sophie... to znaczy... o rany. Nie wydaje ci się, że może
działasz zbyt pochopnie?

, — Nie. Nie tym razem.

- I jesteś pewna, że go kochasz?

- Bardziej niż kogokolwiek byłabym w stanie pokochać.

- Auć. Trochę zabolalo — wymamrotał Garrett, — Ale jak rozumiem,
wiesz, co robisz. Więc... gratulacje... czy coś w tym stylu.

- Dziękuję - wyszeptała. - Słuchaj, mam świadomość, że byłam trochę
marudna, jeśli chodzi o odpowiedzi na nasze ogłoszenie. Przepraszam
cię za to. I wiem, że w związku z moim zamążpój-ściem musimy
anulować naszą umowę, ale mimo wszystko bardzo chciałabym
przeczytać te listy, które znowu się u mnie nazbierały. Może mógłbyś
wpaść do mnie do sklepu i mi pomóc?

- Jasne. Powiedz tylko, kiedy.

- Może jutro wieczorem?

- Może być. O której?

- Ósma trzydzieści? Jutro nie ma Randyego, więc wcześniej nie dam
rado.

- Nie ma problemu - odparł Garrett. - Do zobaczenia jutro.

- Świetnie. Dobranoc, Garrett.

Sophie odłożyła słuchawkę i nerwowo przygryzła wargę.

- To może być całkiem interesujące - powiedziała do siebie na głos. -
Lepiej zabiorę się za pieczenie.

ROZDZIAŁ 37

Między słońcem a deszczem rozpościera się tęcza. Na jej końcu znajdziesz swój garnek ze złotem.

Kiedy następnego dnia Sophie wychodziła do pracy, na dworze lało jak z cebra. Ona jednak zdawała się tego nie zauważać. Co więcej, z radością wystawiała twarz na deszcz, jakby w nadziei, że jego krople zmyją z niej całą przeszłość i pozwolą zacząć na nowo. Kiedy tak szła ulicą, bez parasola, czuła się dziwnie pełna życia. Uśmiechnęła się szeroko i pewnym krokiem maszerowała dalej.

Kobieta prowadząca autobus z zaskoczeniem rozpoznała Sophie w szeroko uśmiechniętej dziewczynie z mokrymi włosami.

- Jak rany - mruknęła, obrzucając Sophie uważnym spojrzeniem. — Chyba idzie koniec świata. Co się stało, dziewczyno? Nie zauważyłaś, jak leje?

Sophie uśmiechnęła się jeszcze szerzej i zapłaciła za bilet.

- Gdyby nie burze od czasu do czasu, nie byłibyśmy w stanie docenić słonecznych dni - oznajmiła i nie czekając na reakcję kobiety, przeszła na koniec autobusu.

W dni poprzedzające Halloween w Chocolat' de Soph zawsze roiło się od klientów, ale ten dzień był szczególnie trudny. Poza dużym zamówieniem na dyniowe trufle na imprezę firmową, złożonym dosłownie w ostatniej chwili, Sophie była zajęta przygotowywaniem niespodzianki dla Garretta i chciała zdążyć przed jego

przyjściem. Jakby tego było mało, straciła całą godzinę, kiedy to zmuszona była zamknąć sklep i pojechać do warsztatu, do którego po wypadku odholowano jej samochód. Pod wieczór jednak Sophie poświęciła każdą wolną sekundę na dopracowanie swojego najnowszego dzieła. Chciała, żeby było gotowe dokładnie na przyjście Garretta. Dopiero po kilku próbach ciasteczka były wreszcie dokładnie takie, jak chciała. Skończyła, zanim wybiła ósma, i wywiesiła na drzwiach tabliczkę „Zamknięte”.

Przez następne pół godziny sprzątała jak szalona. Zaczęła od szklanej gablotki i stolików w dużej sali, potem przeniosła się szybko do kuchni, a ostatnie minuty spędziła na ścieraniu z własnej twarzy smug czekolady i mącznego pyłu. Na koniec delikatnie poprawiła włosy.

Punktualnie o ósmej trzydzieści rozległo się głośnie pukanie do frontowych drzwi. Sophie wychynęła zza ściany oddzielającej sklep od kuchni i pomachała znajomej twarzy zaglądującej przez okno.

- Cześć, Sophie - powiedział Garrett, kiedy wpuściła go do środka. Wraz z nim do sklepu wpadł podmuch lodowatego wiatru. Sophie zauważyła, że trzyma pod pachą niewielkie pudełko.

- Cześć.

- Dałaś sobie dziś radę bez Randy'ego? To musiał być dla ciebie długi dzień.

- Jakoś przetrwałam - odpowiedziała.

Garrett miał taką minę, jakby chciał coś powiedzieć, jednak się powstrzymał.

- To co - powiedział zamiast tego — może zabierzemy się za listy? Nie powinienem zostawać zbyt długo. Wiesz, Jane może się niepokoić.

- Jasne, rozumiem - odpowiedziała Sophie. Próbowwała nie dać po sobie poznać, jak bolą ją te słowa. - Ale zanim zaczniemy,

możesz poświęcić mi małą chwilkę? Chciałabym, żebyś spróbował mojego nowego dzieła. Potrzebuję obiektywnej opinii, zanim wystawię je na sprzedaż.

- Jasne - odpowiedział z delikatnym uśmiechem. - Z przyjemnością.

Sophie poprowadziła go na zaplecze. Minęli dwie miedziane kadzie i stanęli przy niewielkim blacie na drugim końcu kuchni. Leżał na nim talerz z dwoma wypiekami w czekoladzie, które z wyglądu podejrzanie przypominały Złowróźbne Ciasteczka, z małą różnicą: polewę z ciemnej czekolady uzupełniały jeszcze smugi białej czekolady, układające się w paski niczym u zebry.

Garrett aż się skrzywił na ich widok.

- Złowróźbne Ciasteczka? Yyy... nie, dziękuję. Raz dałem się nabrać, nie dam się zrobić po raz drugi. W dalszym ciągu pamiętam ten okropny posmak, a jadłem je we wrześniu.

Sophie przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się.

- Ech, człowieku małej wiary. Zaufaj mi, te będą lepsze niż ostatnim razem, obiecuję.

- Z pewnością nie będą gorsze. Bo to są twoje Złowróźbne Ciasteczka, zgadza się?

- No... tak. Ale przepis jest zupełnie inny. Naprawdę, Garrett, po prostu musisz mi zaufać. - Przygryzła nerwowo wargę i sięgnęła po jedno z ciasteczek. - Najpierw spróbuj tego.

Przyjrząwszy się mu z powątpiewaniem, Garrett wziął ciasteczko i powąchał je podejrzliwie.

- Zachowujesz się tak, jakby strasznie zależało ci na tym, żebym je zjadł. Przyznam, że trochę mnie to niepokoi.

- Ależ z ciebie tchórz - droczyła się. - No dalej, po prostu ugryź.

- Niech będzie. Ale jeśli to jakaś twoja sztuczka... - Podniósł ciasteczko do ust i po chwili wahania wbił zęby w czekoladową skorupkę. Odgryzł niewielki kawałek i trzymał go na języku,

jakby czekał, aż jego kubki smakowe podejmą decyzję. Po chwili zamknął usta i zaczął żuć, po czym uśmiechnął się i przełknął.

- O rany, Sophie! To było... nawet nie wiem, jak to opisać. Coś przepysznego. Nadal czuć tam gorzki smak czekolady, ten sam co wcześniej, ale w połączeniu ze słodyczą - cóż, muszę przyznać, że jest to zupełnie inne doświadczenie.

Dygnęła żartobliwie.

- Dziękuję, łaskawy panie. Cieszę się, że apróbujesz mój wypiek.

- A skąd ta zmiana, jeśli można spytać?

- Po prostu tak bardziej pasowało - odparła po prostu. — Wydaje mi się, że przez ostatnie tygodnie moje spojrzenie na świat uległo zmianie. Tak, w życiu nie brakuje gorzkich momentów. Ale wynagradzają je nam słodkie chwile szczęścia, które sprawiają, że są one do przełknięcia.

- Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem. Czy to oznacza, że wróżby w środku też się zmieniły?

- W pewnym sensie. Teraz w każdym ciasteczku są dwie wróżby, jedna pozytywna, a jedna... taka, jaką otrzymałeś ostatnim razem. Można powiedzieć, że miesza się w nich dobro ze złem. Przeczytaj swoje - zaproponowała z uśmiechem.

Garrett ostrożnie wyciągnął z ciasteczka dwa paseczki papieru i przeczytał na głos pierwszą z wróżb.

- „Masz talent do krzywdzenia tych, których kochasz. Ciesz się, że oni wciąż kochają ciebie”. Auć, dzięki za przypomnienie. Rozumiem, że to ta zła wróżba?

Sophie kiwnęła głową. Garrett przyjrzał się dokładniej drugiej karteczce. Ta wróżba była drukowana, a nie pisana ręcznie, a papier wydawał się stary i pomarszczony. Druk był częściowo rozmazany.

- „Szczęście to dar, który mieszka w tobie. Życzenie twojego serca wkrótce się spełni”. Sophie, czy to ta wróżba, która przyszła w odpowiedzi na ogłoszenie?

Sophie wzięła głęboki oddech i kiwnęła głową.

- Jest to również ta sama wróżba, którą dostałam w dniu śmierci rodziców. Pomyślałam, że... twój tata też zginął tamtej nocy. Chciałam podzielić się z tobą moją wróżbą.

- Dziękuję - odpowiedział z wdzięcznością.

- A teraz spróbuj drugiego ciasteczka - powiedziała i wzięła kolejny głęboki oddech, żeby ukryć zdenerwowanie.

- A różni się czymś od pierwszego? - spytał. - Myślałem, że to ciasteczko jest dla ciebie.

- Nie. Jest... inne. Zdecydowanie.

- Rozumiem... I po nim będę pluł i plukał usta przez dziesięć minut, tak?

- Nie, nic z tych rzeczy. Właściwie to możliwe, że nawet nie poczujesz różnicy. Po prostu muszę wiedzieć, co o nim sądzisz.

Garrett wzruszył ramionami, odłożył resztkę pierwszego ciastka i zabrał się za drugie.

- Smakuje tak samo - powiedział po odgryzieniu małego kawałka.

Sophie próbowała się uśmiechnąć, jednak przyszło jej to z ogromnym trudem. Żołądek miała ściśnięty z nerwów. Nic nie powiedziała.

Garrett odłamał kolejny kawałek czarno-białego ciasteczka i zajrzał do niego.

- Ale w tym nie ma żadnych wróżb - powiedział, przyjrzawszy mu się z bliska.

- Hmm... a to dziwne.

Wreszcie ciasteczko przełamało się na pół i wypadło z niego coś błyszczącego i metalowego.

- Co to u licha jest?

Sophie musiała złapać się kurczowo brzegu lady, żeby uspokoić nerwy. To był właśnie jej moment. *Musisz dopłynąć do brzegu albo utonąć, próbując.* Wzięła ostatni, głęboki oddech i oznajmiła:

- To, Garretcie Black, jest „O”.

- Tyle widzę - zachichotał. - Wygląda jak fragment samochodu.

- To jest fragment samochodu - odparła, uśmiechając się krzywo. — A dokładniej rzecz biorąc, jest to „O” z logo mojego explorera. Wiesz, tego, którego roztrzaskałam wczoraj. Poprosiłam mechanika, żeby odczepił je dla mnie.

- Ale... po co to zrobiłaś? I dlaczego wsadziłaś je do tego ciasteczka?
Wiosłuj szybciej!

- Bo... tak naprawdę to należy do ciebie.

- O”?

- Nie, samochód.

- Jak to?

Oddychaj głęboko, po prostu oddychaj.

- Czy wspominałam ci już, jak za niego zapłaciłam?

- Hmm... nie. Zachichotała.

- To całkiem zabawna historia. No, może nie do końca zabawna... Widzisz, kiedy byłam już absolutnie pewna, że między nami wszystko skończone, zaniiosłam do lombardu swój pierścionek zaręczynowy i tam go spieniężyłam.

- Zastawiłaś pierścionek zaręczynowy, żeby kupić samochód?

- Mhm.

Garrett spoglądał tępo to na nią, to na krążek leżący na jego dłoni.

- No ale skąd teraz to „O”?

Sophie nie przestawała patrzeć mu w oczy. Czuła, że trzęsą jej się dłonie.

- Bez względu na to, co się stanie, chcę żebyś wiedział, że kiedy dostanę czek z ubezpieczalni, przekażę go tobie. To twoje pieniądze.

- Wiesz przecież, że nie musisz...

- Pozwól mi dokończyć - przerwała mu. - To twoje pieniądze i mam zamiar ci je oddać. A „O” wybrałam dlatego, że... -tu głos jej zadrżał, kiedy wyciągnęła dłoń i sięgnęła po chromowaną literkę. - Wybrałam je dlatego - kontynuowała, tym razem nieco ciszej - że z całego mojego samochodu, który wcześniej był przecież przepięknym pierścieniem, właśnie ta część była najbardziej błyszcząca, mieściła się bez problemu w ciasteczku, no i... - Sophie wsunęła „O” na mały palec. — Wprawdzie jest nieco za małe na mój palec serdeczny, ale jakoś przeżyję.

Garrett wytrzeszczył na nią oczy.

- Sophie, co ty właściwie...

-Jeszcze nie skończyłam! Proszę, Garrett, wysłuchaj mnie do końca. Zbyt długo moje życie pełne było żalu i rozczarowań, ale mam już tego dość. I jeśli nie powiem ci dzisiaj tego wszystkiego, co mam ci do powiedzenia, wiem, że później będę tego żałować.

- Sophie, pozwól mi tylko...

- Nie! Jeszcze nie skończyłam. Pierwsze ciasteczko, które dzisiaj ugryzłeś, miało dwie wróżby. Pierwsza była może nieco zbyt enigmatyczna, ale chciałam przez nią powiedzieć, po prostu, że chociaż okropnie mnie zraniłeś, rozumiem, dlaczego to zrobiłeś i... wciąż cię kocham. I nie obchodzi mnie ta cała Jane. Wiem, że nigdy nie będzie w stanie pokochać cię tak jak ja. A druga wróżba jest właściwie dla mnie, a nie dla ciebie. Mój tata obiecał mi, kiedy byłam mała, że życzenie mojego serca się spełni. Tej samej nocy Ellen obiecała mi to samo. — Nabrała powietrza w płuca. - Garrett, nie mogłam wtedy przypuszczać, że kiedy ja płakałam na mokrym krawężniku, życzenie mojego serca siedziało właśnie w domu i próbowało połączyć się ze swoim ojcem, będącym zaledwie kilkadziesiąt metrów ode mnie. To ty jesteś życzeniem mojego serca, Garretcie Black. Najszczęśliwsze chwile

mojego życia są nierozzerwalnie związane z tobą. Jestem gotowa przeżyć wszystko to, co dobre, i to, co złe - z tobą, do końca życia.

Garrett wpatrywał się w nią, oszołomiony. Przez dłuższą chwilę nie mówił, wsłuchiwał się tylko w jej przyspieszony oddech.

- Skończyłaś? - spytał wreszcie.

Przytaknęła niepewnie. Nie umiała odczytać wyrazu jego twarzy.

- To dobrze - oznajmił i jednym płynnym ruchem znalazł się tuż przy niej, objął ją i pocałował czule. I było tak, jak wtedy, kiedy całowali się po raz pierwszy, dokładnie w tym samym miejscu.

- A co z Jane? - spytała Sophie, kiedy przestali na chwilę, żeby złapać oddech. Garrett odchylił głowę i roześmiał się serdecznie.

- Jane to jej drugie imię. Olivia Jane Black-DeMattio.

- Twoja mama? — wykrztusiła Sophie. Zachichotał.

- Tamtej nocy powiedziałem tylko, że rozmawiam na drugiej linii z kobietą. Nie powiedziałem z kim. Jeśli myślałaś, że mówiłem o pięknej młodej kobiecie, tym lepiej! Byłem zazdrosny i chciałem, żebyś ty też była. — Kiedy wypowiadał te słowa, z jego twarzy znikł uśmiech. Zmarszczył brwi. — A co z Alexem i waszym ślubem?

Sophie wspięła się na palce i pocałowała go.

- Powiedziałam tylko, że wychodzę za męża. Nie powiedziałam za kogo. Ale jeśli sądziłeś, że miałam na myśli Alexa, tym lepiej! Taki był mój niecny plan. - Mrugnęła. - Wygląda na to, że wypalił.

- Zaraz, zaraz. A czy ten cały Alex w ogóle istnieje? I wysłał wczoraj te wszystkie listy?

- Tak, Alex istnieje naprawdę, a to, że wysłał te listy, jest z jego strony absolutnie urocze. Alex Barnes jest dla mnie kimś bardzo

wyjatkowym. I bez wątpienia najbardziej radosnym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek poznałam. Ma niezwykle dar rozbawiania ludzi i wywoływania na ich twarzach szerokiego uśmiechu. Przypomina o wszystkich tych drobnych rzeczach, które mogą uszczęśliwić.

- Ale nie jesteś w nim zakochana.

- Kocham go. Trudno go nie kochać, naprawdę. Ale nigdy nie kochałam go w taki sposób, o jakim myślisz.

Sophie wyplątała się z uścisku Garretta i wzięła do ręki torebkę, z której po chwili wyjęła list od Jacoba Barnesesa.

- To list, który musisz przeczytać. Od ojca Alexa. Dowiesz się, co czyni Alexa tak wyjątkowym, ale przede wszystkim spojrzysz inaczej na pewne... *nieporozumienia* dotyczące wypadku, w którym zginęli nasi rodzice.

-Jak to?

- Po prostu to przeczytaj - poprosiła i pocałowała go delikatnie.

- Za chwilę - oznajmił Garrett, po czym wyciągnął z tylnej kieszeni spodni złożoną kartkę z notatnika. Była zapelniona po dwóch stronach, linijka po linijce.

- Miałem zamiar dać ci to nieco później, ale myślę, że możesz to przeczytać już teraz. To moja własna lista powodów do szczęścia. Doszedłem do wniosku, że skoro twój nowy ukochany, Alex, był w stanie wymyślić sto rzeczy, które go uszczęśliwiają, to ja nie mogę być gorszy. I wiesz co? Wszystkie punkty na mojej liście dotyczą ciebie.

W oczach Sophie błysnęły łzy.

- A kiedy zamierzałeś mi wręczyć tę listę? Garrett mrugnął łobuzersko.

- Jeśli dobrze pamiętam, na naszej pierwszej randce mówiłaś, że prawdziwy romantyk zrobi wszystko, aby zdobyć serce swej ukochanej. Szykowałem się więc na dramatyczną scenę w samym

środku twojej ceremonii ślubnej. Miałem wszystko zaplanowane. Przemaszerowałbym główną nawą, tak jak to robią w filmach, stanął między tobą i Alexem i odczytał swoją listę. Potem, o ile do tej pory nie oberwałbym jeszcze od Alexa, wyznałbym ci miłość.

- A potem odjechalibyśmy razem w promieniach zachodzącego słońca? - spytała z uśmiechem i znowu go pocałowała.

- Tak — odparł miękko. — Coś w tym stylu.

- Dobrze wiedzieć, że wciąż jesteś beznadziejnym romantykiem - zażartowała.

- Romantykiem pełnym nadziei - poprawił ją. — Jest różnica. Stojąc obok Garretta, Sophie przeczytała jego listę powodów do szczęścia i uśmiechnęła się.

Garrett przeczytał list Jacoba i zapłakał.

A potem objęli się mocno i zjedli razem ostatnie kawałki czarno-białego ciasteczka, rozkoszując się wspólnie każdym słodko-gorzkim kęsem.

PODZIĘKOWANIA

Będę szczery: pisanie podziękowań jest dla mnie zawsze źródłem stresu. Nawet teraz, kiedy kreślę te słowa, czuję, jak skacze mi ciśnienie. Jestem pewien, że mój niepokój wynika z głębokiego przekonania, że cokolwiek napiszę, nie będzie to w pełni oddawało zasług tych, którzy pomagali mi przy tej książce i przy pozostałych. Słowo „dziękuję” to po prostu za mało, aby opisać to, co czuję.

Ponieważ nie potrafię spisać tu wszystkiego, co chciałbym powiedzieć każdej z osób, które zasługują na moje uznanie, postanowiłem spróbować czegoś, hm, innego. Haiku! (Nie, nie kichnąłem. To taka forma poetycka). Wprawdzie żaden za mnie poeta (jak się zresztą wkrótce przekonacie), ale próba ujęcia moich myśli i uczuć w taki właśnie kształt była dla mnie źródłem większej radości niż klepanie standardowych wyrazów wdzięczności.

A zatem, przechodząc do rzeczy, chciałem podziękować następującym osobom i grupom osób za wszystko, co dla mnie zrobiły...

Haiku! (Na zdrowie!)

Rebecca, moja żona — Moja ostoja, Muza. Pani mojego Życia.

*C. Boys, Redaktorze —
Pomoc i wnikliwość.
Nie skąpisz rad i miłego słowa.
Joyce Hart — serdeczna i radosna. Moja urocza agentka.
Podpisywać mogę wszystko.
wydawniczy guru — Rolf Zettersten. Przywódco, przyjacielu.
Dziękuję po raz kolejny.
Zespół grupy Hachette. Graficy, marketing, sprzedaż. , Po cichu robić
tak wiele.
Moi bystroocy pierwsi czytelnicy.
Babcia, Mama, Kacie, Becca, Jen —
To moja rodzina z czerwonymi długopisami.
Jason Wright.
Po radę się zwracam. .
Z talentem równać się nie można.
Moje dzieci, cała piątka —
Domowy harmider.
Będzie go brakować, kiedy dorosną.
Wszyscy, którzy z radością Czytają moje książki. Przyjaciele. Jak
zawsze, dziękuję.*